

POMERANIA



7/8

LIPIEC-SIERPIEŃ

1979

JUBILEUSZ ANNY ŁAJMING



POMIERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Rok XVI

1979

Nr 7/8 (90/91)

W numerze:

1 JUBILEUSZ ANNY ŁAJMING

Nasze przesłanie

JERZY SAMP – W przymierzu z literaturą

EDMUND PUZDROWSKI – Pomiedzy wczoraj a jutro

STANISŁAW PESTKA – Wierni pierwotnemu przeżyciu

Gratulacje z Chojnic i Gdańska

9 ANNA ŁAJMING – Wspomnienia z młodości (13)

11 ANNA CZUBAJ – Za borem, za lasem

14 BOGUSŁAW HOLUB – Przebiśniegi (reportaż kwartalu)

16 URSZULA MĄCZKA – Stara stegna

18 JERZY STACHURSKI – Wiersze

18 JERZY SAMP – Jurata II; Dewiacja

19 KRYSTYNA SZALAŚNA – Stan i kierunki muzealnictwa etnograficznego w woj. gdańskim

22 JÓZEF CEYNOWA – Rozewskô bliza

23 TADEUSZ BOLDUAN – Pan Rudolf

24 PAWEŁ ZBIERSKI – Kaszubski śpiew ryb

25 JANKA KUPAŁA – A chto tam jidze

26 JAN TREPCZYK – Władigo lëse

27 JERZY STACHURSKI – Co dzień uderziwóm w tę samą strënë żecô

29 JERZY TREDER – Ze słownika Sychty. Przesady (1)

31 ROMAN KLIM – Współczesne rybołówstwo łodziowe w Helu

32 JÓZEF CEYNOWA – Moje pierwsze dni wolności

34 RYSZARD CIEMIŃSKI – Szklana tafla

35 URSZULA OLSZEWSKA – Pamiętnik (19)

38 JAN POWIERSKI – Legat papieski, który dobrze poznał się na Krzyżakach

42 HUBERT GÓRNOWICZ – Nazwiska słynnych piłkarzy utrwalone w kościelnych nazwach terenowych

43 JERZY TREDER – Jan Stępowski a Kaszuby

44 EDWARD BREZA – Michałki z kambuza Z. Brockiego

45 JÓZEF BORZYSZKOWSKI – 50 lat „Rocznika Gdańskiego”

47 PAWEŁ ZBIERSKI – Rekonstrukcja historii Franciszka Pabicha

48 Kleka

52 Listy

53 Z życia Zrzeszenia

REDAGUJE KOLEGIUM:

Konrad Ciechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Stanisław Pestka
Edmund Puzdrowski
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Jerzy Samp

STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:

Lech Bądkowski
Tadeusz Bolduan
Józef Borzyszkowski
Edward Breza
Zygmunt Brocki
Ryszard Ciemński
Aleksander Labuda
Anna Łajming
Kazimierz Ostrowski
Jerzy Tredor
Izabella Trojanowska

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10
80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO:
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA
KASZUBSKO-
POMORSKIEGO

Cena 1 egz. 13 zł
Prenumerata roczna 150 zł
Nakład 2000 egz.
Druk. Gd. Wyd. Pras. —
Nr 979 — U-7

Jubileusz Anny Łajming

Przesłanie

Nasz wiek, który dotknął nas zaledwie swoimi trzema ćwiartkami, nie wiadomo co jeszcze trzyma w zanadru, czym nas jeszcze – ku pokrzepieniu czy też zwątpieniu serc – obdarzy. Jesteśmy pełni niepokoju o naszą przyszłość, o ciągłość tradycji, o świat naszych dzieci i wnuków – tym niepokojem czas darzy po równi i tych, którzy są sprawcami galopujących wydarzeń, jak i tych, którzy nie przyczyniwszy się do nich, obdarzani są refleksyjnym umysłem.

Czy stąd też wywodzi się, przy świadomości że istniejemy w teraźniejszości dla przyszłości, to różnorodne w swojej formie zanurzanie się w przeszłość? To rozbudowywanie więzów pomiędzy tym co było, a jest dzisiaj; pomiędzy historycznym wspomnieniem osobistości personifikujących dawne zdarzenia, a autorami zdarzeń dzisiejszych? Zapewne z tej dzisiejszej, tak powszechnie pojawiającej się nuty refleksyjnej, wywodzą się strumienie świadomości prowadzące nas do naszego źródła, do przeszłości.

Jednym z takich strumieni jest twórczość dzisiejszej jubilatki – Anny Łajming, która pojawiwszy się jako cenny talent, tym cenniejszy, że niespodziewany i samoistny, w wieku dosyć późnym – jako Kobieta wielkoduszna zechce nam to sformułowanie wybaczyć – zdążyła dokonać tak wiele swoją prozą i tomami wspomnień. Rzeczywiście wiele, gdyż ocaliła część prawdy o ludziach i rzeczach ludzkich dawno już minionych; część zaledwie, a jakże wiele, gdy w naszej literaturze nie mieliśmy do tej pory dzieła równie głęboko oddającego psychologiczną naturę pomorskiego ludu. Prawda, istnieje działo A. Majkowskiego, które do czasu rozkwitnięcia talentu A. Łajming nie miało swojego odpowiednika w warstwie realnych, sprawdzalnych z dnia na dzień, z życia na życie, wydarzeń – tak potrzebne było i jest swoją uogólniającą metaforą.

Dzisiaj taki ekwiwalent istnieje. Jakże potrzebny czytelnikowi – o tym przekonuje powszechna lektura odcinków wspomnień i powiastek Anny Łajming drukowanych w „Pomeranii”, książki z tych odcinków powstałe, listy. A jest to przecież tylko część prawdy, nie każdy czytelnik, nawet najwierniejszy swojemu autorowi, pisze do niego listy – pisze list inny, w sobie, list intymnego



Anna Łajming przybyła do Gdańska na uroczystość zorganizowaną z okazji Jej 75-tych urodzin przez naszą redakcję i gdański WOK. (Fot. A. Klejna)

dialogu. A takich czytelników jest najwięcej, są dzisiaj, będą i w przyszłości.

Dziękujemy Pani Annie za to wszystko co uczyniła nie tylko dla literatury ale i człowieka z tej ziemi – ocalając pamięć przeszłych pokoleń, krzepiąc dzisiejsze i przyszłe. Dziękujemy, życząc zdrowia i tego, aby ów strumień twórczości długo był jeszcze strumieniem wartkim, żywym... Nie czynimy tego bezinteresownie, ale jest to ta interesowność, która płaci sercem – jest nas, tak płacących, coraz więcej. Dzisiaj, w dniu Jubileuszu, widzi Pani, Pani Anno – zaledwie garstkę z nich ale, gdyby zliczyć wszystkich, ucieszyłoby się i Pani serce.

Pragnąc tego, życzymy Pani – w imieniu obecnych i nieobecnych, w imieniu wszystkich czytelników – oby wszystkie dni były równie radosne jak dzisiejszy i oby dni tych było jak najwięcej.

Redakcja

W przymierzu z literaturą

Jerzy Samp

Zapewne mało kto pamięta jeszcze o konkursie literackim ogłoszonym w Koszalinie przed dwudziestu jeden laty. Była to impreza jakich rokrocznie wiele, i o których z czasem zapominają nawet sami nagrodzeni. Dla jednej z laureatek było to wszakże wydarzenie ważne i nie ulega wątpliwości – znaczące dla decyzji, która wówczas zapadła. Tamten konkurs przyniósł bowiem nie tylko zaszczytne wyróżnienie za skecz pt. „Paszyn”, ale również coś znacznie ważniejszego – potwierdzenie słuszności obranej dopiero w pięćdziesiątym czwartym roku życia nowej drogi.

Anna Łajming, bo o niej mowa, urodziła się w gospodarskiej rodzinie Żmudów Trzebiatówskich w lipcu 1904 roku. Rodziną wsią było Przymuszewo pod Chojnicami, gdzie też ukończyła niemiecką szkołę powszechną. Mając lat osiemnaście i ukończoną szkołę gospodarstwa domowego rozpoczęła pracę w starostwie chojnickim, pełniąc następnie w latach 1924/1925 funkcję urzędniczką Sądu Powiatowego.

Po dwóch latach bezrobocia (1926 i 1927) otrzymała posadę sekretarki dominialnej w powiecie tczewskim. Tu poznała też swojego przyszłego męża, z którym w sierpniu 1929 roku zawarła związek małżeński. Pracowała następnie w redakcji „Gońca Pomorskiego” w Tczewie, by ostatecznie, wobec narastających obowiązków rodzinnych zająć się wyłącznie prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci.

Wydaje się, że do trwałego przymierza pisarki z literaturą doszło właśnie w 1958 roku, kiedy to drugi konkurs literacki, tym razem ogłoszony przez Związek Młodzieży Wiejskiej w Gdańsku przyniósł autorce ze Słupska drugą nagrodę za sztukę pt. „Szczęście”. Celem tego z kolei konkursu było pozyskanie przez organizatorów repertuaru dla dużej liczby działających wówczas na terenie regionu amatorskich teatrów świetlicowych. Nagrodzone „Szczęście” – jako obrazek sceniczny w dwóch odsłonach, silnie eksploatując realia środowiskowe wsi kaszubskiej, nie tylko wymogi te znakomicie spełniało, lecz także mocno kontrastowało z innymi pracami konkursowymi swoją dojrzałością literacką i sceniczną.

W kilka miesięcy później „Kaszëbë” zamieściły po raz pierwszy na swych łamach opowiadanie pt. „Śmierć żebraka”, poprzedzając tekst takim oto komentarzem: „Dla informacji podajemy, że autorka wymienionej sztuki nie jest zawo-

dowym literatem, a co ciekawsze, nigdy z literaturą nie miała nic wspólnego. Obarczona dość liczną rodziną zajmuje się obecnie gospodarstwem domowym. W wolnych chwilach próbuje pisać, wykorzystując najczęściej materiały z własnych przeżyć, wspomnień i obserwacji z życia chojnickiego chłopca”. Wydrukowany utwór stanowił zaledwie zakończenie nadesłanej większej całości, zatytułowanej przez autorkę „Dwaj żebracy” i był zarazem prasowym debiutem prozatorskim Anny Łajming.

Jednakże na dalsze publikacje nie trzeba było czekać zbyt długo. W roku 1959 – a więc dokładnie przed dwudziestu laty nakładem Wojewódzkiego Domu Twórczości Ludowej w Gdańsku ukazuje się wspomniane „Szczęście”, a w rok później „Kaszëbë” drukują opowiadanie „Miód i mleko”. W dwa lata po udanym debiucie to samo pismo drukuje obszerny fragment (Odsłona II Aktu I) sztuki zatytułowanej „Pustkowio” – mówiącej o pierwszym dniu II wojny światowej.

Wprawdzie od tamtego czasu aż do wydania samodzielnego zbioru opowiadań minęło całe dziesięciolecie, ale trzeba pamiętać, że były to lata niesłuchanie pracowite. Wówczas też pisarka nawiązała m. in. serdeczny kontakt z redakcją naszego czasopisma, ukazującego się początkowo jako „Biuletyn Zrzeszenia Kaszubskiego”. Pod piórem Anny Łajming rodziły się dziesiątki krótkich utworów prozatorskich przypominających swą formą poetykę noweli. Te drobne arcydziełka od razu zjednały rzeszę gorących wielbicieli jej niezwykle, choć tak późno obudzonego talentu. Nam zaś stałych i wiernych czytelników. W niełatwej drodze od powielanych „tanią” techniką zeszytów, do drukowanego miesięcznika, opowiadanki Pani Anny zawsze wiernie towarzyszyły i nadal wzbogacają łamy „Pomeranii”.

Pierwszy samodzielny tomik, na który złożyło się jedenaście „opowiadestw kaszubskich” pod wspólnym tytułem „Miód i mleko” wydany został w roku 1971 nakładem wydawnictwa Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku. Następny, już dwukrotnie objętościowo większy, także pod sygnaturą świętopiełkowej kotwicy (czyli tego samego wydawcy) pojawił się na półkach księgarskich już w dwa lata później. Nosił on tytuł „Symbol szczęścia” i zawierał dwadzieścia jeden utworów. Wreszcie rok 1974 przyniósł szerokie uznanie dla walorów artystycznych dotychczasowego dorobku pisarskiego Anny

Łajming. Autorka przyjęta zostaje w poczet członków Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich, natomiast oficyna ZK-P wydaje jeszcze jedną jej książeczkę. Tym razem jest to napisany w dialekcie kaszubskim utwór sceniczny, jednoaktówka pt. „Gdzie jest Balbina”.

Szczególnym wydarzeniem tej biografii twórczej było ukazanie się obszernego tomu, prozy zatytułowanego „Od dziś do jutra”, przed trzema laty. Tym razem czytelnicy otrzymali dzięki Wydawnictwu Morskiemu, poza już znanymi z dwóch wymienionych wcześniej zbiorów, około dwudziestu nowych opowiadań. Łącznie jest ich blisko czterdzieści i wszystkie drukowaliśmy na łamach „Pomeranii”.

W odredakcyjnym przesłaniu zamieszczonym na okładce tej książki napisano: „Namawiamy tak żarliwie czytelnika na tę książkę wbrew przyjętym praktykom wydawców, a czynimy to w przewidywaniu podejęcia niektórych do obrazków Anny Łajming z pewnym oporem z powodu dialektu i jego swoistego zapisu. Mamy nadzieję, że zostanie to nam wybaczone przez tych, co zawierzywszy zachwalaniu książkę przeczytają”.

Myślę, że wydawca miał rację. Nie sądzę, aby ktokolwiek zagłębiwszy się w prozę tej pisarki mógł lekturę tę odłożyć li, tylko ze względu na pewien wysiłek, do jakiego zmuszają uważnego czytelnika wplatane w literacką polszczyznę dialogi kaszubskie. Jakże uboga byłaby warstwa językowa opowiadań zebranych w tomie „Od dziś do jutra” bez owego akompaniamentu najczystszej gwary południowych rubieży kaszubszczyzny. Właśnie te okolice stały się ulubionym obszarem literackiego „dziania się” przywoływanych przez pisarkę epizodów z życia ubogich warstw ich rdzennych mieszkańców.

To przecież epizody, czasem z pozoru banalne i błahe, niekiedy jednak przesądzające o losie bohaterów, uczyniła Anna Łajming owym najważniejszym z tematów swojej twórczości. Przekształcanie ulotnych zdarzeń jakże szybko umykających z pamięci – gdy chodzi o ich warstwę fabularną, w przejmujące zapisy pewnych stanów emocjonalnych, kreślone przy tym z nadzwyczajną wrażliwością portrety ludzi prostych, choć w swej prostocie niepowtarzalnych, wszystko to wymaga ogromnej precyzji, by nie rzec wirtuozerii. Ponadto dochodzą jeszcze wymogi warsztatowe wynikające z założeń obranego gatunku, który już sam przez się narzuca obowiązki stosowania jak najdalej idących skrótów i syn-
tezy.

Porównując ze sobą najwcześniejsze nowele autorki „Szczęścia”, z tymi, które wyszły spod jej pióra stosunkowo niedawno, zastanawiać musi owa samorodna zdolność do stosowania skrótów myślowych i znakomita już u progu literackiej aktywności, umiejętność maksymalnej kondensa-

cji tematyki, która z czasem opanowana została w sposób iście perfekcyjny.

Anna Łajming należy do twórców wyjątkowo konsekwentnych. Odnosi się to zarówno do tematyki, jak i preferowanej techniki wypowiedzi. Wiejska i małomiasteczkowa atmosfera opisywanych środowisk uchwycona jakby na kadrze wspomnień z lat I wojny światowej, całego międzywojnia i zupełnie sporadycznie lat późniejszych – wywarły przemożny wpływ na twórczość pisarki. W tym sensie jest to proza jednorodna o tematyce przywoływanej z ogromnych zasobów wiedzy o świecie jej najbliższym i najbardziej znajomym.

Dostrzegając w codzienności zdarzeń te elementy, które jakże rzadko w samym życiu bywają przez odbiorcę uświadamiane, rekonstruuje autorka świat już nieistniejący, ożywia dawno zapomniane „małe dramaty” ludzi, z których zakpił sobie ślepy los, przywołuje zdarzenia, które w niczym nie zmieniły biegu historii. Jednakże fenomenem tej literatury jest ponadczasowość jej symboliki. Są tu pokazane problemy ogólnoludzkie i nie poddające się działaniu czasu. Istnieją one także niezależnie od środowiska i statusu społecznego bohaterów. Na imię im: Radość, Miłość, Fatum, Niespełnienie, Smutek, Śmierć... I chociaż wśród setek epizodów, z których pisarka misternie układa swoje opowiadania dominują wydarzenia smutne, często tragiczne, treść tych kaszubskich obrazków z życia wsi nie ciąży ku pesymizmowi i beznadziejności.

„Anna Łajming rozkłada akcenty „pomyślnego” i „niepomyślnego” dość równomiernie – pisał o tomie „Od dziś do jutra” Ryszard Karwacki – przeto jej świat jest w gruncie rzeczy optymistyczny. Ludzie żyją w biedzie, są prześladowani przez dokuczliwe przypadki, ale mają też i swe radości. Wszystko zaś przebiega wedle zwykłej miary codziennych trosk i małych przyjemności. Nie chce więc autorka powiedzieć, że świat jest źle urządzony, a los kąśliwy. Jej wizja świata ma raczej charakter rozumiejącego i serdecznego spojrzenia na to, co już minęło”.

W ciągu dwudziestu lat nieustraszonej pracy nad niełatwym dziełem ujarzmiania materii słowa wytworzyć się miał ów swoisty i jedyny w swoim rodzaju indywidualny styl pisarstwa głęboko humanistycznego. I choć jest to twórczość w pełni samorodna, to jednak dojrzałość artystyczna i warsztatowa nie pozwala identyfikować jej z literaturą ludową. Najlepszym chyba tego dowodem jest aktualnie kontynuowana praca nad „Wspomnieniami”, których dygresyjność i literacka uroda stawiają najnowsze dzieło Anny Łajming znacznie wyżej od typowych refleksyjno-pamiętnikarskich relacji. Tom pierwszy zatytułowany „Dzieciństwo” wydany został przed kilkoma miesiącami nakładem Wydawnictwa Morskiego. Dalsze oczekujemy z niecierpliwością.

Pomiędzy wczoraj a jutro

Edmund Puzdrowski

Głównym bohaterem prozy Anny Łajming jest czas. Ów gęsty, zawieszony czas przeszłości, którego znaczenia wynikały z drobnych codziennych zdarzeń spotykających zwyczajnego człowieka. Chciałoby się napisać: przeciętnego człowieka, lecz czy byłaby to prawda? Nosiciele czasu, owi ludzcy bohaterowie książek Anny Łajming, wcale nie są przeciętni pomimo, że zdarzenia dziejące się wokół nich nie mają znamion wyjątkowości.

Różne wersje powyższych słów pisałem kilka razy. Czując ich gładką, przylepną nijakość,

zmieniałem fragmenty i całe zdania. Wreszcie, z wielu zdań pozostało zaledwie kilka, zaledwie ścieżki, a nie drogi prawdy prowadzące w tę stronę, którą można byłoby nazwać światem prozy Anny Łajming.

Strona prawdy, gdyby pozostać przy tym określeniu, nie jest u Anny Łajming stroną byle jaką. Nie jest to rzeczywistość dowolna, ale rzeczywistość uprawdopodobniona wspólnym losem bohatera powiastek, jak i czytelnika. Dla ostatniego kryteria wspólnego losu wynikają ze świadomości ciągłości kulturowej, z przekonania, że możliwy jest świat, w którym nie ulegają zawieszeniu kanony moralne. One przede wszystkim, nie raz sprowadzone do najprostszych zasad, dokonują wielkiego porządkowania świata, który z natury swojej jest tajemniczy.

Jest w najgłębszych pokładach tej prozatorskiej materii coś bliskiego sytuacji znanej skądinąd; z niezbyt dzisiaj popularnych opowieści czy gawęd domowych. Przy czym nie sama ich forma ale psychologiczna zasada komunii: stopienia się w przeżywaniu najbardziej nawet nieprawdopodobnych fabuł, sięgających dzięki temu zespoleniu, kręgów najdosłowniej realnych, byłaby tutaj godna przypomnienia.

Nasz język, praktyka dnia urzeczowiły się na tyle, że dzisiaj trudno pomiędzy nimi odnaleźć taką właściwość. Powieści poetyckie, dzieła inkustrowane metaforami przesuwającymi znaczenia poza porządek budujących je słów, to nie ten gatunek – dzisiaj już umierający. Jeżeli do szczętu nie umarł, to właśnie także dzięki Annie Łajming.

Byłabyż propozycja Anny Łajming zjawiskiem archaicznym, niewspółczesnym? Mierząc katalogiem mód i nowości – zapewne tak, mierząc doświadczeniem ludzkości – na pewno nie. Bywało, że nawet w racjonalniej niż literatura zdefiniowanych dziedzinach odrzucało się prawdę, pogląd, opis zdawałoby się zużyty – aby po czasie do niego powrócić. To nie poglądy czy opis był zużyty, tylko w naszym pojmowaniu, w naszej wrażliwości na świat dochodziliśmy do kręgu granicznego; jego przekroczenie, poznanie innych aspektów rzeczywistości byłoby niemożliwe bez odrzucenia dawnych metod i dawnej wrażliwości. Gdy to się stało, gdy na nowo zinterpretowaliśmy świat, gdy go nieco poszerzyliśmy o nowo nabytą wiedzę, często okazywało się, że to poszerzenie będzie większe, gdy do aspektów tak po-



Annie Łajming gratulacje składa Edmund Puzdrowski
(Fot. A. Klejna)

znanej rzeczywistości dołączymy i te dawne, rozpoznane – jak nam się nigdyś zdawało – archaicznymi środkami.

Archaiczność, rozumiana jako pewna niegodność literatury, występowałaby zapewne wtedy w prozie Anny Łajming, gdyby cechowała ją naiwność. Ale tego, ani o poszczególnych bohaterach, ani o sumie wątków, powiedzieć się nie da. Nie jest przecież, i nie może być konstrukcją naiwną ta, która odwołuje się w podjętym przez siebie dziele porządkowania świata, do porządku etycznego – uznając go za wielkość niezbywalną i godną czynnego pielęgnowania.

Bohaterowie Anny Łajming nie toczą gry pomiędzy sobą, nie rozgrywają partii o posady – stać ich na przejrzystą jednoznaczność postaw, gdyż ich gra – jeżeli taką prowadzą – w innych toczy się rejestrach. Prowadzą ciężką nie raz grę o własne życie, o swój los – bacząc, aby nawet w najtrudniejszych chwilach nie przegrać walki o swoją godność.

Gdyby jednak ktoś pomyślał, że kanon etyczny, że owo wyczucie godności są czymś zewnętrznym, dopiero uświadomianym przez bohaterów prozy Anny Łajming w momencie dokonywania wyborów w racjach i celach działania – pomyliłby się. Ten świat jest od razu kompletny, cała przestrzeń kultury otaczająca i przenikająca bohaterów tej prozy jest taka właśnie – kompletna.

Takie usytuowanie bohaterów wynika z bardzo określonej koncepcji i prawdy człowieka, którą przedstawia nam autorka. Jest to człowiek, który nie tylko potrafi wznieść ale i ocalić, na styku różnych kultur, gmach własnej. To już nie jest kultura gburska czy chłopska, ale także szlachecka – z dominacją na akcencie wolności i jednocześnie przywiązaniu do przeszłości. Szlachectwo na Kaszubach to nie to samo, co w innych dzielnicach Polski; zasada równości i zasada jedności w mowie i religii dźwigała tutaj wspólny dla szlachty i gburów gmach narodowej kultury i człowieczeństwa.

Tę bardzo cenną właściwość udało się zawrzeć Annie Łajming w kaszubskich dialogach. W rytmie mowy zachowującym jedność znaczeniową i dosadność szczegółu lecz nie naruszającym jej szlachetnej czystości. Poetyka dialogów, ich doskonałość funkcjonalna i barwa nastrojów orkiestrowana tak chyba, jak w najdoskonalszych partiach „Remusa”, przenika i zapada w nas. Jak prawda, której czas jest wieczny.

Wierność pierwotnemu przeżyciu

Styl to człowiek – w tej starej sentencji zamyka się głęboka życiowa mądrość. Styl bycia, ubierania się, wyrażania swoich emocji świadczy o człowieku. Im bardziej świadomie kształtowany jest ów styl, tym ostrzejszą kreską zarysowane są kontury jakiejś osobowości. O ileż donioślejszą rolę pełni sposób wyrażania siebie w literaturze, przy pomocy tworzywa literackiego. Na terenie literatury wszystko podporządkowane jest przekazaniu czytelnikowi w sposób komunikatywny i jednocześnie piękny ważnych idei i treści. Każdy twórca – prozaik, poeta, eseista – czyni to inaczej, w sposób tylko jemu właściwy. Im silniejsza indywidualność, tym bardziej oryginalny styl. Wystarczy nieraz przeczytać kilka linijek by nieomylnie wskazać, kto jest autorem rzeczonych dzieł.

Ktokolwiek raz zetknął się z prozą wspomnieniową Anny Łajming, ten wiedziony niezawodnym wyczuciem łatwo odróżni prozę autorki „Dzieciństwa” od mnóstwa innych podobnych tekstów. Jest więc w tej prozie coś niepowtarzalnego, co pozwala ją mierzyć nietuzinkową miarą. Zapowieć owej niezwykłości były już opowiadanki pomieszczone w tomiku „Miód i mleko”. Bezpreten-

sjonalna forma wypowiedzi artystycznej idealnie przystaje do bogactwa treściowego opisywanej rzeczywistości. I w widzeniu tej rzeczywistości i w metodzie kreowania bohaterów Łajming pozostaje bezwzględnie wierna kanonom prawdy życiowej. Niczego nie upiększa, nie ubarwia i nie zmienia. Opisując częstokroć blade, banalne sprawy i sytuacje, małe i wielkie dramaty, jakich nie brakuje w każdej społeczności, a zatem i w społeczności paru wiosek na południu Kaszub, wznosi się na wyżyny wielkiego powieściowego realizmu.

W jej pracy jest coś z benedyktyńskiego nauczania twórców urzekających witrażami. Dzięki doskonałemu opanowaniu techniki artystycznej drobne, niepozorne kamyczki tworzą imponujące swoją poetyckością malowidło. Jak byśmy oglądali niekończący się szereg scen na szkło malowanych. Nie ma tu jednak postaci, które zawdzięczają swe istnienie bursztynowemu drzewu baśni kaszubskiej – Stolemów, gryfów, klabaterników, zaklętych królewianek. Zamiast wizerunków i dokonań jednostek nieprzeciętnych na kartach utworów Anny Łajming odnajdujemy syl-

wetki zwykłych, pogrążonych w szarzyźnie dnia codziennego ludzi, skazanych przez niełaskawy los na ciężką harówkę i walkę o byt. Tę walkę toczą ze zmiennym szczęściem dziedzice tradycji kaszubskiej, których natura obdarzyła ziemią równie piękną co ubogą. Takie wioski bowiem jak Przymuszewo, Pelplin, Parzyn, Windorp, Lędy – rodzinne okolice pisarki – należały bodaj do najuboższych w dawnej parafii Leśno.

Na Zaborach, gdzie mieszkałem znane było jeszcze przed drugą wojną określenie „mutkarze”. Mniejsi biedacy nazywali tak ostatnią biedę, ledwo, ledwo wiążącą koniec z końcem. Dla wyjaśnienia: mutka, to tyle, co mała rybka, uklejka. A więc kto jadł plotki, okonie, zaś od święta leszcza lub szczupaka, ten czuł się o niebo lepszy od tego, co musiał zadowalać się jedynie mutkami. Pamiętam, że w moich stronach, też niebogatych, mutkarzami nazywano również mieszkańców Parzyna i Przymuszewa.



Annie Łajming gratulacje składa Stanisław Pestka.
(Fot. A. Klejna)

Przypominają się takie zabawne historie, gdy wczytujemy się w rozdziały opowieści Anny Łajming. Zapamiętać coś nie coś z kraju lat dziecińczych, a opisać zobaczone i przeżyte to dwie różne sprawy. Dla wielu z nas, ale bynajmniej nie dla naszej pisarki. U niej zobaczone i zapamiętane jest tażsame z napisanym.

Ze wspomnień wyłaniają się bardzo plastycznie zarysowane sylwetki gburów, wioskowych przedrzeźniaczy, rzeźmieszków, różnych kaszubskich Jónków „bez ziemi”, zawsze gotowych podjąć jakąkolwiek uczciwą pracę, nie wyłączając zbierania grzybów i łowienia ryb, byleby swej rodzinie i dzieciom zapewnić kawałek chleba. Wewnętrzne zgrzyoty nie przytłumiły w tych ludziach jakiegoś rysu godności, nie zatężyły świadomości, że właśnie oni nie zaś niemieckie baronostwo są prawowitymi dziedzicami tej ziemi. Czuli się stróżami polskości, gdy po wojnie światowej ważyły się losy pogranicza.

Zaskakująca jest intensywność i świeżość spojrzenia pisarki, doskonała znajomość przebrzmiałego życia układającego się w ciąg narodzin, zajęć domowych, sąsiedzkich rozmów, chrztów, zabaw, wesel, załotów i pogrzebów. Relacje zyskują na powabności dzięki temu, że narratorem jest dziecko, dziewczynka obdarzona zmysłem niezwyklej spostrzegawczości.

Szczególnie ci, którzy zakosztowali wiejskiego życia, z okien swoich chęć patrzyli co dzień na piaszczyste ospiska porośnięte jałowcem, są pod wrażeniem prozy Anny Łajming. Ogarnia ich zdumienie, że możliwe jest tak sumienne i wierne odtworzenie tego, co składało się na rdzeń bytowania przeciętnej rodziny kaszubskiej.

Powiedzieć że w tej twórczości prozatorskiej swoją pełnię osiągnęło lustrzane odbicie dnia wczorajszego wsi zamieszkałej przez „naszyńców”? Byłoby to stwierdzenie niepełne. Powiem więcej: przywilejem nielicznych twórców jest między innymi wskrzeszanie echa zatopionych dzwonów. Dzięki Annie Łajming owe zamierające echa stają się bardziej słyszalne i donośne. I na tym polega również jeden z sekretów popularności i urokliwości jej powieściopisarstwa.

Wolno się spodziewać, iż Pani Anna obdarzy nas jeszcze niejednym utworem wzbogacającym literaturę kaszubsko-pomorską. Przepelnieni wdzięcznością za to, co już wyczarowała piórem, opisując jedną (a poprzez nią całą niejako) kaszubską społeczność, życzę Miłej Jubilatce długich lat życia i powodzenia w urzeczywistnianiu dalszych zamierzeń twórczych.

STANISŁAW PESTKA
prezes Zarządu Głównego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

PANI
ANNA ŁAJMING

Czcigodna i Droga Pani!

My, niżej podpisani członkowie Zarządu Oddziału Gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, w imieniu całej gdańskiej społeczności zrzeszonej, z okazji 75-lecia Pani urodzin i wielu lat twórczej pracy przesyłamy Czcigodnej i Drogiej Pani wyrazy głębokiego hołdu oraz życzenia długich lat zdrowia, sił i chęci do dalszego

Każdą z tych książek czytamy z niesłabnącym zainteresowaniem i czekamy na następne. Oby ich było jak najwięcej.

Prosimy, Czcigodna i Droga Pani, aby zechciała Pani przyjąć te słowa szczerym sercem tak, jak my je tutaj wyrażamy.

Z najgłębszym szacunkiem i serdecznym pozdrowieniem – w imieniu Zarządu Oddziału Gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego

Lech Bądkowski
Józef Borzyszkowski
Alina Ceynowa



Gratulacje Annie Łajming składają Lech Bądkowski i Izabella Trojanowska

(Fot. A. Klejna)

rozwijania Pani talentu, z którego my, wdzięczni czytelnicy, tak wiele korzystamy.

Podjęła Pani dzieło pisarskie dość późno, każda jednak Jej publikacja świadczy dobitnie, że od kiedy zaczęła Pani patrzeć na ludzi i świat czujnymi i coraz lepiej rozumiejącymi oczami, zaczęła Pani również gromadzić wiedzę i doświadczenie, które później tak znakomicie ujawniły się w książkach.

WIELCE SZANOWNNA PANI
ANNA ŁAJMING

Jest w Pani pięknej twórczości tyle prawdy o naszym świecie i o nas samych, że wprost zdumiewa, iż można tak wiele dostrzegać i tak głęboko przenikać. Zwłaszcza opowieść o naszym dniu wczorajszym skłania do filozoficznej zadumy: czy dzień ów skończył się już bezpowrotnie, czy jeszcze się tli? Nie wszystko, co

w nim było piękne, szlachetne i cenne musi ulec prawu przemijania. Niejedno warte jest utrwale-
nia i przeniesienia, a obowiązek ten spoczywa
na nas, którzy zostaliśmy w tym odchodzącym
świecie uformowani, którzy – świadomie bądź
nieświadomie – jesteśmy nosicielami jego war-
tości. Tak zdają się przemawiać Pani dzieła;
uczą jak czerpać z tej schedy.

Do nas, którzy od dzieciństwa usypiani byli-
my szumem sosnowych borów, ta twórczość prze-
mawia może najsilniej. Wszak w dużej mierze
jest tylko przypomnieniem własnych doznań,
uświadomieniem zakorzenionej miłości ku rodzin-
nej ziemi. Pani wie o tym najlepiej, że nie-
skorzy jesteśmy do uzewnętrzniania uczuć i na-
strojów. A przecież tę miłość do naszych stron,
do ludzi pośród których wzrastaliśmy, nosimy
głęboko w sobie. Ona utwierdzała się w nas
przez długie pokolenia i wyssałyśmy ją z mlekiem
matczynym. Teraz, czytając każde Pani opowia-
danie, wydobywamy ją z utajenia.

Nie mówimy o radości, szczęściu i miłości, żal
i smutek wyrażamy co najwyżej półsłowem, choć
przeżywamy z całą mocą. Bohaterowie Pani opo-
wieści także są oszczędni w słowach i sponta-
nicznych gestach, a przez to tak bliscy naszej
naturze. Rozumiemy ich odczucia i reakcja, ich
sposób wartościowania otaczającego świata. Je-
steśmy dziś tylko cokolwiek dalej; dostrzegamy
więcej zjawisk, potrafimy wiązać je w łańcuch
przyczyn i skutków. Nie jesteśmy już tak bardzo
uzależnieni od fatalnych zdarzeń losu, lepiej po-
trafimy omijać przeciwności. Ale skala ocen po-
została w swym zarysie niezmienna, ukształtowa-
na już dawno i przekazana nam w dziedzictwie.

Nie pisze Pani o wielkim szczęściu, bo ono
było w naszej południowej stronie, w pustko-
wiach i na leśnych drogach gościem rzadkim.
Jeśli zawitało do czyjejs zagrody, jeśli uśmiech-
nęło się do kogoś, to było nietrwale albo przy-
ćmione. Wymiar szczęścia przybierały dni wy-
tchnienia od ciężkiej pracy, chwile ulgi od trosk
codziennych. Oczekujemy dziś zwykle więcej od
życia, ale nadal cenimy radości drobne, układa-
jące się w mozaikę ludzkiego bytu. Kierujemy
się czasem innymi obecnie motywami działania,
ale wypływającymi z tej samej co w poprzednim
pokoleniu mentalności. Jesteśmy wciąż korzenia-
mi w tym świecie, którego portret tak świetnie
Pani tworzy. Stamtąd czerpiemy soki.

Otrzymujemy od Pani tak dużo, iż trudno
w słowach wyrazić całą wdzięczność. Niechaj
jednakże nasz głos będzie skromnym znakiem
uczucia, jakie Droga, Szanowna Pani budzi swym
talentem. W dniu radosnego jubileuszu 75 roc-
nicy urodzin chcielibyśmy powiedzieć więcej,
szczególnie o tym, jak niecierpliwie oczekujemy
na nowe książki, jak gorąco przyjmujemy wszy-
stko spod Pani pióra. W tym niechaj Pani ła-
skawie upatruje źródła naszych prawdziwie ser-
decznych życzeń: oby jak najdłużej służyło Pani
zdrowie i siły, oby jak najszczodrzej obdarzała

Pani naszą kaszubską ojczyznę klejnotami swo-
jego pisarstwa.

Z wyrazami głębokiego podziwu, szczerzej po-
dzięki i czci – w imieniu Zarządu Oddziału
Chojnickiego ZK-P

**Kazimierz Ostrowski
Zbigniew Stromski
Klemens Szczepański**



Annie Lajming składa gratulacje dyr. WOK-u Jerzy
Kiedrowski. (Fot. A. Klejna)

SZANOWNNA PANI ANNA LAJMING

75 rocznica Urodzin Pani jest także świętem
dla środowiska literackiego Wybrzeża, pracow-
ników i działaczy kultury oraz wszystkich czyteln-
ków.

Z okazji tego Jubileuszu dyrekcja i pracownicy
gdańskiego Wojewódzkiego Ośrodka Kultury
składają Pani najserdeczniejsze życzenia i gra-
tulacje.

Wrażliwość, dar obserwacji., świetna znajomość
realiów życia i gwary na Kaszubach sprawiają,
że twórczość Pani zajmuje szczególne miejsce w
kulturze.

Dziękując za dotychczasowe dokonania lite-
rackie oczekujemy kolejnych utworów wierząc, że
dostarczą one wielu niezapomnianych wrażeń
i wzruszeń.

W tak uroczystym „Dniu” życzymy Pani dużo
zdrowia, radości codziennej i wielu literackich
sukcesów.

**Jerzy Kiedrowski, Barbara Madajczyk
Edward Budziwojski, Jadwiga Baka**

Wspomnienia z młodości ⁽¹³⁾

Anna Łajming

W ten niedzielny poranek ojciec długo stał na progu zapatrzonego w las, dopóki nie wyłoniła się z niego Agata. Aby nie wyglądało, jakoby na nią czekał, cofnął się do izby i niezwłocznie sięgnął po modlitewnik.

Agata weszła do kuchni, bo najczęściej tam można było zastać mamę. Oznajmiła matce, że jej amerykańskie buty są za duże i obtarła sobie pięty. Dlatego prosi o papier, którym chciała wypchać czubki, chyba że do kościoła zabierzemy ją koniem?

— Jo nie wiem, cze Jonk będzie choć jechac.

— Jo go widzała na progu westrojonego — powiedziała Agata.

— Czasem jemu cos do głowe srujnie, żebe się westroic, choc doma sedzy — odrzekła mama i otworzyła drzwi do pokoju. Zapytała ojca czy nie pojedzie do kościoła, ale on oświadczył, że woli się modlić w domu niż pieknić się z tak dzikim koniem, który wyprzedzić chce wszystkie furmanki. Wtedy Agata wzięła gazetowy papier i wypychała go do butów, opowiadając przy tym o Somionce, że często choruje i zapewne już długo nie pociągnie. Może dlatego, że całe życie nie lubił człowiekowi dogodzić... W połowie tego zdania ktoś kijem stuknął w drzwi i do środka wolnym krokiem wszedł Michał z Łysej Bani. Mama zerwała się z miejsca a kot schował się pod ławę.

— Witajże, Michale! — zawołała. — Tak niespodziewanie? To te muszlo wczas z doma wyndz, co te ju o 9-tyj jes w Porzynie?

— Bóg zapłać! O 5-tyj żem weloż... — rzekł witając się z nami. — Jo. Do Przymuszowa beło bliżi.

— A ni mosz te konia? — zdziwił się ojciec.

— Jesz konia dragazec... — rzekł po chwili i westchnął ciężko. — W niedzielę koń też chce odpoczywac. — Potem usiadł i milczał.

Kiedy zniknęła Agata, nikt nie zauważył. Mama spiesząc się, krociła wędlinę i wybijała jajka na gorącą patelnię. Do stołu trzeba było Michała prosić kilka razy. Rozmawiając z ojcem udawał, że zaprosin nie słyszy, bo taki był w Tuszkowach zwyczaj. Do stołu przysiadł dopiero wtedy, kiedy ojciec nalał już do filiżanki kawy.

Po śniadaniu mama wypytywała Michała o nowiny z Lipusza i Tuszków, ale on odpowiadał półsłówkami, jakby go coś gryzło. Wreszcie zakolysał się dziwnie i poprosił mamę o pożyczkę. Potrzebuje pieniędzy...

Mama była tak zaskoczona, bo sama ledwo latała dziury, że odrzekła dopiero po chwili.

— Teru po wojnie me ni moma detków. A za przędzenie tego lnu jo wama zaplacołam. W Przymuszu wie to bolo co inszygo...

— Me wiedno cotce oddali...

— Jo wiem, że wa oddali, ale teru je mortus. Detków ni ma, ani ich nie będzie. Nicht ich ni mo.

Twarz Michała nic się nie zmieniła. Zerknął tylko, kiedy mama otworzyła szufladę stołu, w której niegdyś leżały złociaki. Dziś, do tej samej szuflady mama włożyła sztucce. Pudełko od cygar, z paroma groszami, stało teraz zamknięte w szafinierce.

W sprawach finansowych ojciec nie zabierał głosu, więc przyglądał się przejeżdżającym drogą do kościoła furmankom. Wtedy Michał uderzył w najczulszą stronę matki:

— To je szkoda. Bo widzy cotka, me ni moma detków a nasza nostarszo Władysa chce isc do klosztoru...

Wtedy mama wykrzyknęła z żałością w głosie:

— Inaże! Jako to je szkoda, że dziewczę chce isc

do klosztoru, a tu człowiek ji pomoc ni może! A jenny, kochany! — I mama z rozpaczny aż spłotła dlonie.

Teraz Michał już był pewny, że pieniędzy u nas nie ma. Toteż zaraz zerknął na zegar i wstał. Ledwo mama zatrzymała go na obiedzie.

Wieczorem mama poszła do sadu i strząsnęła parę dojrzałych, czerwonych śliwek. Chociaż byłam w pobliżu, nie wiem jak i kiedy znalazł się obok niej nabożny Teoderek z książeczkami pod pachą.

Zauważyłam, że ten wiecznie ponury człowiek, wręczając mamie książeczki, sfaldował twarz w uśmiechu i obnażył zęby. Po chwili mama pobiegła do domu i gorączkowo wybiegła trzymając w ręku pieniądze, by wręczyć je Teodorkowi za książeczki dla całej wsi.

Być może, że wypsztykała się z pieniędzy do reszty, bo już na drugi dzień w południe, akurat kiedy robiłem papierowe koronki do półek kuchennych, wysłała mnie do Lipusza, abym w Banku Ludowym odebrała jakieś procenty od pieniędzy zdeklarowanych kiedyś na Pożyczkę Narodową. Patrząc na moje papierowe wygibasy, rzekła:

— Te tu pezglisz rozmaite niepotrzebne frycle, jechej lepi po procenta.

Pojechałam. W lipuskim banku otrzymałam parę złotych i już wracałam na dworzec, kiedy spotkałam moją koleżankę szkolną, Andzię Knopik z Trzebunia, również idącą na pociąg. Zapadł już jesienny mrok, kiedy wsiadliśmy do pociągu. W pustym, mrocznym przedziale wciąż rozmawialiśmy o szkolnych czasach, aż na którejś stacyjce wszedł do przedziału młody człowiek. Był to znajomy Andzi. Rozmawialiśmy w trójkę. W Dziemianach Andzia wysiadła a ja zostałam z młodzieńcem sama. Opowiedział mi, że jest listonoszem w Skarszewach, w tej chwili na urlopie, że odwiedził już krewnych w Lipuskiej Hucie, a teraz jedzie do krewnych w Lubni. Rozmawialiśmy wesoło, żartowaliśmy i prędko zauważyłem, że młody człowiek zainteresował się mną. Cieszył się, że ja również jadę do Lubni, to też kiedy wysiedliśmy na stacji, odprowadził mnie kawałek w stronę Leśna, dziwiąc się, że nie boję się sama chodzić przez ciemny las. Teraz ja się zdziwiłam. Nocą, przy świetle księżycy, las wygląda najładniej — powiedziałam. Czułam, że w ciemności przygląda mi się z zainteresowaniem. Zapytał, czy w niedzielę, w odpust św. Krzyszta będę w Leśnie? I czy mogłyby się ze mną spotkać? Roześmiałam się, a nawet zażartować chciałam, że dobrze byłoby się zobaczyć w jasny dzień, ale coś mnie powstrzymało. Skinęłam tylko głową, mówiąc: — Będę w kościele.

— Ja będę stał na rogu domu Przeworskiego — rzekł i na pożegnanie uściśnął mi dłoń.

Rada byłam, że zostałam sama, nie dlatego, że lubiłam wędrować samotnie, ale dlatego, że chłopak był mi obojętny.

W domu palił się tylko „świtek”, stojący na okienku w ścianie kuchni. W dużej lampie zabrakło nafty i w izbie było mroczno. Ojciec jak zwykle drzemał razem z kotem na ławie. Spojrzał na mnie zaspanym wzrokiem. Oddałam mamie pieniądze oraz bułki, które kupiłam miałam u Bruskiego w Lipuszu. Młodsze siostry odrabiały zadania szkolne. Z kuchni doleciał krzyk cioci: Hepetetete i odgłos hałasującego na podłodze wieka. Wykipiało mleko, które postawiła na dużym ogniu. Odwrócona krzątała się przy wiadrach, a że była głucha nie słyszała syczenia na płycie i na podłogę rozlało się białe jezioro.

Zdjęłam buciki. Jeden z nich był dziurawy, więc pończocha była zabrudzona i podarta. Usiadłam w drugim ciemnym pokoju na ławie i dumając przez chwilę, zateśkniłam za innym życiem; bo jak już nie było pracy, to za własnym gniazdem i chłopak, z którym się pożegnałam, nie był mi już obojętny. Czekalam więc niedzieli.

W tym samym tygodniu wrócił z wojska Alfons. Choć był już w ubraniu cywilnym, maszerował jak wojskowy. Od razu zakrzętał się przy budowie pasieki. Do stołu zasiadało nas wtedy jedenaście osób. Ale już do wojska musiał się szykować Maks. Ten cichy Maks, który unikał zabaw i krył się w lesie albo na górze, wydawał się być zaniepokojony. Któregoś dnia, gdy byłam z mamą w kuchni, która siedząc na ławie pod oknem strugała kartofle, usłyszałam, że schodzi schodami do sieni. Przystanął na chwilę i nasłuchiwał. A że w kuchni była cisza, otworzył do niej drzwi. W rękę trzymał jakieś papierzyska. Ujrawszy nas, chciał się cofnąć ale było za późno. Podeszedł więc do płyty i otworzył drzwiczki, by spalić papierki ale one mu się rozsypały. Były to drobno zapisane kartki. Mama krzyknęła:

— Nie polże potrzebnego papieru bo to je szkoda! Tec choćbe jaja zapakować!

Maks tym szybciej pozbierał papiery i spalił je, nic nie mówiąc.

Pocerowałam swoje pończochy a Alfons, który już rozmawiał po kaszubsku, zreperował mi bucik jak potrafił. Akurat naciągnęłam szyszkę zegara, bo więcej nie miałam do roboty, kiedy Janek przyniósł parę książek od nauczyciela Machuta z Windorpii. Uradowana zabrałam się do czytania, ale myśl o chłopcu, którego poznałam o zmroku i z którym w niedzielę miałam się spotkać, przeszkadzała mi w czytaniu. Obmyślałam jak się ubiorę, o czym będę z nim rozmawiała itp. A tymczasem Janek opowiadał mamie, że skończyły się zabawy i teatry w Głównzewicach, ponieważ nauczyciel Gierszewski nagle się wyprowadził z Przymuszewa. Mama powiedziała jakby z ulgą:

— A po co ledze mają ślepią wetrzeszczac na uloszczpólów? Co im z tego przyńdzie?

Wreszcie przyszła niedziela i pojechaliśmy do kościoła. W cichości przeklinałam ranną mgłę, która wyprostowała moje karbowane loki wystające spod pilotki. W czasie nabożeństwa nie mogłam się modlić, a kiedy wychodziliśmy z kościoła, dostałam drgawek. Nie oglądając się, szłam w stronę domu Przeworskiego, obok którego przechodzić musiałam do zajazdu. Na rogu domu ktoś stał. To był on. Poznał mnie i uśmiechnięty, już z daleka zdjął kapelusz i trzymał go w dłoni, dopóki się ze mną nie przywitał. Podając mu rękę, spostrzegłam, że jedno oko ma pienne, drugie niebieskie. Zdebiałam, bo coś podobnego zobaczyłam po raz pierwszy w życiu. Nie mogłam wykrztusić słowa. Musiałam się też zmienić na twarz bo i on posmutniał. Mówiąc, unikał mego wzroku, patrzył w bok. Nie pamiętam wątku rozmowy, ale wiem, że mówiliśmy półgębkiem i na pożegnanie podałam mu rękę tak niezgrabnie, iż w pierwszej chwili nie trafiłam w jego dłoń. — Do widzenia! — powiedziałam — Rodzice czekają.

On zaledwie uchylił kapelusz i odszedł w swoją stronę. Nie wiem też, jak podeszłam do wozu, w którym siedzieli już rodzice i rozmawiali z opartym o niego wujem Festphalem, mocno postarzałym wdow-

cem. Moje nadejście chyba przeszkodziło im, bo Festphal zamilkł na moment. Prostując się, popatrzył na koła wozu i rzekł niby na pożegnanie:

— I wej tak to ce, Jonku, przeszło. Downi wozoles się na resorach, a teru sztukrocesz się w tumrotach...

— Lepi w swoich tumrotach niż na cedzych resorach — odrzekł ojciec i cmoknął na konia.

Do domu jechałam wstrzymując łzy jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy nie mogłam zabrać do domu żadnej ozdoby z kościoła.

Niedzielne popołudnie przesiedziałam w sady pod ścianą płotu z desek. Wrześniowe słońce jeszcze przygrzewało. Niektóre liście już pospadały z drzew, a te pozostałe na drzewach szeleściły smutnie. Czwórka młodszych siostr rzadko zbliżała się do mnie kiedy siedziałam sama. Tym razem niespodziewanie przysiadła do mnie, najczulsza z nich, Zofia. Porozmawiałymy chwilę i wtedy powiedziała mi, że jeśli już nie ma dla mnie pracy w biurze, to może znalazłaby się dla niej posada skrzypaczki. Ostłupiałam do reszty. Zosia posmutniała, kiedy jej wytłumaczyłam, co znaczy skrzypaczka, ale zza pazuchy wyciągnęła siedem złotych, które wcisnęła mi do ręki. To za grzyby, które zbierałam, a ona je sprzedawała. Wprawdzie dużo szyla dla sąsiedztwa jeśli mnie ktoś poprosił, ale za darmo. Nie umiałam brać pieniędzy, a może po prostu nie umiałam ich ocenić. Byłam zakłopotana. Za siedem złotych nowych trzewików kupić nie mogłam, ale w Chojnicach, na ul. Dworcowej był sklep ze starymi rzeczami. To też wkrótce potem pojechałam do miasta. Kryłam się przed znajomymi bo czułam, że jestem źle ubrana: stara skórzana pilotka, pocerowany beżowy płaszcz i dziurawe trzewiki.

Chybkim zeszłam schodkami do lombardu. Wyszukałam sobie czarne, mało zniszczone zamszowe czółenka na francuskim obcasie, za pięć i pół złotego. Włożyłam je na nogi a podarte wcisnęłam do teczki, która nie chciała się teraz zamknąć. Ujęłam ją pod pachę i czmychałam na dworzec choć miałam jeszcze parę godzin czasu. Na ulicy niespodzianie spotkałam Barana. Chciałam go wyminąć, ale on tak bardzo się ucieszył, że oboma rękoma ujął moją dłoń i pocałował ją. Wyglądał lepiej niż w Parzynie. Zapraszał mnie do kawiarni. Nie bardzo chciałam pójść, tłumacząc się teczką, ale spragniona ludzkiej życzliwości, jaką mi już w Parzynie okazywał, wreszcie zgodziłam się. Weszliśmy do prawie pustej cukierni. Nie wiedziałam gdzie podziąć otwierającą się taszę z butami. Kelnerka podała nam herbatę i ciastka, a Baran opowiadał mi nowiny z Chojnic. Przede wszystkim o znajomych, pozbawionych pracy i czas nam szybko zleciał. Kelnerka po raz drugi przyniosła herbatę i kiedy Baran popił gorący płyn, zakaszał. Odwrócił się i manewrował chusteczką wokół ust. A kiedy ją włożył do kieszeni, jakby przygnębiony przymilkł na chwilę. Zapytałam o godzinę. Miałam już tylko pół godziny do odjazdu pociągu i Baran podeszedł do sprzedawczyni. Przyniósł stamtąd jakiś pakuneczek. Były to trzy tabliczki czekolady i proszę bym je przyjęła. A kiedy się certowałam, sięgnął po moją teczkę ze starymi bucikami, które ułożył w ten sposób, aby zmieściła się jeszcze paczka z czekoladą i teczkę zamknął na zamek. Powoli szliśmy na dworzec. Kiedy pociąg ruszył, stałam w oknie a on długo machał mi kapeluszem.

(Cdn.)

Za borem, za lasem

Anna Czubaj

Osiemdziesiąt kilka kilometrów za Gdańskiem toczy się życie w innym wymiarze. Można je określić jako odrębny świat, czas miniony i na pewno każdy znajdzie tam coś, co zadziwi, zaskoczy, oczaruje. Może tak wydaje się tylko mnie zakochanej w miejscu, gdzie przeżyłam swoją najpiękniejszą przygodę. Na imię jej — Borowy Las.

Dla mieszczaucha wieś wciąż jeszcze kojarzy się z dachami krytymi słomą, z dumnym pochodem gęsi na drodze i bocianim gniazdem obok komina. Oglądając rolnicze programy telewizyjne bałam się, że takiego krajobrazu już nie spotkam. Nie od razu ale przecież znalazłam. Od szosy, którą jeżdżą jedynie autobusy PKS-u, ciągniki, motory i rzadko kiedy samochody osobowe, wolnym krokiem niespełna godzinę i dochodzi się do kaszubskiej wioski o nazwie Borowy Las. Nazwa nie kłamie, lasy rozpościerają się wokół i to wspinała, borowikowe, kryjące w sobie tajemnicę ciemnych gąszczy, potężnych konarów i małych jezior.

Pod borem jedno lub dwa zabudowania, chaty ze strzechami, które zdążył pokryć mech, okna malowane na zielono lub niebiesko, pelargonie na parapetach i gliniane garnki na płocie. Kapliczka w środku wsi, przy której w maju ludzie odprawiają nabożeństwa, wielkie bochenki białego chleba na stole, sanie z dzwonekami zimą to tylko niewielka część romańtyzmu lub jak kto woli oryginalności tej kaszubskiej wioski. Na centrum osady składa się dwanaście domów, stara szkoła, nowa szkoła i mały kiosk spożywczy, pozostałe gospodarstwa oddalone nieraz o kilometr. Tu właśnie postanowiłyśmy z Hanią zamieszkać i podjąć pracę nauczycielek. Przy osiedlaniu towarzyszyła nam trema a nawet strach: przed szkołą, przed paleniem w piecu, przed samotnością ale największy przed tymi ludźmi, którzy patrzyli z daleka i mówili coś o nas swoją gwarą, czego nie rozumialiśmy.

Przecież przed wyjazdem akceptowanym tylko przez nielicznych znajomych i nikogo z rodziny ostrzegano nas: „nie uznają obcych”, „są nieprzystępni i nieżyczliwi”, „nikt wam nie pomoże”, „dobrego słowa nie usłyszycie”. Uśmiecham się wspominając te przestrogi. Ile godzin przesiadywałyśmy na długich rozmowach z tymi „nieprzystępnymi”, jak szybko stałyśmy się nie „te obce” a „nasze szkolne”. To prawda, że przez miesiąc nie zamieniłam z nikim słowa oprócz pozostałych nauczycieli, sklepowej i dziadka na wykopkach, z którym porozumiewałam się przy pomocy tłumacza z siódmej klasy. Nasze początkowe stosunki z wsią opierały się na wzajemnej obserwacji i obie strony czekały na sposobność do bliższego poznania.

Na pierwsze spotkanie z ludźmi ze wsi nie musiałam długo czekać, wiązało się ono ze śmiercią byłej kierowniczki szkoły, od sześciu lat przykutej chorobą do łóżka. Pracowała długo w Borowym Lesie, około dwudziestu lat, potem zachorowała na raka, straciła wzrok, część ciała była sparaliżowana i bezwładna. Mieszkała z córką tak jak my w starej szkole, po przeciwnej stronie korytarza. Zajmowałyśmy wówczas tymczasowo harcówkę, jedno pomieszczenie nie bardzo przystosowane do zamieszkania, taka zwykła prowizorka bez kuchni, bez urządzeń sanitarnych z kopającym piecem.

Był wtorek, bo Hanka szykowała się do drogi, gdyż jak co tydzień jechała do Gdańska na wykłady i ćwiczenia. Idąc po wodę do studni usłyszałam przypadkowo jak córka kierowniczkówny wysyłała dziecko woźnego po ojca bo właśnie zmarła jej matka. Wróciłam by wyłączyć adapter. Wieczorem panował w starej szkole

niezwykły ruch to zesła się wieś na modlitwy przy zmarłej. Przez kilka godzin do mojego pokoju dochodziły odgłosy różańca, korytarz i podwórce było pełne nieznanymi osobami. Dzień następny niczym się nie różnił i znów nie zostało mi nic więcej jak zamknąć się w swej poczekalni (tak nazwałam harcówkę) i nie wytykać nosa na zewnątrz.

I znowu trudno było znaleźć zajęcie, radio wyłączyłam, nad książką nie mogłam się skupić, wszelkie gospodarskie czynności wymagały wyjścia chociażby po wodę. W czwartek nareszcie przyjechała Hania, zaraz po lekcjach zgodnie ze zwyczajem wysłałam po nią na przystanek. Do domu trudno było się dostać, dzisiaj już nie tylko mieszkanie zmarłej ale cały korytarz a nawet schody oblepione były ludźmi. Ostatnie godziny przed pogrzebem są chwilami niezwykłymi. Jest to tzw. „pusta noc” poprzedzona długimi modlitwami zebranych, poczęstunkiem przygotowanym przez rodzinę, podczas którego trwa do rana czuwanie przy otwartej trumnie.

Przez dwa poprzednie wieczory zdążyłam się trochę przyzwyczaić do specyficznej atmosfery z za ścian, Hania przeciwnie była niespokojna i przerażona. Pod oknem, za drzwiami, wszędzie byli ludzie, do pokoju docierały rytmiczne słowa „módl się za nami”, którym akompaniował silny, jesienny wiatr, podkreślający jeszcze istniejący nastrój. Pogrzeb wyznaczony był na przedpołudnie. Trumnę wieziono wolno a za nią szedł długi pogrzebowy kondukt od wsi do szosy i dalej, nadal pieszo, siedem kilometrów do Sulęcyna. Właśnie na pogrzebie spotkałam całą wieś. Tylko nieliczne twarze były mi znane, poznawałam tych z Borowego Lasu po uśmiechach, po „dzień dobry”, po nieznających uwagach na temat ceremonii skierowanych w naszą stronę.

Od pogrzebu z większością wymieniałam ukłony, najczęściej kobiety zatrzymywały się by ze mną lub z Hanią zamienić kilka słów chociażby o pogodzie. Pytano nas o nasze życie, jak dajemy sobie radę, czy nie boimy się mieszkać w domu okrytym żałobą. Na krótko po tych wydarzeniach po raz pierwszy weszłam do kaszubskiej chaty. Spadł śnieg, wiatr, zadyмка od razu uczyniły drogi niedostępne dla pieszego wędrowca. Żeby dotrzeć do przystanku trzeba minąć pierwszy i drugi zagajnik, „pustą chatę”, bagienko i ciągnące się do Kamiennego Bonku pola. Wiedziałam już po kilku krokach, że przebycie tego dnia, wydeptanie dziesiątki razy, znanej na pamięć trasy jest niemożliwe.

Dom przy drodze nie wyglądał zachęcająco, trzy groźne psy i pogaszone światła. Psy ujadły coraz głośniej, zwłaszcza gdy weszłam na podwórze. Stojąc nieruchomo pomyślałam, że jeśli domownicy są obecni powinni zareagować na ten jągot. Nie myliłam się, wyszedł ktoś z latarką oślepił mnie kierując promień światła prosto w oczy, krzyknął „szkolna” i zniknął. Stałam jeszcze kilka sekund, kolejna postać, kolejne oślepienie latarką i zaproszenie do wejścia. Znalazłam się w czystej, ciepłej kuchni.

Gospodyni ubijała w wielkim garze ziemniaki dla świń, dzieci uciekły do pokoju, gospodarz, który mnie przyprowadził usiadł bez słowa na zydlu ruchem ręki proponując mi to samo. Wy tłumaczyłam, że za godzinę wraca Hania, że inaczej nie dostanie się jak tylko saniami, zaproponowałam zapłatę. Gospodarz chwilę młkwał, poczęstował papierosem, zawołał najstarszego syna i kazał zaprzęgać. Zgodził się zawieźć, ale jak sam powiedział: „za dobre słowo a nie za pieniądze”. Przyjrzałam się jego twarzy, wyglądała na pięćdzie-

siat lub sześćdziesiąt, chociaż z wieku dzieci mogłam wnioskować, że jest młodszy. Wszystko na nim i w nim wydało mi się szare, szorstkie i wygniecione: ubranie i ręce, i czoło, i nawet oczy. Kazał okrócić plecy kożuchem, na nogi zarzucił koc. Miejscami zaspy były tak olbrzymie, że koń się buntował, stawał, próbował, wracał. Nie odbyło się bez wywrotki.

W czasie drogi słuchałam opowiadań o cięższych zimach, o czasach nie tak odległych, kiedy była kierowniczką szkoły dowożono saniami na konferencję do Sierakowic. Drogę wybudowano osiem lat temu, nowa szkoła istnieje od czternastu, tak samo, jak światło i telefon. Nic dziwnego, że prawie każdy gospodarz posiada sanie, często jedyny środek lokomocji od listopada do marca. Lekarz przyjeżdża do chorego pojazdem na płozach, w ten sam sposób noworodki podróżują ze szpitala do domu. Sanie nie są jednak wykorzystywane na co dzień, można przejść pieszo, zwłaszcza gdy wiesz opuszczają ludzi z konieczności, takiej jak wizyta w ośrodku zdrowia, zakup wyjątkowego sprzętu, sprawa do załatwienia w urzędzie.

To właśnie jedna z charakterystycznych cech Kaszubów, niechęć do przenoszenia się, życie w obszarze swojej zagrody. Mieszkająca blisko nas, około sześćdziesięcioletnia kobieta przez cały rok nie była na skraju wsi a to przecież nie więcej niż dwieście metrów. Dowiedziałam się, że większość kobiet raz na kilka lat jedzie do Kartuz i Gdańska, raz w miesiącu lub rzadziej do Sulęcyna czy Sierakowic. Nie muszą, nie jeżdżą. Chleb upieką same, konserwy kupią w sklepiku, drób mają na podwórzu, mleko w oborze, a od załatwiania ważniejszych spraw są mężczyźni. Przez te miesiące przeżyte wśród Kaszubów zauważyłam, że są gościnni choć nie koniecznie towarzyscy. Sąsiedzkie stosunki ograniczają się do spotkań przy kiosku, rozmów na drodze, do przyjazdu na kilka minut w celu załatwienia jakiejś sprawy.

Odviadzają się prawie wyłącznie rodziny i niekiedy mężczyźni by zagrać w skata lub baśkę. Propozycja wysunięta przez szkołę by zorganizować zabawę dla dorosłych nie doszła do skutku, nie było chętnych. Odviadzając kaszubskie domy spostrzegłam jak wielką rolę przywiązują do życia rodzinnego. Wieczory spędza się przy wspólnym posiłku, rozmawiają o minionym dniu, robią plany na następny. Przeszkadza trochę w ich życiu telewizja, za którą dorośli nie przepadają. Rozmowy przy herbach przekonały mnie jednak, że świetnie wiedzą co dzieje się na świecie, orientują się w wydarzeniach w kraju.

Bez entuzjazmu witają nowości, przystają na to co poznane i sprawdzone. Rodziny, choć ich nie jest we wsi dużo, są liczne, niekiedy posiadają jedenaścioro i trzynastoro dzieci. I tak za mało żeby nie było łączonych klas, a tak piąta z szóstą, siódma z ósmą, czwartej i drugiej nie ma wcale. „Kaszubi”, mają olbrzymie trudności z ortografią, z gramatyką, z czytaniem, a nawet ze zrozumieniem tekstu.

— Usta jak maliny, to jakie usta? — pytam przy wprowadzeniu porównania,

— Czerwone — odpowiadają chórem.

— Oczy jak chabry, to jakie oczy?

Patrzą zdziwione.

— Jakiego koloru są chabry?

Zdziwienie jeszcze większe. Stoję oślepiała nie wiedząc skąd to milczenie, domyślałam się dopiero po chwili.

— Co to są chabry?

Milczenie, więc jednak miałam rację.

— Jak nazywają się kwiaty, które rosną z makami w zbożu?

Teraz odpowiada znów chór.

— Modraki.

Pytania są nieraz zaskakujące: „Dlaczego dzieci w Gdańsku nie uczą się kaszubskiego?” „Dlaczego nie ma podręczników pisanych po kaszubsku?”. W końcu zgadzają się na gwarę i zaczynają darzyć sympatią Górali za to, że też mają swój odrębny język. Na lekcjach polskiego coraz częściej dochodziłam do wniosku, że bardziej przydałoby mi się kaszubskie pochodzenie lub kilka lat uprzednio spędzonych tutaj niż studia uniwersyteckie.

Uczniowie bazują na doświadczeniu w swoim dziecięcym chociaż nieraz tak dojrzałym i realistycznym widzeniu świata. Był temat wypracowania: „Kim chciałbym zostać”. Zrobiło mi się smutno przy sprawdzaniu zeszytów. Czy te dzieci nie mają marzeń? — pytałam samą siebie. Gdzie się podziały tak ponętne dla chłopców kariery, jak lotnik, kosmonauta, marynarz? Dlaczego żadna dziewczynka nie chce być aktorką, lekarzem lub chociaż nauczycielką? Nawet te z trzeciej pisały jak przez kalkę: rolnik, mechanik, krawcowa, rolnik. Tylko u jednej znalazłam przedszkolanka a u innej kelnerka w restauracji GS-u w Sulęcynie. To nie tylko odziedziczone z krwią zamiłowanie do gleby, to trzeźwe określenie swoich możliwości.

— Przecież nas nigdzie nie przyjmą tylko do zasadniczej w Sierakowicach — odpowiadają ci z ósmej gdy zarzucam im brak ambicji. Niestety wiem, że to prawda. Nawet najlepszy, piątkowi tutaj, tam nie dorównują prymusom. Kto winny? Nauczyciele, szkoła, rodzice, dzieci? Czy naprawdę nie ma wyjścia? Nauczyciel matematyki uczy polskiego i geografii, biolog — rosyjskiego i wf-u. Tego nie można zmienić, do tak niewielkiej liczby uczniów nie można zatrudnić większego personelu, a polonistę lub fizyka z wykształcenia trudno w ciągu roku przygotować się merytorycznie i metodycznie z czterech innych przedmiotów, których musi uczyć.

Ważnym problemem jest nieodpowiednie wykształcenie i przypadkowość pracy w szkolnictwie oraz przerażająca wprost rotacja nauczycieli. W Borowym Lesie jedynie dyrektor z żoną pracują od sześciu lat, początek tego roku szkolnego zaczęli we dwoje, biorąc na siebie z konieczności pięć etatów. Nie było chętnych. Dokładając do tego dwoje małych dzieci, dyrektora studia zaoczne, zdobywanie przez żonę koniecznych wiadomości z zakresu nauczania początkowego według nowego programu, to powstaje sytuacja godna podziwu ale na pewno niezachęcająca do pracy na wsi. Właśnie przy tych odległościach, skąpym zaopatrzeniu i innych trudnościach, które przynosił każdy zwyczajny dzień.

Obserwując tych młodych ludzi wciąż pełnych zapału, nie narzekających, wstydziłam się gdy nasi przyjezdni znajomi wypowiadali na nasz temat słowa podziwu. Najczęściej nowy nauczyciel przychodzi w sierpniu a odchodzi w czerwcu. Borowych Lasów w tej gminie jest wiele, pozostają i inne gminy w sytuacji podobnej. Koleżanki ze studiów nie mogą znaleźć w Gdańsku pracy i też rozumiem ich racje: maż po transporcie morskim, dziecko, którym tu zaopiekuje się matka, oczekiwane mieszkanie na Suchaninie. I to z czego najtrudniej zrezygnować: kino, teatr, towarzystwo.

Przyjechała krewna z dziewięcioletnią córką. Beata ogląda zeszyty: „Ciociu, ty stawiasz trójkę za tyle błędów?” i mówi to w momencie gdy ja dumna jestem, że Leszek po ostatnich dwudziestu kilku błędach ortograficznych w niedawnym dyktandzie, zrobił w tym tylko osiem. Za chwilę Beata odmienia bez zająknięcia przez wszystkie przypadki i piec, i szafy, i zydle. Żeby tak moje dzieci myśle, i przychodzi to okropne rozczarowanie, zniechęcenie. Żadna ze mnie nauczycielka, nigdy ich nie nauczę, odkładam zeszyty i patrzę na futerko Beaty, na jej gładkie ręce i policzki, słucham za mądrych uwag, wyłapuję bogactwo słownictwa jakim operuje. Jest jedynaczką, ma osobny pokój, książki dostosowane do wieku, poranki, lodowisko, w niedzielę muzeum i wystawy.

Leszek dzieli dwa pomieszczenia z rodzicami i dzieciątką rodzeństwa, oprócz szkoły ma pracę w gospodarstwie, ubranie zdziera po starszych braciach, rekawiczek może nigdy nie posiadał. W domu mówi się tylko po kaszubsku, nie ma książek i czasopism, może raz był w muzeum w czasie szkolnej wycieczki. Przystaje się dziwić, że nie mają ambicji, marzeń i rozumiem, że podania ośmioklasiści kierują do zasadniczej szkoły w Sierakowicach. Przystaje się buntować czytając: rolnik, krawcowa, rolnik.

Rodzice też nie marzą. Bożena jest zdolna, pracowita, ambitna, jedyna która się naprawdę wyróżnia. Zenek, wychowawca ósmej klasy tłumaczy: „Może

choć technikę ogrodniczą, w końcu, że córka chciałaby zostać przedszkolanką. „Kawowa”, to zdecydowane słowo przewija się przez całą rozmowę. Dziewczynie nie potrzebny zawód, potrzebny dom. Szyjąc ubiera siebie, dzieci, może jeszcze dorobi, będzie miała czas dla rodziny i gospodarstwa. Natomiast Mirka do rolnictwa się nie nadaje, nie czyta na lekcjach w-fu, zawroty głowy, krwotoki. Uczy się słabo, za to pięknie haftuje, wyszywa, szydekuje.

Podanie do Zasadniczej Szkoły Odzieżowej w Gdyni wraca z odpowiedzią „nie przyjęta”, słabe oceny i tendencja by wiejskie dzieci zostawały na wsi. Pozostaje jeszcze Bytów ze szkołą o podobnym profilu, już nawet rodzice pokryliby koszt kursu ale za stancję płacić nie będą. Internatu nie ma! Chcąc dojeżdżać musiałaby wstawać o piątej lub wcześniej, maszerować siedem kilometrów do przystanku i wracać późnym wieczorem. Zimą trudne do przebycia zasy, drogi zawiane, autobus najczęściej się spóźnia i nie zawsze zabiera pasażerów.

Zygmunt i Staszek nie rozpoczynają w tym roku nauki w szkole w Sierakowicach bo trzeba wybudować dom. W czasie wykopków frekwencja prawie „żadna”, „Syn nie przyjdzie jutro bo młóćmy”, to częste powiadomienia w dzienniczkach uczniów. Wracając ze spaceru wchodzę do domu nad jeziorem. — A gdzie dzieci? — pytam. Jesienią byłabym zdziwiona, może oburzona. Jest wiosna i przyjmuję zwyczajnie, że Edek obrażają, Ania doł i Halinka przebiera ziemniaki. To i tak zadbane dzieci i w miarę przygotowane do lekcji. Romek zasnął na historii chociaż to jego ulubiony przedmiot, wczoraj orał.

Zimą kiedy temperatura spadała poniżej dziesięciu i piętnastu stopni niżej zera targowałam się z Hanką o każdą chwilę pod ciepłą kołdrą. Wystarczy przecież dwadzieścia minut na ubranie i mycie, szkoła jest po przeciwnej stronie drogi. Dzieci zjawiały się zawsze przed ósmą, nawet pierwszaki. Te ze Starej Huty musiały wychodzić o siódmej, to jednak trzy kilometry, do Bawernicy cztery, do Lemanów też trzy. To, co dla nas trudne, dla nich było zwyczajne. Dobrze, że spotykałyśmy się z takim wyrozumieniem.

Początkowo kiedy jeszcze z ludźmi ze wsi wymienialiśmy tylko pozdrowienia była Ula i dyrektor. Wcale się nie śmiał gdy zobaczył mnie zapłakaną bo nie ma światła, bo piec kopci, bo zimno i strasznie. Jako pretekst wymyślił karty a już Ula zajęła się resztą, była i gorąca herbata, o której marzyłam cały dzień i placki pieczone w popularnej tutaj wafelnicy i przyjemna rozmowa. A rano kiedy zobaczyłam słońce nad lasem, jeziora, „skansenowskie” chaty i dzieciaki pod szkołą przestawałam żałować. Potem była choinka w szkole, inscenizacja ballad Mickiewicza, montaże wierszy i piosenek o zimie oraz paczki ze słodyczkami. Widownię tworzyli rodzice, patrzyli na występy pociechy, uśmiechali się do nas, ktoś powiedział, że ładnie, że musiałyśmy się napracować. Właś-

nie wtedy zaczęłam rozmawiać z tymi ludźmi bez oporów a oni chętnie podchodzili, pytali o oceny synów, córek, interesowali się naszym życiem.

Po raz pierwszy poczułam się zaakceptowana, przy należna, borowoleśna. Później kiedy zima utrudniała zaopatrzenie sklepiku znalazłam pod drzwiami anonimowy dar — torbę z jajkami. Nigdy nie dowiedziałam się od kogo, charakterystyczne dla Kaszuba, dać ale bez „dziękuję”. O życzliwości przekonywali drobni biazgami. Był ledwo wyjęty z pieca bochenek swojego chleba przyniesiony tuż przed naszym wyjazdem na gwiazdkę, był słoiczek miodu przesłany przez dzieci gdy z powodu chorego gardła mówiłam szep-tem.

Z czasem kiedy przychodziłam do ich domów traktowali mnie zwyczajnie, właśnie jak swojego. Nie było skrupowania, nie przerywano pracy, rozmowy dotyczyły ich najzwyczajniejszych spraw, opowiadali o radościach i kłopotach. Dumnie pokazywali małe cielaczki i jagnięta, częstowali kawą, zapraszali na kolację. Lubili kiedy przychodziłam, czuli się zauważeni, równi. Aluzyjnie dano mi kiedyś do zrozumienia, że w jednej wsi odwiedziłam tylko dom najbogatszego gospodarza. Był to wykryty zbieg okoliczności, ale zrozumiałam wówczas jak bardzo są wrażliwi. Wrażliwi i dumni, unikają ludzi z zewnątrz, często przez zwykły lęk, do którego nie chcą się przyznać. Jest to lęk przed nieuczciwością, zachłannością, pędem. Może właśnie stąd bierze się ich hermetyczność, wśród swoich nie czują się zagrożeni, wiedzą czego mogą się po sobie spodziewać wiedzą, że w obręb ich gospody nikt nie wtargnie. Tu mają poczucie bezpieczeństwa, z niego bierze się ich pewność siebie, wewnętrzny spokój.

Zależni są przede wszystkim od przyrody, jest to zresztą jedyna uznawana przez nich zależność. Po części rozumiałam ich niechęć do nie swoich, wystarczyły mi moje i Hani częste podróże autobusami. Niemal za każdym razem na trasie Gdynia — Sulęcyno byłam świadkiem złego odnoszenia się do tych ludzi. Kierowca jest „panem” pojazdu, od niego zależy kto wsiądzie, komu powie „nie wezmę”. Zwracanie się na „ty”, przeklinanie, pomiatanie starszymi to autobusowa codzienność. Jak często z ust kierowców słyszałam słowo „Kaszub” użyte jako obelga, wyzwisko. Podobnie zachowują się turyści spędzający weekendy w sulęczyńskiej restauracji.

Nie ma w tych ludziach kompleksu. Są wręcz dumni, że zachowali swoją odrębność, lecz zrodziła się w nich nieufność do każdego z zewnątrz. Nie łatwo też zdobyć ich przychylną, uprzejmą ale ostrożną, do każdego nieznajomego podchodzą z rezerwą i dystansem. Zjednać można ich tylko szczerością. Jeśli nas polubili to za to, że my polubiłyśmy Borowy Las, za harcówkę w której sobie poradziłyśmy, za piesze wędrówki do przystanku i za dzieci przede wszystkim.

Przebiśnięgi

Bogusław Holub

Dzień pachniał zbudzoną ziemią. Woda z pól leniwie spływała do rowów, jedynie brudne pagórki ubitego śniegu przypominały o dokuczliwej zimie. A może te koralowe kwiaty ustawione na stołach przykrytych białym prześcieradłem, tworzyły wiosenny nastrój. Jakby z tej śnieżnej bieli wytrysnęły barwnymi kielichami. I te szklane napełnione sherry cordial, które niewiele różniły się od krwistych tulipanów. Na talerzykach kruche gwiazdeczki, półksiężycy własnego wypieku, nadziany rodzynkami i skórka pomarańczowa puszysty sernik. Siwiutka pani, uśmiechając się, oczami zachęcała do udziału w ucztach.

— Za naszą fabrykę, dziewczęta, i za was — powiedziała nie wstając z ławy. Dziewczęta posłusznie spełniły toast, powoli sączyły wiśniowy napój.

Zadziwił mnie ten toast — za fabrykę. Dawno takiego nie słyszałem. Spytałem, co to znaczy? Starsza pani odparła, że fabryka też rodzaju żeńskiego, a dzisiaj przecież dzień kobiet.

Ta przewrotna odpowiedź nie wyjaśniła mi jednak wszystkiego. Ale czy to można w ogóle wszystko zrozumieć? Chociażby to babskie przyjęcie. Kto to widział aby urządzano je w fabrycznej hali, na przełomie dwóch zmian, no i ten likier ostentacyjnie ustawiony na środku stołów, te niepostrzeżenie przecież toasty i dyrektor, który śpiewa z dziewczętami piosenkę o zalotach...

Pytam go, czy się nie boi, że ktoś doniesie, że ta uczta w biały dzień i w zasadzie w godzinach pracy? Odparł, że te godziny na przyjęcie już wypracowane, a ludzie zasłużyli, żeby z nimi po ludzku, a nie po kątach, za plecami, po złodziejsku.

— Jak było groźnie, śnieżyce, zerwany transport, nikt tu nie zaglądał, nikt o nic nie pytał, ważniejsi potracili głowy, a teraz mieliby się gorszyć tym kieliszkiem wiśniaku...

— Sza, panie dyrektorze, może zimę zostawmy w spokoju, już jej nie ma, nie grzebmy się w śniegu.

— Oczywiście, oczywiście skowronki już śpiewają, siewcy rzucają ziarno w ziemię, baze kwitną radośnie. Tak, radośnie i wesoło. Tego pan chce?

— No nie, nie przesadzajmy, tylko, że wielu denerwuje się na wspomnienie zimy.

— Ci co siedzieli w ciepłych gabinetach się denerwują. Co? Niech się denerwują. Nam jeszcze uszy nie odtajały, stopy nie odmarzły i te zimy będziemy wspominali przez wiele, wiele lat. Po to, aby upewnić siebie i tych, co przyjdą, że nie ma na nas zimy, nie ma mrozów, zasp, nie ma, nie było i nie będzie nigdy klęski. Przynajmniej tu, na Kaszubach. Czy pan to rozumie?

— Jeśli pan tak mówi... Chociaż to brzmi jak przechwałka, nieskromnie.

— Wolałby pan abym mówił o tym, jak nadrabiamy zaległości, jak trudno nam to przychodzi, ale my się nie damy. Wolałby pan żebym kwękał, nasze trudności zwał na zime, na brak prądu, na brak surowców — to jest w modzie. I to nikogo nie drażni, rozumie pan? Przynajmniej połowa z tych co tak lamentują, tak deklarują zwiększony wysiłek dla wykonania planów, ma już ten plan w kieszeni. Ale jak to łatwo dobić się premii za takie „bohaterstwo”. Jest pretekst do stania się bohaterem. Sam znam kilku takich osobników i mnie to mierzi. Nie wykluczam trudności w kolejnictwie, w kopalniach, energetyce, może w niektórych wielkich zakładach, ale nie przesadzajmy. Mamy wiele pretekstów, aby dołączyć się do tego chóru płaczków. I jakbyśmy dobrze pokombinowali, to by nam musiano uwierzyć. Suro-

wiec na przykład sprowadzamy z daleka, zakład leży na uboczu przelotowych szlaków, samochody mogły ugrzeznąć w zaspach, i byłaby klapa. Ale tak się nie stało. W styczniu, lutym, marcu plany przekraczaliśmy regularnie, nie było próśb o prolongate.

— Pan nie chce orderu, krzyża, premii — pytam Karczewskiego.

— Dlaczego miałbym nie chcieć, ale za rzetelną robotę, nie wyludzone klęską. A przy okazji — powiem panu szczerze, tak naprawdę tośmy nie wiedzieli, że te trudności są takich rozmiarów. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to klęska.

— Więc lepiej żyć, pracować w niewiedzy?

— Najlepiej nie popadać w panikę, nie rozpaczając na zapas. No, i bardziej wierzyć w ludzi. Ja nie jestem zawodowym agitator, ja takich sloganów nie powtarzam trzy razy na dzień. Przychodzi jednak taki moment, że ludzie nie chcą aby im wierzyć, ale zmuszają do takiej wiary swoim postępowaniem. Co ja do tej pory wiedziałem o Jakubkowej, Kaszubowskiej, Giedonowej Ali Stobbe? Ot, pracują dobrze robią co do nich należy, zdyscyplinowane. A teraz patrz na nie i na setki dziewcząt, kobiet, inaczej. Teraz miałbym śmiałość zwrócić się do nich w potrzebie o największe poświęcenie. I wiem, że nie zostawiłyby mnie i tej fabryki na pastwę losu. Teraz mam te prawdziwą wiarę, sprawdzoną.

Kobiety, zajęte sobą, gdy Karczewski wymienił kilka nazwisk, skierowały uszy w naszą stronę. Gawędziły prawie szeptem żeby słyszeć każde słowo wymieniane między nami. Uśmiechały się tylko, jak do familijnego zdjęcia, patrząc w jeden punkt przed sobą.

— Bernadettka, Adelka, Helenka — zwrócił się Karczewski do dziewcząt — chodźcie bliżej. Dziewczęta zabrały ze sobą swoje talerzyki, tacki z kawą, przysiadły jak uczennice.

— Pan redaktor z tamtej strony klęski nie wierzy w was — powiedział prowokująco.

— A co ma nam wierzyć. My mu też nie wierzymy.

— Powiedzcie o naszej zimie, powiedzcie człowiekowi z miasta — podbechtował.

Zaśmiały się weselej. A najbardziej ta ze Słuzu — wsi, gdzie diabeł mówi dobranoc.

— Co tam mówić, najgorzej to było w pierwsze dni stycznia, pierwszy dzień szłam sama przez zasy 4 kilometry, do Lipusza, tam czekałam godzinę na autobus i po trzech godzinach byłam w fabryce. Później to mnie maż wozil sankami, każdy dzień, ani jednego nie opuściłam.

— Ja tam co dzień przez zasy — mówi Helena Giełdo — przez śnieg po pas. Z Polanek Małych szłam i jechałam do zakładu od czwartej rano do godziny dziesiątej.

Zając nawet drogi nie przetarł, a ja po pas w śniegu, tylko sarny miały mnie, jelenie, dziki...

— Dziki?

— Dziki szły obok mnie tak samo jak i ja, zmęczone, tyle że głodne — odpowiada Kaszubowska.

— Pani Adelo, w którym miesiącu ciąży pani jest — pytam te czarnooka.

— W siódmym — odpowiada.

— I nie bała się pani, że może się coś zdarzyć, no wie pani, przy tym wysiłku.

— A co mogło się zdarzyć, pierwsze urodziłam prawidłowo, to dlaczego to drugie miałoby się spieszyć...

Mówia mi o swoich tarapatkach, skostnieniu, przemrożeniu na przystankach PKS i w pieszej wędrówce. Słucham, lecz wierzyć w to trudno. Rozglądam się

po innych kobietach, chce uchwycić jakiś drwiący, sztycher uśmiech nad moją naiwnością. Ale wszystkie twarze jakby posmutniały, zamyślonie, już bez skazy uśmiechu. Jedynie ta siwiuteńka pani Ryńska, co dziewczętom matkuje, ma ciągle ciepły uśmiech na twarzy, przytakuje głową, jakby upewniała mnie, że to wszystko prawda. Ktoś zaciągnął z drugiego wydziału jeszcze jedną kobietę, właśnie tę Alicję Stobbe, która ze wsi Kobyłe trzydzieści dwa kilometry szła dziesięć godzin do Lubiany, żeby tylko nikt nie pomyślał, że bumeluje...

— Dzieci drogie — mówię — czy wyście kompletnie zgłupiały? Przecież tego nikt od was nie wymagał, po co to wam było?

— W komunikacji radiowej mówili o przemysłach, które mają ulgę przez te zamiecie, ale ceramicznego nie wymieniano, tośmy się tego trzymały.

— Ale przecież nikt by wam nie zrobił cienia wypowiedzi jakbyście siedzieli w domu.

— Same byśmy sobie wymówkę robiły.

— Ale dlaczego?

— To jest proste. Jak żniwa, czy wykopki — każda urlop dostanie. Jeszcze nie było wypadku odmowy. Fabryka nas rozumie, to dlaczego nie mamy rozumieć fabryki. Każdy ma swoje prawa, ziemia swoje, fabryka swoje. A my, do usług. Dyrektor mógłby nam też w lecie lub jesienią odmówić. Dyrekcja nas szanuje, nie możemy nie szanować dyrekcji.

— Wy wszystkie ze wsi, z gospodarstw?

— Wszystkie. Tutaj, w szkole zawodowej uczyliśmy się zawodu. Zawód trzeba też szanować. Tu większość ludzi ze wsi. Niech pan to sobie sam w głowie ułoży, jak można zostawić fabrykę dlatego tylko, że trochę więcej niż co roku zasp, wichrów, mrozu. U nas na Kaszubach tak co roku, śnieżyce, zimy, my oswojone.

Opowiadają o tym wszystkim bez jakiegokolwiek rozdrażnienia, skargi, wymówki czy politowania nad własnym losem. Mówią o sobie i o tych fabrycznych kierownikach, którzy w najgorszy śnieg i mróz jeździli do Chodzieży i do Włocławka. Tydzień ich nie było, telefonicznie dawali tylko znać co wiozą i gdzie są. Fabryka zaś tak regulowała robotę na resztkach kwarcu, aby produkcja nie stanęła. Opowiadają, jak same stworzyły tę trzecią nocną brygadę, bo noca akurat nie wyłączano prądu...

— Ech, wy kochane przebiśniegi... — mówię do dziewcząt.

— To przyniósł nam pan najmiłszy kwiatek — wtrąca siwutka pani.

Zdebiłem z zakłopotania, bo przyszedłem bez kwiatka, chociaż to był ich dzień, lecz po chwili uprzytomniłem sobie, że bezwiednie wypowiedziałem nazwę kwiatu, co pierwszy kielich rozwija nad warstwą śniegu.

— No, to za te nasze przebiśniegi — wzniosła toast pani Ryńska.

I każda była sobie własnym kwiatem.

Później, w rozmowach z Karczewskim, nie mogłem uwolnić się od tych dziewczęcych zwierzeń. W powojennych czytankach sporo było tego przywiązania ludzi do fabryki, nawet poświęceń. Nie bardzo wierzyłem tym czytankom, zdawałem sobie sprawę, że jest to tworzenie wzorców na fikcyjnych postaciach. Teraz zdzerzam się z autentycznymi faktami i nie bardzo wiem co z nimi robić. Ktoś gotów zrobić zarzut, że idealizuje ludzi, że opisuje ich takimi, jakimi chciałbym ich widzieć. Dla zawodowego agitatora gratka to duża, lecz i zasadzka, że wystawie nie tych ludzi, lecz siebie na pośmiewisko. Jak dowieść, że to pokolenie wieśniaczek tak szybko stało się również świadomymi swej roli robotnicami przemysłowymi? Czy można takie wnioski wysuwać z przedziwnych przypadków tej zimy, czy też jest to proces wcześniejszy?

W tym rejonie nie było nigdy tradycji przemysłowych, bo też i nie było przemysłu. Załedwie dziesięć lat temu otwarto ten zakład ceramiki stołowej. Bez surowcowego zaplecza, bez ludzi, którzy o ceramice wiedzieliby więcej niż o lepieniu glinianych garnków. I ta nazwa, też taka nie z tej ziemi: Lubiana, kojarząca się bardziej ze znaną jugosłowiańską Lublaną niż z biedną wsią kaszubską.

I stało się, że tym ludziom składają pochwały i swój zachwyt nad ich produkcją dziesiątki firm i placówek zagranicznych. Chciałoby to pismo od konsula generalnego w Toronto, Tadeusza Janickiego: „Konsulat Generalny PRL w Toronto pragnie wyrazić serdeczne gratulacje i gorące podziękowania za pięknie zaprojektowaną i artystycznie wykonaną zastawę porcelanową w oryginalnym stylu kaszubskim, która została dostarczona do tut. urzędu w ramach ogólnego wyposażenia piwnicy Konsulatu. Piwnica ta wzbudza powszechny podziw i zachwyt odwiedzających Konsulat gości kanadyjskich i tut. Polonii, dając świadectwo piękna i bogactwa sztuki ludowej naszego kraju oraz wysokich kwalifikacji robotnika i rzemieślnika polskiego”.

Dyrektor Benedykt Karczewski zapewnia, że przygotowie ozdoba tablicę z takimi aktami uznania w fabrycznej świetlicy. Żeby ludzie wiedzieli co są wari.

— To potwierdzanie własnej wartości jest niezbędne. Wtedy rodzi się właśnie poczucie godności, satysfakcja z zawodu, fabryki — dodaje dyrektor.

— To pan tak myśli, czy tutejsi ludzie?

— Dotknął pan delikatnej sprawy, ja sam pochodzę z rodziny kaszubskiej. Ten region nigdy nie był w łaskach. Byliśmy, i w zasadzie jesteśmy, regionem rolniczym. Ten zakład to pierwszy z prawdziwego zdarzenia obiekt przemysłowy. Mężczyźni jeździli stąd na dorobek do Gdańska, Gdyni. Kobiety niosły prawie cały ciężar pracy w gospodarstwie. Pocięchę znajdowały w starych pieśniach, w haftach, którymi ozdabiały stroje i mieszkania. Żyliśmy z tym swoim trudem, regionalną sztuką, jakby na uboczu wielkiej Polski. Nie okazywano nam zbyt wielkiego szacunku, przeciwnie, pokutowały wciąż mgliste wyobrażenia o Kaszubach i kaszubszczyźnie. W kraju miały ustalona markę wycinanki, kilimy łowickie, kujawskie wzory ceramiczne.

— Mówiąc szczerze, oglądane kiedyś, co prawda nieliczne, hafty kaszubskie, wydawały mi się jakieś monotonne, smutne. Tutaj na tej ceramice jakby nabrały blasku, ostrości barw i wzorów.

Karczewski uczy mnie czytać z wzorów na talerzach historii tego regionu: — Ten wzór jest typowy dla okresu rozbicia dzielnicowego, ten z okresu złotego wieku, ten z czasów rozbiorów, ten...

Tylko znawca lub miłośnik kultury pozna te subtelności. Dla laika, który patrzy tylko na barwy, a nie na barwy i wzory, niewiele one mówią.

— No dobrze, ale odeszliśmy trochę od tematu, jak to się stało, że ci „surowi” przecież ludzie doszli do takiego kunsztu sztuki ceramicznej?

— Nie, nie doszli! Tu tkwi bowiem cała tajemnica naszego sukcesu. Ludzie robią zastawy, kufle, naczynia, patery, wazony zdobione wzorami, które są w nich zakodowane dziedzicznie. To dla nich wielka satysfakcja, że wzory te podobają się innym i na nasze wyroby jest tak wielkie zapotrzebowanie. Że to uznane jest i podziwiane. To przecież pomaga prostować grzbiety. Człowiek staje się kimś. Na początku chciano nam wtryć inne wzory, zarzucano, że zakaszujemy Polskę. To było przykre. Wtedy, na pierwszym Jarmarku Dominikańskim obok naszej ceramiki, ukrytej zresztą gdzieś na poboczu, wyłożyłem księgę dla zbierania opinii ewentualnych klientów...

(Widziałem ten zeszyt, jest tam ponad 220 wpisów, sporo zagranicznych, wszystkie można by umieścić w prospektach reklamowych).

... I to zadecydowało, że pozwolono nam zachować te wzory. I co? W zeszłym roku zarobiliśmy prawie 4 miliony złotych dewizowych, w tym — planujemy zarobić dziewięć milionów. Idzie to jak ciepłe placki. I wraca korzyścią dla ludzi, dla zakładu.

— Mianowicie?

— Niech mi pan pokaże w województwie albo nawet w kraju zakład, który na 1500 osób liczy prawie 1000 kobiet i zapewnia każdej matce miejsce dla dziecka w żłobku lub przedszkolu. Ile jest zakładów, które najpóźniej w ciągu trzech lat mogą dać młodej dziewczynie mieszkanie? Dlatego ludzie u nas cenią robotę, fabrykę. Zdecydowana większość to młode dziewczęta, mają duże szanse na własny dom, założenie rodziny,

pomoc socjalną nad potomstwem. Wiele jest tych elementów, które właśnie stworzyły nowych ludzi, myślących kategoriami fabryki, jej interesu, bo w tym jest ich własny interes. Nie ten iluzoryczny dla przyszłych pokoleń, lecz doraźny, własny los.

To wszystko robiło się tu dla wzajemnych interesów zakładu i ludzi. Dzięki mądrym decyzjom, a przynajmniej nieścinaniu naszych planów socjalno-bytowych, osiągnęliśmy nieoceniony efekt psychologiczny. Powtarzam, tu ludzie widzieli wielki przemysł Śląska, Łodzi, Gdańska i innych ośrodków tylko w telewizji. Nie mieli osobistego zderzenia z przemysłową nowoczesnością. Ten duży zakład jest nie tylko dobrodziejstwem dla tego ubogiego regionu, to również wizytówka nowoczesnego państwa. Dziewczyna, która skończyła szkołę zawodową w „Lubianie” i ma tu pracę, to atrakcyjna partia matrymonialna. Nie ją wybierają chłopcy do ożenku, lecz ona ich.

— To wszystko prawda, ale często słyszy się zarzut, że te wasze zastawy trochę takie toporne, grube, że nie umiecie robić ceramiki cienkiej, takiej jaka była kiedyś na pańskich stołach.

— Takie poglądy głosi najczęściej nasza gastronomia. To jest kabotyńskie pindrzenie się na dworskie dekoracje. Nie chodzi przecież o to, czy talerz jest cienki czy gruby, lecz co na nim jest. Ale tego tematu gastronomia unika. Amerykańskie magazyny, które za kupując nasze wyroby chwala je właśnie za to, że są

grube. Tam znają takie urządzenia jak podgrzewalnie. Dostaje pan obiad na gorąco, a talerzu i jest on ciepły przez pół godziny, u nas — tylko w wytwornych, i to niewielu, lokalach. No i... mechanicznych myjniach nasze talerze, kubki, dzbanki i tłuć się. Zresztą, dla nas byłoby łatwiej robić cienkie zastawy, robiłoby się ich nawet więcej i szybciej. Potrzeba przecież na to mniej surowca, szybciej schnie. I... gadanie to jeszcze jedna pozostałość opinii jakiejś: im przyklepia: prymitywni ludzie co to ledwie grubą... rupeń zlepią.

— A ilu macie tych zagranicznych partnerów?

— Około 20 poważnych firm z zielonej strefy, które zakupują 80 procent naszej produkcji. Wzieliby więcej, ale przecież coś trzeba zostawić i na nasz rynek. I nasza załoga o tym wie, i żyjemy tu bez kompleksów. Pan się dziwi, że myślimy złamać kark zimie, że nie obniżyliśmy tempa ani ilości produkcji, ale jakbyśmy nie szydzili z tego banalnego stwierdzenia, że o wszystkim decydują ludzie, są oni najszybszym ratunkiem dla naszych niepowodzeń.

— Ci ludzie, niedawni wieśniacy — tłumaczy dyrektor — to wspaniała glina, z której ulepiły się robotnicze charaktery, załoga chłonna na nowoczesność, ambitna, przywiązana do zakładu. Takie przebiśniegi co to przebijają się i przez śnieg i zacołanie.

„Czas” nr 17(222) 29.04.1979 r.

Stara stegna

Urszula Mączka

Jest późne lipcowe popołudnie. Zza ogrodzenia dobiega głos kobiety: — Dzień dobry!

Poznaję sędziwą panią Weronikę z Płotowa. Ale skąd się wzięła o tej porze i w tym miejscu z koszykiem w jednej i pękiem świeżych kwiatów w drugiej ręce?

— Dziś przecież 25 lipca, dzień Jakuba, najważniejszy dzień targowy na Kaszubach, więc poszłam starym zwyczajem do Bytowa, w nadziei, że spotkam tam nasze półsiostry z Parchowa i Somin — odpowiada nie pytana.

— Dlaczego piechotę, kiedy do odległego o 12 km Bytowa prowadzi obecnie wygodna szosa asfaltowa?

— Tak, tak! Dziś jednak nie wypada. Chciałam tak jak pierwsi, stara stegna przez las na Giza. Ale dużo na tej trasie się zmieniło.

Wzrok zatrzymuje na niewielkim domku, który wyrósł niedawno na szczyrim piasku wśród jałowców i wrzosu. Jest więc okazja, aby zaprosić starszą panią do wnętrza na krótki odpoczynek.

— Zdziebko soli — dobiega do kuchni głos.

Tego należało domyśleć się wcześniej. Przecież pani Weronika po raz pierwszy przekroczyła próg tego domu, a według wierzeń starych Kaszubów właśnie sól chroni przed złymi mocami w nieznanych miejscach. Zresztą w ten sposób łatwo rozpoznać wszelkie duchy, które tym różnią się od ludzi, że nie posiadają soli. Delektujemy się pojadkami — słodkim pieczywem z koszyczka pani Weroniki. Dobrze pamiętam te okragłe, pulchne pączki, które gospodynie kaszubskie piekły specjalnie na Jakuba dla odludków — skrzatów — mieszkających w innej niż ludzka wspólność.

Właśnie odludki pomagały przez cały rok w gospodarstwie domowym, szczególnie zaś gospodyniom przy pieczeniu chleba, wkładając oddzielnie do piecka każdy suchy liść klonowy lub dębowy. Za te usługi w wigilię Jakuba wynoszono im na rozstajne drogi pojadki i składano pod krzewami i drzewami. Kiedy następnego dnia gospodarze wracali z jarmarku,

czestowali się pozostawionymi przez odludków pączkami, uczując tak często do późnej nocy. Resztki jedzenia otrzymywały w domu dzieci.

Widać, pani Weronika do dziś kultywuje stary obrzęd kaszubski.

Wzrok jej zatrzymuje się na niewielkim gobelinie — umieszczonym na ścianie — z prastarym motywem sasanidzkim: dwa zwrócone do siebie gryfy pijące ze źródła życia.

— To przecież nie nasze, kaszubskie gryfy — przez głos przebiega nuta żalu.

Łatwo więc przejść na temat tkactwa kaszubskiego, nie obcego pani Weronice, skoro na Jakuba, w dniu tradycyjnych niegdyś targów sukienniczych w Bytowie i Lęborku, wybrała się do miasta.

— Tak, to były czasy, kiedy z pięknym płótnem lnianym i samodziałami wełnianymi wybierałam się na Jakuba do Bytowa lub do Lęborka, a jako mała dziewczynka razem z matką nawet do Gdańska na Dominika.

Dziś już nie ma tkaczek nawet w Płotowie. Krosna pani Weroniki bezużyteczne stały latami na górze, aż zostały porabane na drewno opałowe. Zachowały się jednak zapasy płótna lnianego. Już z tego względu ochoczo przystaje na czynioną propozycję rewizyty.

Z czystej przekory wybrałam dzień 24 sierpnia. Był to bowiem niegdyś dzień świąteczny na Kaszubach, dzień Bartłomieja, w którym świętowano zebranie płonów. W tym dniu zboża musiały być już w stodołach. Kto był leniwy i nie uporał się zawnazasu z pracą polowa, musiał liczyć się, że w nocy z 23 na 24 sierpnia stary defelnik, nocny duch kaszubski, pilnujący ładu i porządku na polach i łąkach, zdepcze swoimi dużymi defłami nieskoszone zboże.

Omijam więc przystanek autobusowy i — przykładem pani Weroniki — wchodzę na stara stegnę.

Tegoroczna wyjątkowo niełaskawa aura sprawiła, że na polach jeszcze pełno zboża. Synoptycy zapowiadają dalsze opady. Na co czekają gospodarze?

— Na kombajn — odpowiada pierwszy napotkany — bo samemu nie opłaca się robić, za ciężko.

— A syn, macie przecież syna?

— Jemu już za bardzo nie chce się robić na roli. Kupił traktor, więc pracuje na nim przy robotach melioracyjnych lub przy zwózce z lasu, to się najlepiej opłaca.

Oj, stary defelniku, miałbyś teraz co robić na Kaszubach!

Stegna prowadzi do lasu o obszarze większym niż 1400 ha. Kiedyś las fiskalny dawał biednej ludności kaszubskiej dodatkowe źródło utrzymania. Za specjalną opłatą można było otrzymać od leśniczego okresowe zezwolenie na zbieranie w wyznaczonych miejscach runa leśnego. Dźwigali te grzyby i jagody w plecionych koszach, zawieszonych na szundach do Bytowa, gdzie niemieccy handlarze płacili około 20 fenigów za kilogram, które wystarczały zaledwie na trzecią część bochenka chleba. Można było również uzyskać zezwolenie na częściowy zbiór siana z niewielkich, podmokłych łąk leśnych dla często jedynej krowy — żywicieli rodziny. Rozliczenie nie było sprawiedliwe: 3 dobrze wysuszone kopy siana dla pana leśniczego, jedna dla robotnika — za fatywę. W zimie zatrudniali się w charakterze drwali. Jedyne ich narzędziami były własna siekiera i piła. A ponieważ na Kaszubach zawsze bardzo oszczędnie wydzielano w domach rację chleba, żony nosiły do lasu w porze obiadowej gorącą strawę, najczęściej grochówkę lub białą żur z kartoflami.

— Nawet nasze stare diaby, smantk czy purtk nie oparłyby się naszym piłom — chwali się uśmiechnięty drwal Franck.

— Spuszczamy teraz żywe, zielone drzewa przez cały okrągły rok.

Kaszubi niegdyś bardzo szanowali las. Niechętnie ścinali stare drzewa. A jeśli konieczność tego wymagała, jak np. przy budowie nowych zabudowań, wykonywali tę czynność w miesiącach zimowych, podczas zimowego snu duchów leśnych.

— Zresztą i takie drzewo było najlepsze — ciągnie dalej Franck. — Nie miało pęknięć i szczelin jak obecnie, proszę spojrzeć.

W lesie huczy jak w ulu. Niegdyś rodzice zakazywali dzieciom nawet głośnych rozmów w lesie, bo „drzewa i zwierzęta leśne tego nie lubią”. Obecnie wszystkie czynności na terenie lasu wykonuje się z maksymalną akustyką: mechaniczne piłowanie drzew, transport traktorami i grzybobranie przy akompaniamencie klaksonów nawołujących się właścicieli samochodów osobowych i motocykli.

Kończy się zielony baldachim nad głową, w oddali widnieją zabudowania niewielkiej wioski. Na pobliskim pastwisku mały, chyba 10-letni pastuszek trzyma na kolanach tranzystor, z którego dochodzi głos Maryli Rodowicz. Widocznie w ten sposób umila sobie czas spędzany na pastwisku razem ze stadkiem krów i owiec.

Pani Weronika wita serdecznie i częstuje pyszną herbatą rumiankową, którą chłopiec również setter, trochę zmęczony długą wędrówką.

Gospodarstwo niewielkie — 10 morgów. W domku schłodnie i czysto. Właściciele, w podeszłym wieku, po sześćdziesiątce, na pytanie, dlaczego ziemi nie przekazali w zamian za rentę, oboje odpowiadają, że nie chcą, aby państwo ich utrzymywało „za darmo”. Do tego nie są przyzwyczajeni. Nie oczekują również pomocy od syna, pracującego od lat w gdynskim porcie. Zresztą porównując z tym, co było „za Niemca”, to mają teraz „złote czasy”. Taka wygoda. Jest elektryczność, autobus łączący ze światem. Wszystko dostarczają na miejsce, a prace na roli wykonuje na zamówienie kółko rolnicze. Tak można żyć do późnej starości, pieniędzy sygnie dla nich obojga, bo tak dobrze płacą za „bukwite” (grykę) i bulwy. Zresztą pani Kazimiera. „Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie”, do ostatniego dnia swego życia sama dawała sobie rady na dużym, gburskim gospodarstwie, tak kochała swoją ojcowiznę. Moi rozmówcy są spokojni o własną przyszłość.

— No tak — przyznaje po chwili pani Weronika — nie wszyscy tak żyją jak my, np. rodzina W. w sąsiedniej wsi. Starzy (rodzice) są młodszy od nas, ale uzyskali zaświadczenie od komisji lekarskiej, więc zaraz przekazali gospodarstwo synowi i od tej chwili pobierają rentę.

Z dalszych relacji wynika, że w gospodarstwie państwa W. właściwie nic się nie zmieniło. Starsze małżeństwo nadal pracuje na roli, a syn — poza gospodarstwem. Doszło tylko dodatkowe źródło dochodu: renta płacona przez państwo.

— Wstydu nie mają — powiada pan Leon, mąż pani Weroniki — a gdy w pierwszej kolejności nie dostali kombajnu, poszli jeszcze naszczekać władzom gminnym, ile wlaźło.

Zmieniam temat. Pytam o młodzież, gdzie jest, co robi?

Pani Weronika opowiada z niechęcią w głosie.

Młodemu nie wystarcza już dyskoteka w sali klubu wiejskiego. Bardziej atrakcyjne są zabawy w letnią noc na wyspie pięknego jeziora kaszubskiego w pobliżu Rekowa. Odkąd Rekowo uzyskało status wsi letniskowej, zawsze coś się dzieje, można „i zarobić i wypić”. Młodzież wiejska chętnie naśladuje „wielkomiejski” i „zagraniczny” beztroski styl urlopowiczów i wczasowiczów, który kończy się jednak dla gości po 2–3 tygodniach, natomiast na wsi nabiera cech „nawyków stałych”.

— Jest w tym chyba trochę przesady? Przecież na Kaszubach zawsze bawiono się wesoło — przerywam pani Weronice.

— Ale zabawy odbywały się po skończonej robocie — dodaje — a nie jak obecnie, kiedy zboże jest jeszcze na pniu.

Wolałam odłożyć dalszy ciąg rozmowy, wspominam więc o autobusie. Pani Weronika zatrzymuje prawie siłą:

— Chwileczkę, dziś przecież mamy „starego Bartka”, upiekłam „kukle” (okrągłe bochenki chleba), jak za dawnych czasów.

Jestem wzruszona.

Wracam do domu starą stęgną.

Jerzy Stachurski

* * *

Nigle ostatnô niedzela
wëpuli so na smużku tidzenia
wëpogôdzô se we mie wierszta
zabierô ode mie nôlepszi słowo
i dopëtje o słuńce jak to nowi lëst
w tim placu
czëtóm kartę lasów dërch od początku
przed nocą barnią mie
wialdzi tarcze daków

* * *

Nawiędzaję ostrów na jaczim zaczinô se
wzénik moich wiérsztów
gdze nafulowóny ban
wieze nas do ostatny stacji poematu
tu znają mie
niebotné wieze metafor
z jaciëch ob noc
schôdô dobri sen
i bieją z pierszą pomocą
modrôczczy i maczi
gdze ful tarcza słonecznika
zamikô dërch ten sóm
wizer jeseni

Jerzy Samp

Jurata II

Jutro rano umrzemy
z bilardową kulą w ustach
ja pigmalion i ty z plakatu snów
dziewczyna
uliczna pątniczka codzienności
z epizodów bez puenty
niepoznana wróżka co zgubiła
sens pewnej przepowiedni

Jutro rano a może nad ranem
gdy zamilkną tamburyny
pustej nocy
odpłyniemy znów w bezradność
raz jeszcze zrywając z nieba
granitowy całun czasu
ja mężczyzna – pikador – morderca
i ty przykucnięta nad własną żalobą...
niech zagrają nam bębny blaszane
głuchym rytmem ołowianych dzwoneczków
salwą żołnierzy ołowianych
zaśpiewam owej pani ostatecznej
co także ma ołów w oczach

Na granicy bezczasu
gdzie szyderstwo trwania
przechodzi w czwarty wymiar
być może jeszcze odnajdziemy
okałeczony puls tej ziemi
pod nagarem dymiących asfaltów
czarnych styksów wielkiego miasta
i martwych fal zatrutej zatoki
na dnie nadziei w charonowej łodzi

Dewiacja

We wszystkich drogich sklepach
świata który tak rzadko odwiedzasz
każdego dnia w przedporannej godzinie
czyjeś dłonie na miękkiej purpurze aksamitów
układają martwe perły i precjoza
czyniąc to z taką czułością
z jaką ty co wieczór układasz
do snu swoje żywe dziecko

Czyjeś oczy za szybko –
nagie twarze bez retuszu
nie potrafią ukryć zazdrości
kiedy tak tkwią przez chwilę
pod szyldami nazbyt drogich sklepów
w których nie ma miejsca
na kolczyki z czereśni
i jarzębinowe sznury koralu

Ale są tam nagie torsy
marmurowych dziewcząt
oraz obrączki jeszcze bezimienne
zapewne odlane
ze złotych posążków lzydy
lub jak mawiał pewien stary Żyd
wylamane z czaszek tych
co już nie zdołali
odwrócić godziny
czasu ostatecznego
zanim ich przemieniono
w diamentową szarość
popiołów.

Stan i kierunki muzealnictwa etnograficznego w województwie gdańskim

Krystyna Szałaśna

Początki muzealnictwa etnograficznego w Polsce sięgają połowy XIX wieku i wiążą się z okresem żywo rozwijających się zainteresowań historią kultury polskiej i to zarówno jej nurtu szlacheckiego jak i ludowego. Już od końca XVIII w. w kulturze wiejskiej i folklorze dopatrywano się najstarszych śladów kultury polskiej, wywodzącej się z prastawiańskiego pnia. Tworzone wówczas kolekcje etnograficzne były niewielkie, składały się z dowolnie zebranych zabytków wyróżniających się przede wszystkim walorami artystycznymi (strój, tkaniny, zdobione przedmioty użytkowe) i stanowiły uzupełnienie innych zbiorów.

W drugiej poł. XIX wieku w Polsce rozwinęły się m. in. badania nad kulturą ludową. Kilkudziesięciotomowe dzieło Oskara Kolberga dało podstawę etnografii Polski, przyczyniając się do zainteresowania społeczeństwa bogactwem i żywotnością kultury ludowej. Niebawem tematyka chłopska włączona została w nurt ogólnonarodowej kultury artystycznej Polski, niezależnie od ówczesnej przynależności państwowej. Do Polski przenikały także – trafiając na podatny grunt – idee ochrony i zabezpieczenia zabytków kultury ludowej z innych krajów europejskich, przede wszystkim ze Szwecji. W różnych częściach kraju rozpoczęto w tym okresie gromadzenie obiektów etnograficznych, chociaż częstokroć ograniczone jeszcze do zabytków sztuki. Powstały wtedy muzea: Dzieduszyckich we Lwowie, Muzeum Etnograficzne w Warszawie założone w 1888 roku przy Ogrodzie Zoologicznym i połączone w kilka lat później ze zbiorami Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, wreszcie Muzeum w Krakowie – zorganizowane początkowo prywatnie przez Seweryna Udziela, a następnie działające przy Muzeum Narodowym.

Na terenie Pomorza Gdańskiego powstawanie kolekcji etnograficznych przypada na pierwsze lata XX w. Były to inicjatywy zapalonych miłośników regionalnej kultury ludowej, organizacji społecznych a także administracji państwowej, cieszące się zawsze poparciem miejscowego społeczeństwa.

Głównym bodźcem tych poczynań – obok ochrony i zabezpieczenia wytworów kultury ludowej przed zniszczeniem – były funkcje patriotyczne jakie te placówki miały tutaj pełnić. Etnografia niemiecka, która została włączona w służbę idei narodowego socjalizmu, z tej pozycji rozwinęła działalność skierowaną m. in. na Pomorze. Powstałe w tym czasie opracowania widziały na wschodzie tylko niemieckiego chłopca i jego kulturę. O kulturze grup polskich nie pisano – praktycznie natomiast zajęto się ich kulturalną a nawet biologiczną zagładą. W tej sytuacji zaistniała paląca potrzeba zachowania i wyeksponowania autentycznych wartości narodowych. Synonimem ich była kultura ludowa, stosunkowo najmniej ulegająca wpływowi obcym.

Efektem tych prac był skansen we Wdzydzach Kiszewskich, muzea w Sopocie i Gdyni, oraz kolekcja dra Adama Wrzosa w Dębku i Franciszka Tredera w Borze-stowie.

W Wejherowie w latach 1932–33 zrodziła się myśl utworzenia skansenu na wzór wdzydzkiego muzeum, wysunięta przez ówczesnego burmistrza Jana Owińskiego i Teodora Bolduana – wicestarostę powiatu morskiego, która nie została zrealizowana.

Natchniony skandynawskimi ideami ochrony zabytków ludowych Lzydor Gulgowski, nauczyciel z Wdzydz Kiszewskich, nabył w roku 1906 chałupę zrębową z podcieniem z końca XVIII w. i zgromadził w niej ok. 200 obiektów etnograficznych. Do najwartościowszych należały meble z malowanym ornamentem, kolekcja ceramiki i obrazów na szkle, świątki drewniane, unikalny zespół chłopskiej broni palnej i 3 drżone czółna. Tym sposobem na ziemiach polskich pod zaborem pruskim, powstał pierwszy skansen ożywiony działalnością oświatową. Z czasem zamierzano go wzbogacić o stodołę, stajnię, kościół i kapliczkę. Wojna i śmierć l. Gulgowskiego w 1925 roku udaremniła te plany. Po czterech latach Teodora Gulgowskiego sprzedała tę dobrze rozwiniętą placówkę państwu, zachowując jej kierownictwo. W 1932 roku po pożarze, który pochłonął chałupę i prawie wszystkie zabytki, niestrudzona działaczka podjęła starania o odbudowę skansenu. Za pieniądze pożyczone od Kukowskich z Kolibek i z drobnych ofiar społeczeństwa, wzniesiono chałupę drewnianą z rozebranej stodoły pochodzącej z pocz. XIX w. Wyposażenie jej było jednak już skromniejsze.

Gulgowscy stworzyli również we Wdzydzach bardzo ruchliwy ośrodek kaszubskiego przemysłu ludowego, opartego na lokalnej tradycji artystycznej.

Dalszy ciąg historii skansenu wdzydzkiego zapisany został już w Polsce Ludowej, a kontynuatorem jego idei jest Kaszubski Park Etnograficzny.

Przed I wojną światową w Sopocie, w kamienicy przy ul. Morskiej (dziś Boh. Monte Cassino 28) mieściło się Muzeum Kaszubsko-Pomorskie. Początek tej placówce dała Komisja Biblioteczno-Muzealna, powołana na zjeździe organizatorskim Towarzystwa Młodokaszubów w roku 1912, której zadaniem było gromadzenie zabytków obrazujących całokształt kultury ludowej Kaszub. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był Aleksander Majkowski, lekarz, pisarz, wydawca i redaktor „Gryfa”. W odpowiedzi na wydaną i rozeslaną przez niego odezwę, do biblioteki napływały książki i czasopisma od społeczeństwa polskiego wszystkich zaborów, a z Kaszub zabytki etnograficzne. Zbiory muzealne wzbogacił m. in. depozyt l. Zaremby-Belakowicza, zawierający obiekty kultury Indochin.

Pierwszą ekspozycję udostępniono społeczeństwu w lipcu 1913 r. A w kilka tygodni później powstało samodzielne już Towarzystwo Muzeum Kaszubsko-Pomorskiego, któremu przewodniczył A. Majkowski. W zakres działalności tej placówki, oprócz zbiorów muzealnych z etnografii i historii Kaszub, wchodziła również biblioteka naukowa z czytelnią. Wszystkie czynności związane z funkcjonowaniem muzeum oparte były na pracy społecznej członków.

Owocna działalność społeczno-kulturalna Muzeum Kaszubsko-Pomorskiego nie mogła ująć uwadze Niemców. Rozpoczęły się trudności lokalowe. Zamierzano więc przenieść zbiory do XVIII-wiecznego dworku, będącego kiedyś własnością Sierakowskich. Wiązało się to jednak z pokaznymi wydatkami pieniężnymi. A. Majkowski zwrócił się o pomoc do społeczeństwa polskiego, za pośrednictwem jednej z gazet warszawskich, która gorąco poparła jego apel pisząc m. in. (cytuje za Franciszką Mamuszką¹): „Zamieszczając wypowiedź zasłużonego odrodziciela Ka-

szub, wyrażamy gorące życzenie, by pragnienie jego rychło się spełniło i by Muzeum Kaszubsko-Pomorskie, które w każdej chwili grozi znalezienie się na bruku, zyskało własną siedzibę. Sprawa jest ważna i wielka — wszak to jest częścią procesu, w którym rozstrzyga się pytanie czy zdołamy zachować dla narodu naszego resztę nadbałtyckiego brzegu, dostęp do morza? Niemcy którzy atakują tam nasz dobytek czynią to z furją (...) My, którzy broniemy się obowiązani jesteśmy do wysiłku (...) dla zapewnienia bytu naszej instytucji polskiej nad Bałtykiem”.

Wybuch I wojny światowej przeciął działalność muzeum. A. Majkowskiego w kilka miesięcy po ogłoszeniu apelu powołano do wojska. Zbiory najpierw przechowywano w jego mieszkaniu w Sopocie, następnie w 1922 roku przewieziono je do Kartuz, gdzie A. Majkowski urządził małą ekspozycję. Część tej kolekcji znalazła się w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach.

W latach międzywojennych, dokładnie w 1933 roku, Wydział Kultury ówczesnego Ministerstwa Oświaty wraz z Departamentem Nauki i Sztuki pod kierownictwem prof. dra Jana S. Bystronia, przystąpił do organizowania w Gdyni Muzeum Kaszubskiego. Miało ono obrazować pomorską kulturę ludową, w szczególności zaś kulturę Kaszub. Gromadzenie eksponatów powierzono prof. dr Bożenie Stelmachowskiej, pełniącej wtedy funkcję dyrektora Muzeum Historii Miasta Poznania.

W Gdyni - Orłowie istniały już w tym okresie zbiory dr J. Krajewskiej, które zamierzano w przyszłości połączyć z nowo powstającymi.

Muzeum w Gdyni zajmowało sale na parterze Szkoły Morskiej. Inwentarz zabytków prowadzony przez prof. B. Stelmachowską zawierał ok. 600 obiektów z dziedziny hodowli (trąby pasterskie tzw. bazuny, kołatki drewniane dla krów, dzwonki metalowe), rolnictwa i gospodarstwa domowego. Szczególnie bogato reprezentowane było rybolarstwo morskie i śródlądowe, oraz sztuka: meble z ornamentem malowanym (ok. 20 skrzyń wiannyh), czepki złotolite, hafty kolorowe, rzeźba kultowa, tabakierki z rogu i kory wiśniowej.

Muzeum prowadziło działalność naukowo-oświatową. W roku 1937 ukazała się obszerna i wnikliwa publikacja B. Stelmachowskiej „Sztuka ludowa na Kaszubach”, którą autorka opracowała na podstawie gdyńskich zbiorów. Wystawy etnograficzne odwiedzały wycieczki szkolne, a także co roku organizowano tu w okresie letnim kursy doszkaldające dla nauczycieli szkół podstawowych z całej Polski, które prowadziła prof. B. Stelmachowska.

Z chwilą wybuchu wojny Niemcy zajęli gmach Szkoły Morskiej, a zabytki usunęli. Inwentarz zniszczony został w mieszkaniu B. Stelmachowskiej w Poznaniu⁹). Część eksponatów z gdyńskiego muzeum ocalała i po wojnie znalazła się w Składnicy Konserwatorskiej w Oliwie (Spichlerz Opacki), skąd przejęły je Muzeum Kaszubskie w Kartuzach i Dział Etnograficzny Muzeum Narodowego w Gdańsku. Identyfikację tych zabytków ułatwiło opracowanie B. Stelmachowskiej.

W okresie międzywojennym powstała jeszcze jedna kolekcja etnograficzna i także na północy regionu. Zgromadził ją A. Wrzosek, lekarz z zawodu, który przybył z Poznania i osiedlił się w Dębku. Tuż pod bokiem Niemców głosił prawdy o polskości tych ziem i utwierdzał w tym przekonaniu mieszkańców wsi i okolicy. Dr Wrzosek zginął z rąk okupanta, a jego zbiory (m. in. sprzęt rybacki, domowy, meble) uległy rozproszению.

W tym samym czasie gromadzi zabytki kultury ludowej Kaszub Środkowych także F. Treder — nauczyciel z Borzestowa. W przyszłości będą one stanowić bazę Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach.

W okres powojenny polskie muzealnictwo (w tym także etnograficzne) wkroczyło z ogromnymi stratami. Z tym większym zapałem wznowiono działalność mającą na celu jego odbudowę, a następnie powołanie do życia nowych placówek. Krótko po zakończeniu wojny nakreślono pierwsze metodyczne plany rozwoju muzealnictwa etnograficznego, biorąc pod uwagę zarówno potrzeby społeczne jak i ściśle naukowe.

Na Pomorzu Gdańskim przystąpiono do organizowania muzealnictwa etnograficznego właściwie od podstaw. W pierwszej kolejności należało odbudować bazę lokalową, zebrać i zabezpieczyć najcenniejsze zabytki kultury ludowej, następnie podjąć szeroką akcję popularyzującą dobroć kultury wsi w społeczeństwie. Realizację tych planów i zamierzeń gwarantowała pomoc materialna pań-

stwa, a także ogólna tendencja władz terenowych, i organizacji społecznych do rozciągania opieki nad rodzącymi się muzeami regionalnymi. Trzeba tu wspomnieć jeszcze o jednym niesłychanie ważnym fakcie — a mianowicie, że wiele tych zamierzeń realizowano dzięki zapałowi ludzi pracujących w tym czasie w muzealnictwie, a także ogromnemu zaangażowaniu terenowych działaczy społecznych. Efektem tych zespólnych poczynań jest sieć placówek ze zbiorami etnograficznymi z Oddziałem Etnograficznym Muzeum Narodowego w Gdańsku jako jednostką wiodącą. Sieć ta obejmuje muzea w Kartuzach, Wejherowie, Helu i Wielu, Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydzach, kolekcję J. Budzisa w Pucku, oraz pojedyncze obiekty architektury ludowej zachowane dla celów muzealnych.

Oddział Etnograficzny MN w Gdańsku (do 31. XII. 1978 r. Dział tegoż Muzeum) mieszczący się w Pałacu Opatów w Oliwie istniał już w latach 1946–52 i kierowała nim Irma Kucharska. Reaktywowano go w 1958 roku, a jego organizatorem i kierownikiem został dr Longin Malicki, znany muzeolog śląski. Od początku założenia działu przewidywano jego lokalizację w osobnym gmachu ze względu na brak miejsca w ówczesnym Muzeum Pomorskim w Gdańsku (ul. Toruńska 1). Wybór padł na Pałac Opatów w Oliwie. Całkowite sfinansowanie odbudowy przejął Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. Odbudowę ukończono w 1965 r. za wyjątkiem wystroju Sali Muzycznej, gdzie prace nad rekonstrukcją trwały jeszcze kilka lat. Muzeum zajęło niestety tylko jedno skrzydło pałacu (rokokowe), przeznaczając na ekspozycję etnograficzną sale na parterze (ok. 400 m kw.). Pozostałą część zagospodarował na swoje potrzeby Instytut Budownictwa Wodnego PAN. W ostatnich latach wypłynęła możliwość oddania na wystawy etnograficzne Spichrza Opackiego, leżącego na terenie parku.

Oddział Etnograficzny jako placówka okręgowa prowadzi orientację w całokształcie kultury ludowej Pomorza Gd. od k. XVIII w. W gromadzonym materiale starano się uwzględnić specyfikę kulturową tego terenu, rozwój i przeobrażenia, a także pewne zmiany funkcji kultury ludowej, oraz jej odrębności regionalne.

Dla wykazania związków kulturowych z sąsiednimi regionami, jak też dla celów porównawczych, zebrano przykładowe, niewielkie kolekcje z Warmii, Mazur, Paluk, Kujaw i Pomorza Środkowego. Działalnością zbieracką objęto również obszar Żuław i to zarówno relikty kulturowe potomków byłych osadników fryzysko-holenderskich, jak też „bagaż” kulturowy przesiedleńców, którzy napłynęli na te tereny po 1945 r.

Z chwilą przybycia dr. L. Malickiego do Gdańska inwentarz muzealiów etnograficznych liczył 90 obiektów. Sukcesywnie powiększane zbiory zawierają dziś ponad 5000 zabytków (w tym przeszło 100 z etnografii pozaeuropejskiej).

Kolekcję powiększano drogą zakupów, darów i przekazów. Dużą ofiarnością wykazało tu społeczeństwo wszystkich regionów województwa gdańskiego. Prawie połowa liczby muzealiów — to dary; zbiory wzbogaciły również m. in. dary Muzeum Etnograficznego z Poznania (współczesna ceramika wielkopolska), 52 okazy zebrane przez Kolo Regionoznawcze przy Szkole Podstawowej w Chmielnie, prowadzone przez niezującego już nauczyciela Bernarda Grzędzińskiego, wreszcie duży zestaw współczesnej sztuki ludowej Polskiej Północnej (rzeźba, pisanki — ponad 100 szt., pajki, kwiaty z bibuły, malowanki kujawskie) przekazany przez Art-Region w Sopocie.

Zgodnie z programem działalności oliwskie zbiory etnograficzne zawierają obiekty kultury materialnej, sztuki i obrzędów. Szczególnie liczna jest grupa zabytków kultury materialnej, zwłaszcza sprzętu związanego z uprawą ziemi i rybołówstwem. Materiał ten gromadzony jest pod kątem uchwycenia rozwoju ewolucyjnego narzędzi pracy i ich typologicznego zróżnicowania. Bogato reprezentowane jest rękodzieło i rzemiosło. Są to przeważnie zestawy złożone z narzędzi, gotowych wyrobów stanowiących przegląd danej wytwórczości i często — dla celów dydaktycznych — półfabrykatów. Rozległą dziedzinę w zbiorach stanowi sztuka — tradycyjna i współczesna. Dla przykładu — zbiór mebli liczy ponad 270 okazów (w tym 70 skrzyń, 42 zydle, 7 kołysek, 11 kufrów, 5 ław skrzyniowych do spania). Unikalnym w skali kraju jest zespół mebli żuławskich. W zbiorach udokumentowana jest również działalność prawie wszystkich liczących się twórców ludowych Pomorza Gdańskiego (rzeźbiarzy, hafciarek, plecionkarzy, rogarzy).

Ludowa twórczość artystyczna znalazła również swoje

odbicie w rekwizytach obrzędowych, głównie w maszkarach zwierzęcych z zimowych widowisk (w zbiorach znajduje się m. in. 69 rekwizytów koledniczych). Spora jest także kolekcja pisanek wykonanych przez przesiedleńców z różnych regionów Polski.

Pewne niedobory w oliwskich zbiorach etnograficznych – np. z transportu – spowodowane są brakiem odpowiedniego (tzn. dużego) zaplecza magazynowego. Niektóre zaś wytwory ludowej kultury – jak komplety strojów kobiecych i męskich wszystkich regionów Pomorza Gd. – są dziś praktycznie już nie do nabycia.

Część zabytków udostępniana jest społeczeństwu dzięki eksponowaniu ich na wystawach stałych i czasowych. Pierwsze po wojnie wystawy etnograficzne w Gdańsku („Kaszubska sztuka ludowa”, „Tradycyjny sprzęt ludowy Kaszub i Dolnego Powiśla”, oraz „Sztuka ludowa Dolnego Powiśla”) otwarto w ówczesnym Muzeum Pomorskim w 1959 r. Następnie od 1965 r. organizowano już w Pałacu Opatów w Oliwie. Jednak w tej nowej siedzibie, ze względu na wnętrza, urządzono tylko stałą ekspozycję tradycyjnej sztuki ludowej Pomorza Gd. Natomiast w hallu pałacu przygotowuje się tematyczne pokazy z zakresu kultury materialnej, obrzędów i współczesnej twórczości ludowej.

Interesującą formą popularyzacji folkloru były poranki w latach 1971–73 organizowane wspólnie z Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim w Gdańsku, na których prezentowane były zespoły muzyczno-taneczne, wokalne i instrumentalne.

Badania naukowe typu penetracyjnego i dokumentacyjno-inwentaryzacyjnego wiązały się z nabywaniem zabytków do zbiorów i ich dalszym opracowywaniem. Zbiory oliwskie prawie w 100 proc. posiadają dokumentację opisową, fotograficzną, a w wielu wypadkach także rysunkową. Badania tematyczne podejmowane przez pracowników działu obejmowały zagadnienia z dziedziny sztuki, obrzędów i kultury materialnej, a wyniki ich opublikowane zostały w kilku samodzielnych pracach i kilkunastu artykułach o charakterze naukowym i popularnonaukowym.

Muzea regionalne (Kartuzy, Puck, Starogard) spełniają podobne funkcje jak Oddział Etnograficzny w Oliwie, czyli zbierackie, dokumentacyjne, naukowe i oświatowe, lecz działalność ich ograniczona jest do określonej przestrzeni terytorialnej. I tak Muzeum Kaszubskie w Kartuzach obejmuje Kaszuby Środkowe, Stacja w Pucku – Kaszuby Północne, a w Starogardzie – region Kociewia. W placówkach tych zgodnie ze specyfiką regionalną i bazą materiałową zmierza się do pewnej specjalizacji. W Kartuzach jest to sztuka ludowa na tle całokształtu kultury wiejskiej tej części Kaszub. W kolekcji kartuskiej wyróżniają się niezwykle cenne zestawy czepców złotolitych i obrazków na szkle, następnie rzeźba w drewnie, ceramika rodzin Neclów i Meissnerów, oraz malowane meble. Stacja w Pucku zaawansowała badania przede wszystkim nad leśnictwem ludowym, magią i obrzędami. Poza tym jest inicjatorem ciekawych form popularyzacji sztuki ludowej (konkursy, spotkania). Stacja Upowszechniania Wiedzy o Regionie w Starogardzie w miarę swoich możliwości dokumentuje kociewską kulturę ludową w przekroju.

Muzeum Rybołówstwa w Helu – Oddział Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku, jest jedyną tego typu placówką specjalistyczną w kraju. Wystawa (warsztat szkutniczy ze wsi Łaszka na Żuławach i sieciarnia z narzędziami oraz modele statków) mieści się w XV-wiecznym kościele adaptowanym na cele ekspozycyjne. Na terenie przyległym do kościoła powstaje unikalny skansen zanikających typów łodzi rybackich. Zbiory tego muzeum to bezcenny materiał naszej rodzimej kultury rybacko-szkutniczej³).

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie w myśl statutu – gromadzi, opracowuje naukowo, udostępnia zbiory dotyczące piśmiennictwa i muzyki kaszubsko-pomorskiej, oraz sprawuje opiekę nad obiektami i pomnikami mającymi znaczenie dla historii i muzyki kaszubsko-pomorskiej. Zakres gromadzenia zbiorów poszerzono o ludowe instrumenty muzyczne z Kaszub i tematykę muzyczną w sztuce ludowej⁴).

Terenową placówką Muzeum Piśmiennictwa jest będący w organizacji skansen etnograficzno-historyczny w Nadolu. W zakresie organizacji tego punktu muzeum współpracuje z Instytutem Historii UG oraz Kółem Naukowym Historyków UG, które jest inicjatorem tego przedsięwzięcia. „Celem skansenu w Nadolu jest dokumentowanie i pokazywanie przemian zachodzących w rejonie Jeziora Żarnowieckiego w

okresie industrializacji i w okresach przedindustrialnych. Głównym tematem wystaw jest kultura ludowa rybackiej wsi Nadole, a szerzej – kultura ludowa Północnych Kaszub, wraz z dokumentacją historyczną obrazującą dzieje Nadola, a szczególnie ich związki z dziejami Polski⁵).

Wybór Nadola na mini skansen nie był przypadkowy. Podyktowały go warunki historyczne i współczesna sytuacja wsi. W okresie międzywojennym Nadole stanowiły enklawę polskości na lewym brzegu J. Żarnowieckiego, obecnie stoi w obliczu niezwykle gwałtownych przemian społecznych związanych z budową w tej okolicy 2 elektrowni.

W skład skansenu wchodzi 2 zagrody: w jednej urządzi się w najbliższym już czasie ekspozycję, druga przeznaczona jest na stację muzealną, w której będą się mieścić – pracownia konserwatorska, archiwum, oraz mieszkania dla pracowników, studentów przebywających na praktykach i naukowców. Stacja muzealna w Nadolu przewiduje prowadzenie badań naukowych w kilku dyscyplinach (m. in. z zakresu etnografii, architektury ludowej, nazewnictwa, socjologii).

Dużym osiągnięciem powojennego muzealnictwa w woj. gdańskim jest Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydzech. Kiedy upadły plany zorganizowania skansenu w Dolinie Radości w Oliwie, wybór padł na Wdzydze. Projekt wstępny skansenu – w miarę upływu lat uzupełniany – opracowali mgr Wojciech Błaszowski i mgr Józef Frycz.

Kaszubski Park Etnograficzny działalnością swoją obejmuje Kaszuby (za wyjątkiem pasa nadmorskiego) oraz Kociewie. Na jego teren przenosi się zespoły budownictwa uwzględniające jego zróżnicowanie regionalne, funkcjonalne i społeczne. Obecnie na terenie parku stoi już 21 obiektów, a po zakończeniu budowy będzie ich ok. 60. Równolegle z ratowaniem budownictwa ludowego KPE gromadzi ruchome zabytki ludowej kultury, z których część wykorzystano do wyposażenia wnętrz czterech chałup.

W przyszłości przewiduje się uruchomienie niektórych warsztatów rzemieślniczych i pokazy działania urządzeń przemysłowych, a także demonstrowanie tradycyjnych form gospodarki i obrzędów.

W działalności popularyzatorsko oświatowej na wyróżnienie zasługuje organizowana od 1972 r. impreza folklorystyczna – „Jarmark Wdzydzki”⁶).

Trzeba tu jeszcze wymienić Muzeum PTTK w Wielu, bazujące na kolekcji Leonarda Brzezińskiego, która zawiera m. in. 13 drewnianych rzeźb o szczególnej wartości artystycznej, zestaw morskiego sprzętu rybackiego i rzeźby Leona Golli MOKSiR we Władysławowie oraz zbiory Józefa Budzisa z Pucka, obejmujące sprzęt rybacki i modele statków.

Wydaje się, że w chwili obecnej, gdy już istniejące muzea wymagają umocnienia organizacyjnego, sieć placówek etnograficznych na terenie województwa jest w zasadzie prawidłowa. W najbliższym czasie uzupełnią ją pojedyncze zabytki budownictwa ludowego pasa nadmorskiego, przeznaczone na cele muzealne. Będą to chałupy: w Helu przy ul. Gen. Waltera 86 i we Władysławowie, przy ul. Boh. Kaszubskich 28 oraz Starowiejskiej 8.

Kilkutysięczne zbiory etnograficzne skompletowane w większości po II wojnie światowej stanowią solidną bazę do prawidłowej analizy obrazu etnicznego naszego regionu. Jest to aparat badawczy dla współczesnych ośrodków naukowych i dla przyszłych pokoleń.

Duże kolekcje wymagają jednak rozbudowanego zaplecza magazynowego i kadrowego. O planach pewnej poprawy warunków ekspozycyjnych i magazynowych warto krótko wspomnieć. Oddział Etnograficzny w Oliwie ma przejąć Spichlerz Opacki (pow. ekspozycji w tym obiekcie wynosi 361 m kw.), Muzeum Kaszubskie w Kartuzach – za budowania poklasztorne, Muzeum Piśmiennictwa w Wejherowie – Pałac Przebendowskich.

W skali palących potrzeb wysuwają się na czoło niedobory kwalifikowanej kadry. W szczególnie ciężkiej sytuacji znajduje się KPE – Wdzydze (pow. 21 ha, 21 obiektów architektury, 12 zmagazynowanych, kilkaset zabytków ruchomych i tylko... 3 pracowników merytorycznych).

Postęp w pracach muzealnych nie może być zabezpieczony jedynie przez pasję pracowników muzealnych i ich dobrą wolę. Musi bowiem być wzmocniony przez modernizację pewnych dziedzin pracy muzealnej (konserwacja, obsługa widza, wprowadzenie nowych metod dokumentacji).

Zabezpieczenie tego postępu to nie tylko środki techniczne, ale znowu zabezpieczenie specjalne kadry fachowej – nie zawsze z kręgu etnografów.

Przed muzealnictwem etnograficznym stoją nowe zadania – jednym z nich będzie pewne przeprofilowanie kierunków działania naukowego. W dotychczasowym systemie, nastawionym na dokumentację relikwów czy żywych jeszcze przejawów tradycji, stosunkowo mało miejsca stanowiły badania i próby dokumentowania przemian współczesnych wsi. Jednym z takich zagadnień jest zespół problemów związanych z przemianami jakimi podlega współczesna sztuka ludowa.

Wreszcie należałoby w większym niż dotychczas stopniu przejść na muzealną archiwizację tych elementów kultury ludowej, które nie mają swojej materialnej postaci, a więc automatycznie nie stanowiły centrum zainteresowań muzeal-

nych. Chodzi tu przede wszystkim o te zjawiska i elementy, które można utrwalić i zachować dzięki taśmie filmowej i magnetofonowej.

Problemem do rozwiązania w przyszłości – to sprawa informacji etnograficznej, ale obowiązujące ustalenia musiałyby objąć całe polskie muzealnictwo etnograficzne.

- 1 F. Mamuszka, Sopockie Muzeum Kaszubsko-Pomorskie, Dziennik Bałtycki z dnia 13/14.II.1972
- 2 B. Stelmachowska, Zbiory etnograficzne w Szkole Morskiej w Gdyni „Lud” t. XLIII, Wrocław 1958
- 3 R. Klim, Hel, Gdańsk 1978
- 4 L. J. Łuka (red.), Przewodnik po muzeach Ziemi Gdańskiej, Gdańsk 1977.
- 5) Założenia programowe skansenu etnograficzno-historycznego w Nadolu (w:) J. Borzyszkowski, Nadole. Przeszłość wsi w pamięci jej mieszkańców, Gdańsk 1977
- 6) L. J. Łuka (red.), op. cit

Józef Ceynowa

Rozewskô bliza

Blizo! Kol ce oczë roscą,
w dół ucëkô koždô dôka
czie tã zamaszëstą gróscą
sejesz widem swim z wësoka.

Od ce cémzô tak ucëkô,
że jaż krzeptë jeży wałom
co z komudë wëzebleklë
z sromotë sę pòłą całë.

Le dënëdži rozczochronë
pësznią sę swojå urodą,
baraszkują ë blëkrëją,
a że strëbra bogaconë
do miesądza jidą w wreje,
jak jaczis dzëwczëta młodë
co to w stroju wëpësznionym
na wieselnë jidą godë.

Okrëtnik na wiwat bije,
wås sumiasti so podkrącô
czie rozewsczi róg twój mijô
kol ce sztorm kursu nie zmący.

Blizo wiernô! Tëz ce znajë,
bom zdrzôł na cę jak na słuńce,
mieszkôł kol ce, w stronie naji,
lem nie dozdrzôł widë kuńca...

Chcôlbëm na cę zdrzec jak przôdë
i w sé rozwidniac komudë,
od ce so wicy widë wzc,
bë z widem midzë lëdzy jiś.

Pan Rudolf

Z grona naszych przyjaciół odszedł Rudolf von Czapiewski, zwany przez nas po prostu Panem Rudolfem. Zmarł 17 maja 1979 roku we Frankfurcie nad Menem w Republice Federalnej Niemiec, gdzie od wielu lat mieszkał i jako rencista pracował społecznie na rzecz Polski. Tęsknił do kraju ojczystego, do swoich umiłowanych Kaszub, które często odwiedzał. Tutaj znajdował wytchnienie dla schorowanego serca, sympatię i przyjaźń wszystkich, z którymi się spotykał.

Wrócił na stałe, bo takie było jego życzenie, by spocząć na cmentarzu w Wąglikowicach w pobliżu „kaszubskiego morza”, czyli jezior wdziedzich; w ziemi rodzinnej jego i żony. Na małym wiejskim cmentarzu ostatni hołd oddali Mu, oprócz rodziny i znajomych, przedstawiciele Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego: sekretarz ZG ZK-P Zygmunt Potrac i członek ZG, prezes Oddziału w Kościerzynie, Jan Machut. Zygmunt Potrac w przemówieniu nad grobem wyraził żal, że utraciliśmy przyjaciela i sympatyka naszej organizacji, człowieka o wielkim sercu, którym ogarniał zwłaszcza młodzież twórczą zdradzającą talent w ludowym rzemiośle.

Rudolf von Czapiewski wywodził się z kaszubskiej rodziny od pokoleń osiadłej w powiecie kartuskim. Ojciec jego przeniósł się do Ostaszewa na terenie Wolnego Miasta Gdańska, gdzie uruchomił piekarnię i cukiernię. Był przykładnym Polakiem, członkiem Polonii Gdańskiej, który dzieci swoje posyłał do polskiej szkoły. Bojówki hitlerowskie raz po raz napadały na jego lokal i mieszkanie, on jednak nie załamywał się i do wybuchu drugiej wojny światowej swoją i swojej rodziny polskość manifestował jako świętość nadrzędną.

W 1939 roku, tuż po opanowaniu Gdańska przez hitlerowców, ojciec Rudolfa został aresztowany przez gestapo, osadzony w obozie koncentracyjnym Stutthof, a następnie przetransportowany do Oświęcimia i tam w 1942 roku zamordowany. Sam Rudolf, chociaż chłopcem był wówczas, przeszedł przez więzienia gestapowskie, m. in. w Starogardzie Gdańskim, potem był deportowany na przymusowe roboty.

Los zrzucił, że Rudolf von Czapiewski, ożeniony już z Bertą z Piankowskich, osiadł w Republice Federalnej Niemiec. Tam szukał kontaktów z Polakami. Nie miał wykształcenia, poza zawodowym, a jednak wyspecjalizował się w niemieckim prawie karnym, cywilnym i administracyjnym, aby służyć pomocą zagubionym w Niemczech zachodnich Polakom. W znajomości prawa, w tym cy-

wilnego, doszedł do perfekcji. Walczył w sądach o renty dla tamtejszych Polaków, o odszkodowania za przesładowania w okresie hitlerowskim, o ich godność. I stale tęsknił do Polski. Żył życiem kraju ojczystego, wspierał moralnie budowę Centrum Zdrowia Dziecka i różne krajowe inicjatywy kulturalne. Szczególnie bliskie były mu organizowane przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie konkursy ludowych talentów. Dla najlepszych artystów ludowych młodego pokolenia fundował nagrody rzeczowe, wzbogacał fundusz wydawniczy Zrzeszenia i zbiory Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. W naturze jego leżało pragnienie pomagania ludziom i sprawie regionu kaszubskiego.

We Frankfurcie nad Menem, gdzie mieszkał, walczył wspierał działalność tamtejszej Polonii, za co nadano mu zaszczytny tytuł Honorowego Członka Zarządu Związku Polaków „Zgoda”. On bowiem zabiegał u władz miejskich o przyznanie „Zgodzie” stałej siedziby, w której urządzono miejsce spotkań Polaków — obywateli zachodnioniemieckich, spotkań o charakterze kulturalnym i oświatowym. Był inicjatorem i organizatorem wieczorów wigilijnych dla dzieci i młodzieży polskiej, pomagał w zorganizowaniu Festiwalu Zespołów Folklorystycznych Polonii i cieszył się, gdy zespół z Hamburga przyjechał do Frankfurtu z programem kaszubskim. Udzielał porad prawnych członkom „Zgody”, organizował fundusze na utrzymanie lokalu i działalność tej zasłużonej dla polskości organizacji.

Był antyfaszystą, członkiem i aktywnym działaczem VVN (Związek Ofiar Reżimu Nazistowskiego), współpracował z lokalną komórką ścigania zbrodni hitlerowskich, nawiązał też szerokie kontakty z podobnymi organizacjami w Polsce, przede wszystkim ze Związkiem Bojowników o Wolność i Demokrację. Jego liczne inicjatywy, a żywotny był do ostatniej chwili, zjednywały dla sprawy polskiej coraz więcej rozsądnych ludzi, szukających pojednania i współpracy z Polską. Oprócz Polaków, lub Niemców polskiego pochodzenia, w szeregach przyjaciół Polski znaleźli się tacy ludzie, jak przewodniczący frakcji SPD w parlamencie heskim, obecny minister spraw socjalnych, Armin Clauss, jak kierownik Evangelische Erwachsenenbildung dr Klaus Würmell, jak kierownik referatu przestępstw hitlerowskich w Prezydium VVN Karl Sauer...

Był Pan Rudolf jednym z organizatorów słynnego Kongresu „Pokój z Polską”, który z udziałem

delegacji polskiej obradował w 1971 roku w słynnej Paulskirche we Frankfurcie nad Menem, a ponadto wnie przyczynił się do przekazania Gdańskowi cennej dokumentacji architektonicznej inż. Wolfganga Deurera z Wesel nad Renem. Miał też szerokie plany rewindykacji z RFN gdańskich zabytków sztuki.

Był — jak to się mówi — urodzonym działaczem. Nie dla zasady, lecz dla dobra ludzi. W czynieniu dobra odczuwał satysfakcję własną. Wiedział, że jest ciężko chory, więc chciał zrobić jak najwięcej. I zrobił dużo, bardzo dużo. Forsował

schorowane serce, aż nie wytrzymało tempa pracy. Odszedł nagle i dla nas niespodziewanie.

Gdy będziesz, czytelniku w Wąglikowicach, pochyl głowę nad mogiłą człowieka, którego — jeśli użyć słów poety — życie nie głaskało po głowie, ale który starał się łagodzić życie wielu ludziom, przede wszystkim w Republice Federalnej Niemiec, bo serce jego wypełnione było zawsze dobrem. Był bowiem Panem Rudolfem — uosobieniem życzliwości i wszelkiego dobra.

TADEUSZ BOLDUAN

Paweł Zbierski

Kaszubski śpiew ryb

**Duchowi Wicka Rogali,
któremu chatę zburzyli**

zaraz po przyjeździe
pełen młodości chciałem
odebrać tutejszym zegary
zapomnieć
nie narzucać się
zajrzałem światłem do przerebli
zanurzają byle jakie
kije sekate
z drutem zakończonym pętla
gdy ryba wpływa
zaciągają pętlę
bandażując zdobycz
szczelnie drutują
i wyciągają otrzepując z kropel
i kompleksów
bo tak tu kłusują
jak się utrzymuje
dopiero ulowione ryby
mogą śpiewać
tutejsi mają mało czasu
dla Siebie
proponują przyjezdnym
małe muzeum
i pomnik Heronima Derdowskiego
a natrętnym:
kaszubski śpiew ryb

Wiele, 18.II.1979

Janka Kupała

(1882-1942)

W 1982 roku minie stulecie od narodzin białoruskiego poety Janki Kupały. Z tej okazji opublikowana zostanie w Mińsku antologia „jednego wiersza” — zawierająca przekłady wiersza „A kto tam idzie” J. Kupały na różne języki świata. W antologii tej ukaże się także przekład kaszubski, dokonany przez Alojzego Nagla.

Janka Kupała (właściwe nazwisko: Jan Łucewicz) był twórcą nowoczesnej poezji białoruskiej: tłumaczył na białoruski utwory M. Kołopnickiej, A. Mickiewicza i W. Syromkuli. Do najbardziej znanych zbiorów poezji J. Kupały należą: Zalejka (1908), Piesnia budaŭnictwa (1936) i Ad serca (1940). Jego dramaty: Paulinka (1912) i Raskidanaŭ hniazdo (1913) wywarły także wpływ na współczesną dramaturgię białoruską. Wiersze J. Kupały, wielokrotnie tłumaczone na język polski, ukazały się m. in. w zbiorach: Wybór poezji (1958) i Dzień powszedni, ubogi (1962).

Res.



A chto tam jidze?

A chto tam jidze
A chto tam jidze, a chto, tam jidze
Tak baro wiele, takô bokadość
— Biôlorusë —

A cësz to niesą na zmiartéch plecach
Na rëkach, we krwi, na nogach w kodrach
— Swoję krziwdę

A chdze to niesą tę krzwidę wialgą
A chdze niesą bë ję pokazac
— Na cali świat

A chtëż to karno, milion niejeden
Z krzwidą jic uczył ze spiku zbudzel
— Bieda, rozpacz

A cësz to tej jima sę zachcało
Tim pogordzonëm, slëpëm i glëchëm
Lëdzamé zwac sę

Tłumaczył: Alojzy Nagel

Jan Trepczyk

Władigo lëse

We wejrowsczi karczmie przësedle so kol stolika dwaji bëłny drësze, Władi z Brunem, i zafedrowale so po jedny kôwce. Za szterk przësadnął kol nich Tóna i zaczął z Brunem kôrbic na tema chowe lësów. Ko je wiedzec, że Bruno trzimô lëse od lat i je jich zawolónym chowôczem. Dôwają mu zacht zwësk i są bëłną wëpomózką w domôcech wëdówkach. W gôdce, Tóna wëpowiôdô dbë, że rôd bë téż sę jął chowe lësów i mô chëc nabëc czile pôr w chowę. Władi, co całi szterk nick nie gôdô, le sę przëslëchiwô, narôz kask odkaszlnął ë rzecze:

— Ko jô móm lëse do przedani! A je to bëłnô rasa lësów. Taczech tu nicht w miesce ni mô.

— Jo — rzecze smiejacë sę Bruno — Władi mô lëse do przedaniô. On tobie Tóna może przedac. Le nôgorzi bądze z tim uchwôcenim...

— Ko kojzdigo lësa musi sę uchwôcec... Z tim nie mdze znôw tak wiôlgô biëda, ko to sę dô zrobic... — wtożi heszczisz Władi.

Tóna, co poprôwdze je mocno zainteresowóny kupiszem lësów, zafedrowôł pół litra kornusu, bo mëśli zare na môlu zrobic dobrą sznërgę i przë ti leżnosce wëpic lëtkup.

Władi, po wëpicym kojzdigo czeliszka, corôz barzi zachwôliwô swoji lëse — jakô to apartnô rasa, jaką mają mitką a gëstą sërzhel... — Bruno abo jinech lëse, co je chowią w klôtkach, ani w dzëlu nie są tim, co moje. Ale potrzebë téż jima dac apartną pojugę, apartną charnę... To téż niżôdna skôrka od moich lësów niżi szterzech tësaców nie jidze.

Tóna je corôz barzi podskacony kupiszę tak apartnech lësów. Póllitrowô skłónka bëła wëpitô. Tóna stôwiô drëgą. Jiny goscowie wkól przë stolikach czekawo sę przëslëchiwają corôz głosniszi dowodzeźnie Władigo o nadzwëkowych dolożnoscach jego lësów.

— Le nôgorzi bądze z jich uchwecenim — czidnął znôw rozesmióny Bruno.

— Në jo — zwichleł sę përzne Władi — përzne ucemiëdźi z tim uchwecenim może bëc. Ale na co są klôtczi, abo jaczi jadra, mrzeżë? Może môsz Tóna jaką stôrą klôtkę? Jô móm wszetczy wëzbëti.

— A do ti klôtczi tłëstą kurę? — smieje sę przekëсно Bruno.

— Jo, jakbë bëła tłëstô kura to lës sóm w klôtkę wlëze — przëswiôdczô driwowóno Władi.

Tóna, co ju so téż mô bëłno czorchnięti, zdrzi z corôz wikszim zdzewowanim na Władigo i Bruna i kureszcze rzecze:

— Że musi bëc klôtko, to jô wiëm, ale nie rozmieję do cze bë miałë bëc mrzeża, jadro i tłëstô kura? O czym wa pleszczeta? Lëtkup mómë wëpiti, dóm bożôka abo od razu zapłacę i bierzë trzë pôre bo od jedny nie je wôrt zaczënac.

— Ale jo — zawolôł Władi — ni le trzë pôre ale wiele wicy mogę jich odprzedac i to na pół darmo! Ko jô nie jem taczë, nikomu tak baro w miészku nie zazéróm. Të jes Tónku bëłny drëch i wiész co sę slëchô. Le żlë jidze o lëse, to so je muszisz sóm uchwëcec.

— Jaktô sóm uchwëcec? — pitô sę Tóna.

Władi sę tere kask ucmuleł pod nosëm, przëzdrzôł sę nurkem na Bruna i rozezdrzôł wkól po sedzacëch goszczach, a tej rzecze niedowinno:

— Në jo, bo te moje lëse, te niekaruse są porozlazli po lese, powëkopale so dzure i cëżko jë z nich wëkurzec. Nôlepi sę dadzą uchwacëc w miech.

Władi jesz ni miôł swojigo stożeni dokuńczony, czëj Tóna sę kureszcze dobadaérowôł, że on go całi czas za nos pocygô. Rozgorzony wstôł i szed bez oddzëkowani. Towarzëł mu chachot wszëtczëch goszczów. A Władi za nim wolô:

— Ale Tónku, jô móm poprôwdze lëse do przedaniô, le je so muszisz sóm uchwacëc.

Ale Tóna jakbë tego nie czuł. Szed le sę kurzëło.

A może jaczi lubotny czetińc udbôł so téż załôżec chowę lësów? Nick lëszëgo! Niech przinđze do Władigo. On kojzdimo przedô jich kuli le chto chce i to czësto apartny, lasowi, lëse ze żôltą sërzhelą.

Co dzień uderziwôm w tę samą strënë żecô

Jerzy Stachurski

MODERATO

MUZYKA: JERZY STACHURSKI

CHÓR

MO-JA ZE-MIO CHTĚRNA ZBIĘ-KOSZ WSZĘCZCI DRO-DZI JAK ŻŲRNO
TE ZA-PROADU W MĚSLĚ ZA-PISZ PŁŲCHA LIŁO-ŁE MOC-NY
W-DRA H PO-WU TWĚICH O-CZI ME LE-BIA-NY ZDRZŲ - DŲA
CZĘŚĆ SZKŁI-BE CZAS PRZE-KŁŲDŲ PŁŲCHA NA-BIĘ-KŲ NIE-SO-KOS-ŁE
SKŁAD GO ZNAŁA MOJA SPIĘWA RA-ZEM W DŲŁ

Chór:

Moja zemio
chtĕrna zbiĕrŲsz
wszĕtczĕ drodżi jak żŲrno
tĕ zaprowadz
w mĕslĕ zapisz
płŲchĕ w loce
mocnĕ skrzydła
widza w polu twojĕch oczŲw
nie wĕbrŲnĕ zdrzŲdła
czĕzcziĕ szcibĕ czas przekłŲdŲ
płŲch nabĕrŲ wĕsokoscĕ
skład go znała moja spiĕwa
razem lecł w dŲł

Recytator:

Ta mowa je wiĕkszŲ od wĕspĕ
objĕti rĕką chtĕrna barni i niesĕ
przed modrima oczama codzĕnnoscĕ
gdze chmura przelicŲ kożdi dĕtk deszczu
Je taczĕ słowo
chtĕrnĕ spotkŲł jem w drodze
Zgubiony ny przez mŲłĕgo knŲpa
JŲ zamieniony w gŲrsc popiołu
Gdze niemożĕbno liczcĕ na jinną krajnĕ
wiĕkszā od pochadu jeseni w ogrodze

Je w ni plac na czernĕ jak w kożdi
jinny stronie swiata
I możĕbno znalezc ji tĕtno blŲs trzeba
stanĕc blĕzi kożdĕgo sztŲłtu
zrŲwnac so z jinnym krokiem
Podniesc barwĕ z ji nŲwiĕkszi głĕbi
i roznĕkac wĕobraźniĕ do ostatnĕgo dechu
bĕ ni mia sĕł na nazŲdka

Wnet słowo rozrziwŲ so jak wiĕrszta
pĕkŲ w poemat
oddaliwŲ nie milĕc kroku
pod sŲm most widnotĕ
nikomu niezŲnŲy

Te pokazĕjā na mnie
gdze krāg trzeba powĕkszcĕ
o spiĕw piŲra
Abĕ dŲnĕc i zaczĕc razem
Zwierniac odkrĕtā zŲbiĕrŲnosc
w doznanim w przĕbliżajĕcym so zdrzŲdle
z otemklima remionama
w remiĕ po chtĕrnĕ sygŲsz
i nie ostŲwŲsz sŲm na drodze
razem z widem
na chtĕrnĕ nie możĕbno zepchnĕc
żŲdnĕgo kama nocĕ
bĕ otemkŲnĕc wszĕtczĕ drodżi słŲncem

Gdze tĕ ostŲł odrodzony
Blĕższy i wiĕrniĕjszy horizontowi
Tak bĕ żŲden przewoznik ni mŲgł
Oddalĕc ciebie barżi niĕ na pŲlnoc
Cali ten ocean zdjimŲm
jak czŲpkĕ przed
rozpĕdzonā rĕbā wĕobrazni
Chtĕrna przesuwŲ os jarmolĕcĕ lasŲw
bĕ przĕsta pŲlĕc so w ni
Droga barżi pŲochłĕwŲ jak sarna

Czijs głos podaje mnie swoją wësokosc
wëznôczając nowi szlach žëcô,
po nôdalszi mrok

Andante

WIE PŁOZŁ PŁOZŁ HE-ŁEŁE JAK CA JE NI-OLE N KAJDŁE E

ME SĄDŁ ZY-DURŁ Y WAME

HE-PI-JE TŁA OSTATNŁ KŁ HE

SLUN-ŁE JÔ SWÔJ ZNA-ŁOŁŁE PLAC USZŁE TŁO

SŁE - RE - CE CA - MI - KÔ DWA KWAL

6 f 8 NOC FARWE ZŁEWÔ H TŁE-JE WY LI - DU BAKŁ - NS OTŁM - KNIJ DWE-ŁŁE

To wid wpôdô do mnie na chwilę
Jak pszczoła chtërna tracy równowogę
Gdë stoję na sztëczku mijającëgo dnia
Dołączôm je do włôsnëgo dechu
Niglë z kama nie wëkrzesy jego mądrosc
'bë dostac so do jego serca

Chór:

wëplôsz mrok
wëlëcz jak ranę
niglë odnajdze ce miesądz
wëpije twą ostatnią kawę
zydźier cygnie słuńce
jô swój znalazł plac
wszëtko swé ręce zamikô
dnia kuńc
Noc farwë zléwô
w twoje snë
widu braknie
otëmknij dwiërze

Recytator:

Wiele pitań postawionëch drogowskazów
Jakże głëbok osadlë we mnie
Noszę czas wëcarti jak obleczenië
zanërzony we mnie po nôgłëbszą stëdnie
mëslë

Z chtërny wëcygôm wodę
dlô wespółniëch niedzël
Jak pomału budëjë so ta sedlëca žëcëgo
I jak uplesc laur
Gdze odnalezc jego korzën
Bë nie obôcił mnie ptôch zmroku
Moja droga stoi otëmkłô
Na chtërny co dzën uderziwôm w tę samą
strënë žëcô

Ze Słownika Sychty

Przesady

Opracował Jerzy Treder

Prezentowane niżej, przesady nawiązują do przedstawionych wcześniej wróżb, np. gości zapowiada kot w myśl przysłów: Kot sę męje, przінде gosc. Kot wgóniô goscę w dóm – i porzekadł: Gafelczǝ spadłë, przінде głodny gosc (pn) I 297, łëzka spadła, przінде głodnô białka (III 19). Ponadto gościa wróży uderzenie w rękę: Jô sę w rękę uderzył, przінде gosc (Łysniewo) I 344, także uderzenie w łokieć: Jô sę uderzył w łokc, przінде gosc (III 23). Również sroka wróży gości (Jamna, Parchowo) V 143. Poza tym przesady bardzo silnie wiążą się z wierzeniami, np. Ptôch węcýgô z gniôzda, chtërnô człowiek uzdrzôł i omaklôł (śr) IV 214. Cziej dzecë nalëzq ptôsze gniôzdo, niech sobie nie opowiódajq o tim pod dakem, le na polu, bo cziej o tim pod dakem bę sobie opowiódôł, to ptôszi spôtkô nieszczescë, np. mrówczǝ wlëzq do gniôzda abo kot je zjé (Łebno, Pomieczyno) IV 214, a porównaj wierzenie: Chto nalëze skowrónczëno gniôzdo z jôjkami, ni muszi o tim nikomu opowiadac, bo jinaczi mrówczǝ wëpijq jôjka, le skorëpë ostónq (Cieszynie) I 331. Wobec powyższego takie wierzenia zostanq tutaj też odnotowane.

Mie zacząłq, chtôs o mie gôdô (I 173) traktuje się jako wierzenie, natomiast przesadę jest: Chtos muszi na mie plotowac, bo mie wërzucëło priszcz na jëzëku (Staniszewo, Sianowo, Mirachowo) VII 227.

Przesady odnoszące się do chowë: Slurice swięcącë w Nowi Rok szkodzi chowie (V 198). Czie chto wprôwôdzô kupionégô konia w chlëw, a ten kón sę strzëse, to on sę poddô (Łysniewo) II 37. Krowa poddô sę, czie lewq nogq wlëze w chlëw (Łysniewo). Nabëtq swinię muszi tëlëm za ogón wcygnq do chlëwa (Sulëczyño) II 37. Ják sprzedajesz chowë, to ji nigdë nie żaluj, bo sę nie poddô nowému nabiwcy (VII 178). Nie trzeba nigdë żalowac sprzedóny chowë, bo sę nie poddô kupcowi (ogólne) VII 297. Przy sprzedaży zwierząt domowych trzeba wiedno cos opuscëc, żebë chowa sę nowému panu poddała i sę dobrze chowała (Łysniewo) II 51. Cziej jaskułkq przelecý krowie pod brzechem, to krowie wimię spuchnie (Parchowo) abo krowa zacznie dawac krwiané mlëko (ogólne) II 83. Wchodzq do chlëwa, szczególnie do takiego, w którym przebywa młódô chowa, nalëzy dwa palce załozëc za pas, żebë ji nie uroczył. Jak sę chowë sprzedaje, nie trzeba ji nigdë żalowac, bo jinaczi ona zdechnie abo mdze chudô. Jeżlë chto chce, żebë sę komus chowa nie chowała, powinien pod nowo budujq-

cy się chlew zakopać scërza, np. zdechlq gës. Nie nôlëzi nigdë litowac sę ani wzerac, jak sę chowë zabijô, bo krew nie chce z ni lecec (II 50). Chto włôzi rękę za opaszë, tego nicht ni może oczarzyć. Jak włôzôs do cëzégô chlëwa, to załozë palce za opaszë, żebës chowë nie uroczył (śr, pn) III 324. Udzëwila krowë, że mlëka nie daje (Brodnica) I 267. Nôlepi w niedzielę krowę zasëszyć, tej ona na dniu sę oceli. Nigdë nie powinno sę zasëszyć krowë na schodze miesëdza (V 40). Celë smuczq, cziej go pojq, żebë sę nie ochwôcëło (V 103). Mólë gqsátka przepuszczajq bez chlôpszczi buksë, żebë jich chto nie uroczył (I 87). Białkq okadzëła gqsátka i przez buksë przepuscëła, zanim je pierszi rôz na pole wënëka (II 118). Na całych Kaszubach kurom i gësom, co sedzq na jajach, kładzq kawał żelazła w gniôzda, żebë grzmot nie zaglësił pisklq (I 331). Cziej to grzmi, kładzq krzem abo nóz pod gës na jajach. Cziej sę sadzý jaja pod gës, ni muszi jesc, bo jinaczi bëka zeżgrze wszëszczë gqsátka przë wëkluwanim. Jaja pod gës muszi razem podkladac, żebë sę gqsátka razem klëłë (I 310).

Przesady związane z robieniem masła i z sie-
wem: Jak ni mozesz masła szcierzniac, to le zakop mlëko w ziemię abo przegotuj je dziewięc razy z remiônkiem, kolëdrem, z krzëwim abo matczim zelim (Cieszynie, Sianowo, Chmielno) II 320. Wiëc piërwi, jak sę masło nie chçło zarobic, to bialczǝ wënioslë czierzenkë ze smiotanq na krzëzewi miedze (V 113). Jak sę masło nie chçło szcierzniac, to stari lëdze kladlë szmelka (krwieńczaka) w czierzenkë (pn-zach) V 273. To sq cemné noce, chcemë le żëto sôc, ono mdze jëdrznë. W cemné nocë dobrze sę wëgorz chwôtô (I 124). To mdze wnet czas sôc, a to sę dobrze sklôdô, bo to terô sq te cemné noce (III 208). W pelni (kseżëca) je lëcho robic. Orac je lëcho, sôc je lëcho, sec je lëcho, z białkq spac nie je dobrze. Grzëbë roscq, cziej kseżëc je w pelni (IV 55).

Miesiãczka i ciãza: Białkq, co mô króla, nie powinna piec chleba, bo sę nie zdarzi, robic zôpraw, bo sę zepsëjq, sadzëc kwiatów, bo nie będq roslë (II 256). Kobiëta, cziej mô regulkë, nie powinna robic zôprawów (Zabory) IV 312. Białce, chtërna je grëbô, nie powinno sę niczego odma-
wiac, bo to równak mësze zjedzq (I 357). Białkq abo dzëwcę, co zjé zrostkë (dwa ziemniaki, jabłkq, gruszki zrosniëte razem), będze miała pôrë (VI 250).

Ślub i małżeństwo: Dzëwcę, co sadnie na stółk, na chtërnym ksqdz sedzôł podczas kolëdë,

w nowim roku sę ożeni (II 186), porównaj: Gospodzenie sôdają na ksezi stółk (na chłtynym kszadz sedzół podczas kolęd), żebe jim len do brze rósł, gospodôrze, żebe jim óws urósł wieldzi, dzéwczęta, żebe sę wnet ożeniłë (II 283). Dzéwczę, co mô dludzié palce kole nóg, będzie miało górę nad chłopem (śr) IV 13. Pająk wiszący nad łózkem dzéwczę gôdô ji, że knôp ję kochô (pd) IV 11. Chcąc się ustrzec staropanieństwa dziewczęta na Kępie Swarzewskiej chodzą po kretowisku i mówią: Krece, krece, ciebie panna depce (II 252). Jedzenie kromek w dużych ilościach zapewnia dziewczętom rychłe zamążpójście. Krómka dlô Tómká – mawiają dziewczęta zachowując kromkę dla siebie (II 258). Dziewczyna kaszubska, podobnie jak kociewska, cieszy się, gdy ugryzie ją pies, bo szybko wyjdzie za mąż, podczas gdy chłopca musi koniecznie ugryźć suka, jeśli nosi się z zamiarem rychłego ożenku (pd) IV 262. Jô prała i sę tak schilała, że jesz pewno pijôka dostónę za chłopá (II 29). Cziej dzéwczę pierze, a sę obleje, tej ono dostónie pijôka, a cziej to jesz deszcz padô, tej ono jesz dostónie bijôka (IV 158–159), por.: Cziej dzéwczę pierze i sę przë tim obleje, to ono pijôka dostónie (IV 269). Cziej dzéwczę chce dostac dobrého chłopá, cobë nie pił, tej ono sobie w Stôri Rok szumku od piwa za kark zaleje (Puckie) V 307. Aby swaty wypadły pomyślnie, powinien dobri mąż udać się w drogę z parasolem pod pachą, laską w rękę i jednym, nie zapiętym guzikiem przy ubraniu lub płaszczu (I 222). Brutka nie powinna jic z pôcórkami do slëbu, bo mdze wiele płaka (IV 5). To je dobrze, że môsz w swoje weselé taką mżochę, będziesz bogatô (Lešno, Kaszuba, Wysoka, Główczewice) III 148. Niech sę młodi (nowożeńcy) nie obzërajá, cziej oni jadą do slëbu, bo sę będą obzëralë abo za jiną białką, abo za jinym chłopem (śr) III 89. Do slëbu powinna brutka jachac w spódnicy wëwrócony na rëbë, żebe ji czasem chto nie uroczył (IV 299). Nié je dobrze jachac w szëmle do slëbu (pn-zach) V 246. Przindzesz na weselé, bo môsz rëków werwóny pod pôchą (pd) IV 303. Zanim kur zapieje, kawaler sę musi wëspac z brutką, żebe nie stracëc mocë (Łubiana, Rybaki, Lizaki) II 150 Chto po slëbie pierszi usnie, pierszi umrze (śr) III 129.

Dobroć i bogactwo: Dobrégo człowieka może poznać po tim, że na jego łakach wiele kwiatów rosce (III 29). To je dobri człowiek, bo na jego łakach rosce baro wiele kwiatów (śr) II 314. Lëdze z kulką na brodze to mają bëc dobri lëdze (II 293). Chto lubi słono jesc, je szczeri (V 237). Silne owłosienie ciała, zwłaszcza nóg, wróży bogactwo w myśl przysłowia: Chto klatati, ten bogati (I 53). Chto mô szadé ręce, będzie bogati (V 208). Dostónę pieniądze abo sę będą witôł, bo mie dlón swëdzy (I 218).

Dzieci: Jak dziecë umiërąj w rodzenie, dobrze je dac dziecóm jimié Jadam i Jewa (Stężyca). Dziecko, co sę nazëwô Jewa, chutko tracy ojca (Puzdrowo) II 99. Radzą dzieciom: Chcąc schwytać zającą należy mu nieco soli posypać na ogon (VI 172). Wieszczim biwô człowiek, co sę rodzy w czôpku na głowie (pn) I 148. To dziecko bądze wieszczé, bo ono sę urodzëło we winôszku (Zato-

ka Pucka) VI 159. Dziecko rodzące się z jednym zębem chutko umiërô, z dwoma zębami przychodzące na świat zostaje po śmierci upiorem. Także, kto mô rzadczë zëbë, będzie wieszczim albo – jak twierdzą w Strzeczcu – pojedze dalek w świat (VI 247). Dziecku do roku nie obcinają paznokci, ponieważ mogłoby zostać złodziejem. Obgryzają je tylko lub ułamują. Dorosli nie powinni nosëc dludzych nokców, żebe nie wëkopac nimi umarlëch z grobu. Obcięte paznokcie kładli niegdyś potajemnie nałogowemu palaczowi do fajki, aby odzwyczaił się palić. Podobnie postępują na Kociewiu (III 215). Dziecku w pierwszym roku życia nie wolno obcinać włosów ani czasac grzebieniem, lecz najwyżej szczotką. Człowiek z rosnącym włosom na brodzie rychło owdowieje. Strach wzbudzają ludzie z rudymi włosami. Obce włosy wplątane w swoje mają zastosowanie przy zapuszczaniu kołtunu. Ostrzyżone włosy należy spalić. Nie wolno ich wyrzucać na dwór, bo z chwilą, gdy jakiś ptak zabierze je, by nimi wyścielić gniazdo, ostrzyżony zacznie cierpieć na ból głowy (Wejherowskie) VI 91–92. Porównaj też podobnie o obcinaniu paznokci i włosów pod dziecko I 259. Nadto: W Mściszewicach nie czeszą dziecka do roku, bo dziecko dostałobë kôłtun (II 125). Dziecko urodzi się z ognipiórem (wysypką na twarzy), jeśli kobieta znajdująca się w ciąży przejdzie przez ogień lub rozżarzone węgle (III 302), a porównaj: Zeżarł të cegłë, że môsz taczci czerwiony plachc na gëbie (VI 313) i pod topiëlc: pręgë na twarzy można dostać, jeśli się będzie oglądało poza siebie po pogrzebie topielca (Hel) V 369. Rodzice zakazują dzieciom grzebac w ogniu, bo sę dziecë poszczają (I 374): Chto zabôwiô sę ogniem, nadoji w łóžko (Goszczyno) II 57. O karze za grzebanie w ogniu, objawiającej się w nerwicy, tj. mimowolnym moczeniu się (Jamno) III 300. Ale môsz të kruz włosë, ciebie pewno matka położyła na grochowinach abo na barani skórze, cziej jes sę urodzył (Kaszu-by i Kociewie) II 268. Jónk mniôł dwa czubczy (szczytowa okolica głowy, gdzie włosy układają się jakby w pierścień), to më zarô mówilë, że on sę utopi (Zabory) VII 41, a porównaj: Człowiek, co mô dwa gniôzda na głowie, tak że on ni może drôżczy we włosach zrobic, utonie (I 331). Natomiast samorzutnie układająca się stęgna na głowie mówi człowiekowi, że chtos mocno na nim teskni (też Kociewie i Bory) VI 92. Cziej malé dziecko je usmôrkóné, tej mu rozëm rosce (Wejherowskie) IV 347. Też: Dziecko, co smôrcze, przëchodzi do rozëmu (V 93). Bocónë odlecałë, a ciebie w kominie na hôkach ostawilë. Matka fartuch trzymała i ciebie schwitała (Łubiana). Dzieci w Starzynie wierzą, że nowarodki przynosi wiosną i latem bocian z morza, rzucając je matkom w klin, a jesienią i zimą warna, która przynosi je z drzew. Dzieci przyniesione przez bociana uchodzą za szlachetniejsze, przyniesione przez wronę za gorsze, jak się dzieci przechwalają: Jô jem lepszi, bo mie bocón przëniôsł, a ciebie warna (pod bocón I 47). Porównaj nadto: Gapa w zëmie dziecë nosy (Wybrzeże) I 301. Dzieci wierzą: W zëmie warna nosy dziecë, w lece bocón (VI 54). Tu i ówdzie w Puckiem dzieci wierzą, że w czasie nieobecności bociana

zēmowé dziecē nosy zajc (VI 172). W zēmie sowa nosy dziecē – tłumaczą dzieciom pytającym: Skądka sę bierzā dziecē, cziej w zēmie bocónów ni ma? (Wyszecino, Częstkowo, Kębłowo, Milwino, Strzebielino, Luzino) V 123. Kôczorē zēmā niosā dziecē (Swornigacie, Konarzyny) II 117. Krēka nioscē nosy (Wyszecino, Ustarbowo, Milwino, Strzebielino) II 246. Lēs dziecē niese

(Kępa Żarnowiecka) II 357. Jadąc przez rzekę z dzieckiem do chrztu, budzą je na moście, by nigdē w podēszczu nie robiło (IV 383). Cziej pudzeta z dzieckem do chrztu, tej le uderzta letko jego główką o wóltôrz, zebē ni miało cwiardi głowē do uczeniô (ogólne) albo: zebē ksędzem ostało (Stężyca) VI 52.

(Cdn.)

Współczesne rybołówstwo łodziowe w Helu

Roman Klim

W cieniu wielkoprzemysłowej helskiej „Kogi”, w oparciu o niewielkie enklawy nie zabetonowanej jeszcze plaży, w dalszym ciągu wypływa w rejon portów helskich 11 niewielkich, tradycyjnych łodzi wiosłowych indywidualnych rybaków. Jak dawniej zastawiają sieci. Pracują przeważnie w zespołach 2–3 osobowych. Oto krótka charakterystyka łodzi i ich załóg:

1. Łódź „Hel 2” o wymiarach: długość 465 cm, szerokość 73 cm, wysokość 53 cm; zbudowana w r. 1970 przez Roberta Strucka z Jastarni. Właścicielem łodzi jest Paweł Struck, ur. w 1926 roku w Jastarni-Borze. Pracuje zawodowo jako rybak na kutrze prywatnym „Hel 98”. W skład zespołu łodziowego wchodzi jego syn Ryszard ur. w 1957 r. w Helu. Poławiają wyłącznie za pomocą żaków węgorzowych. W zespole nie prowadzi się żadnego podziału złowionej ryby, ponieważ całość połowów przeznaczona jest na użytek domowy.

2. Łódź „Hel 6” o wymiarach: 438 cm, 155 cm, 65 cm; zbudowana w 1946 r., prawdopodobnie przez Roberta Strucka z Jastarni. Właścicielem łodzi jest emeryt Józef Budzisz, ur. w 1909 r. w Chałupach. Łowi razem z synem Zygmuntem ur. w 1949 roku w Helu, z zawodu technik mechanik pracujący w PPIUR „Koga”. Zespół ten poławia netami flądrowymi (40 sztuk), żakami węgorzowymi (6 szt.) i haczykami węgorzowymi (1000 szt.).

3. Łódź „Hel 8” o wymiarach: 442 cm, 170 cm, 60 cm; zbudowana w 1963 r. w Karwi. Właścicielem łodzi jest Henryk Muza, ur. w 1948 roku w Helu. Zawodowo pracuje jako rybak w „Kodze”. Jego pomocnikiem jest Kazimierz Nadolny, ur. 1948 r. w Jastarni, z zawodu tokarz. Zespół poławia netami flądrowymi (20 szt.) i żakami węgorzowymi (14 szt.).

4. Łódź „Hel 10” — o wymiarach: 565 cm, 195 cm, 55 cm; zbudowana w 1968 r. przez Jana Mużę z Chałup. Właścicielem łodzi jest Kazimierz Indyk, ur. w 1920 roku w Siedliskach (dawny pow. Jasło). Zawodowo pracuje jako palacz w „Kodze”. W skład zespołu wchodzi synowie: Henryk ur. w 1959 r. w Helu oraz Waldemar ur. 1954 r. w Pucku. Zespół poławia za pomocą następujących narzędzi: netów flądrowych (30 szt.), żaków węgorzowych (30 szt.) i haczyków węgorzowych (3000 szt.). Dysponują również grówcem tj. niewodem do połowu przynęty na węgorza (tzw. tobisem).

5. Łódź „Hel 11” o wymiarach: 450 cm, 180 cm, 55 cm; zbudowana w 1965 r. przez Roberta Strucka z Ja-

starni. Właścicielem łodzi jest Zeono Witschembach ur. 1952 r. w Helu. Pracuje w Centrali Rybnej w Helu w charakterze wędzarsza. W skład zespołu wchodzi jego brat Kazimierz ur. 1954 r. w Helu, pracujący również w wędzarni Centrali Rybnej. Zespół poławia netami flądrowymi (12 szt.), żakami węgorzowymi (6 szt.) i haczykami węgorzowymi (1500 szt.). Złowioną rybę dzielą między siebie na połowę.

6. Łódź „Hel 12” o wymiarach: 420 cm, 155 cm, 64 cm; zbudowana w 1958 r. w Jastarni prawdopodobnie przez Roberta Strucka. Właścicielem łodzi jest Stanisław Bartlewski ur. 1954 r. we Włocławku. Pracuje zawodowo w „Kodze” jako tokarz. Jego pomocnikiem jest Ryszard Pieper ur. 1954 r. w Jastarni. Poławiają tylko za pomocą żaków węgorzowych (4 szt.), złowioną rybę przeznaczają wyłącznie na potrzeby domowe.

7. Łódź „Hel 13” o wymiarach: 425 cm, 160 cm, 63 cm; zbudowana prawdopodobnie przez Roberta Strucka z Jastarni. Właścicielem łodzi jest Edmund Struck ur. 1921 roku w Jastarni. Rybołówstwo łodziowe jest jego jedynym zajęciem. Do niedawna pomagał mu syn, który teraz pracuje na kutrze rybackim w „Kodze”, Struck Edmund używa net flądrowych (12 szt.), mance śledziowych (6 szt.), żaków węgorzowych (10 szt.) i haczyków węgorzowych (2000 szt.) oraz grówcę.

8. Łódź „Hel 14” o wymiarach: 390 cm, 150 cm, 60 cm; zbudowana w 1959 r. przez Roberta Strucka z Jastarni. Właścicielem łodzi jest Stanisław Boszke, ur. 1947 r. w Helu. Zawodowo pracuje jako rybak w „Kodze”. Stałego pomocnika nie ma. Dysponuje tylko netami węgorzowymi (1500 szt.). Jeśli pracuje z pomocnikiem złowione ryby dzieli po połowie.

9. Łódź „Hel 15” o wymiarach: 417 cm, 160 cm, 65 cm; zbudowana w 1965 r. przez Roberta Strucka z Jastarni. Właścicielem łodzi jest Maksymilian Barlasz ur. w 1914 r. w Jastarni. Stałych pomocników nie ma, dobiera ich w zależności od sytuacji i potrzeb. Między innymi jego pomocnikiem był syn Kazimierz ur. 1953 r. w Helu. Z narzędzi ma jeszcze: nety flądrowe (20 szt.), mance śledziowe (3 szt.), żaki węgorzowe (3 szt.) i haczyki węgorzowe (1000 szt.). Przy podziale pomocnik otrzymuje 1/3 złowionej ryby.

10. Łódź „Hel 16” o wymiarach: 460 cm, 170 cm, 67 cm; zbudowana w 1973 r. przez Franciszka Hintzke z Chłapowa. Właścicielem łodzi jest Zygfryd Muza ur. 1939 r. w Helu. Rybołówstwo łodziowe jest jego podstawowym zajęciem. Pomagają mu w zależności od sytuacji brat oraz dwaj bratankowie. Zespół dysponuje następującymi narzędziami: netami flądrowymi (30

szt.), mancami śledziowymi (8 szt.), żakami węgorzowymi (16 szt.), haczykami węgorzowymi (1100 szt.) oraz grówcem. Przy podziale złowionej ryby 2/3 partu otrzymuje właściciel, pomocnik 1/3.

11. Łódź „Hel 17” o wymiarach: 420 cm, 150 cm, 70 cm; zbudowana w 1956 r. przez Roberta Strucka z Jastarni, remontowana w 1975 r. przez Władysława Janiaka z Helu. Właścicielem łodzi jest Karol Konkół ur. 1895 r. w Helu. Jego pomocnikiem jest Czesław Grzaczkowski ur. 1914 r. we wsi Wygod (dawny powiat Piotrków Tryb.), pracujący jako palacz w „Kodzie”. Używają wyłącznie net flądrowych w ilości 25 sztuk.

Złowione ryby rybacy przeznaczają przede wszystkim na potrzeby rodziny, nadwyżki sprzedają „Kodzie”. Są to niewielkie ilości. W ub. roku rybacy ze wszystkich łodzi sprzedali ryb za około 50 000 zł.

Helscy rybacy łodziowi poławiają określone gatunki ryb w zależności od pory roku. Jest reguła, że w styczniu się nie łowi. Ten okres wykorzystywany jest na naprawę sprzętu rybackiego. Połowy rozpoczynają się dopiero wtedy, gdy puści lód na zatoce. W okresie początkowym, gdzieś tak do marca, helanie stawiają żaki. W tym czasie ryb jest bardzo mało, trochę węgorza. W kwietniu i maju stawiają mance na śledzie. Od czerwca rozpoczyna się sezon węgorzowy, który z pewnymi odchyleniami trwa do września. W tym czasie można również stawiać nety na flądry, ale tego z reguły nie robią, ponieważ każdy zajęty jest łowieniem węgorzy, z których jest nieporównywalnie większy zysk. W sierpniu lub I połowie września można przystąpić do stawiania manc na śledzie i net na flądry. Śledzie i flądry poławia się aż do końca grudnia.

Łowią w niewielkiej odległości od brzegu, ich zasięg

praktycznie nie przekracza dwóch mil. Łowiska helskich rybaków łodziowych obejmują wyłącznie sam cypel Półwyspu Helskiego od Portu Wojennego do Góry Szwedów. Niewielkie odległości są przyczyną wyeliminowania żagli, a prawie jedynym „napędem” łodzi są wiosła. Tylko 3 zespoły od czasu do czasu strusują pomocniczo silniki przyczepne.

W trakcie analizy zgromadzonych tutaj elementarnych danych, nasuwają się następujące refleksje: — podstawową „kadre” zespołów łodziowych w Helu stanowią rybacy pochodzenia kaszubskiego. Jest to tym bardziej wymowne, jeśli się weźmie pod uwagę, że większość mieszkańców Helu — w odróżnieniu od pozostałych ośrodków osadniczych Półwyspu jest ludnością napływową z różnych regionów kraju. Potwierdza się więc ogólna teza o utrzymywaniu ciągłości i poszanowaniu tradycyjnych struktur rybactwa wśród ludności kaszubskiej;

— znajduje potwierdzenie pogląd, że głównym ośrodkiem skutecznym dla Helu była Jastarnia. Rysuje się tutaj — co wynika również i z innych materiałów, wyjątkowa rola Roberta Strucka i jego rodziny, nie tylko w odniesieniu do Helu, ale również do całego regionu;

— helskie łodzie rybackie są obiektami o typowo tradycyjnym charakterze. Ich wymiary, konstrukcja i sposoby użytkowania są ściśle związane z lokalnymi warunkami. Są one endemitami, które w sposób żywy ilustrują jedno z ogniw ewolucji rybołówstwa helskiego.

Istnieje wielka społeczna potrzeba otoczenia szczególną opieką działalności helskich rybaków łodziowych, niedopuszczenia do zupełnego ich zaniku, umożliwienia im pełnej kontynuacji tak specyficznej w warunkach helskich rybackiej gałęzi zawodowej.

Moje pierwsze dni wolności

Józef Ceynowa

Ciągle jeszcze jawią się przede mną obrazy moich pierwszych dni wolności, jakby żywe są, wczorajsze... Jakże z oswobodzonego przez armię radziecką ołagru śpieszyłem się do stron rodzinnych, pieszo, lasami, w których operowały jeszcze gdzieś tam grupy rozbitych oddziałów himmlerowskiej armii Wisła (Weichsel), maruderzy różni i bandy Wehrwulfu.

Do Polczyna przybyłem w końcu maja 1945 r. nad ranem, przebrnąwszy na przelaz lasy redzko-rekowskie. Mosty na Redzie były zgruchotane i kolej Reda — Puck nie funkcjonowała. Na skraju lasu ciecho-cińskiego zostałem, wraz z dwoma przygodnymi towarzyszami podróży, ostrzelany. Napadnięto na przemijającą tam powózkę dwukonną i nas, śpieszących woźnicy z pomocą. Przykuli nas gęstym ogniem pistoletów maszynowych do szosy, jednak ciemnica umożliwiła nam odskok do lasu. W drodze orientowała nas bliza — latarnia rozewska, wskazująca drogę ku północy, a mnie się zdawało, że sieje światłem coraz to zamasyściej, że coraz śpieszniej przywołuje nas do siebie, jakby tam jakaś ważna robota czekała.

Przed Celbowem opuściłem towarzyszy, kierując się na park, przecież byłem pewny, że ten już nie straszy hitlerowcami, że w nim już, Rodenacker 5-tej kolumny nie musztruje. Słyszałem tam rżenie koni, widzia-

łem stróżującego milicjanta. Puck jaśniał światłami lamp elektrycznych, podbudowując nadzieję na normalizację stosunków gospodarczo-politycznych.

— Tu jesz rabusznice jacziś są — szepnął mi ojciec, gdy po czułościach powitalnych i licznych, aczkolwiek lakonicznych, odpowiedziach na pytania dotyczące spraw osobistych i rodzinnych nieco odsapnąłem. A brat Jan, teraz milicjant wiejski, dodał:

— Mést jima nowi porządek się nie widzy, w różnóch mundurach się wałesają, po nocach, è papiórczi po sé ostówiają co o nowi wojnie plészczą...

Właśnie — to były główne troski owych miesięcy, czy lat nawet.

Milicjantów, sekretarzy PPR zabijali, nauczycieli, sołtysów maltretowali, rabowali sklepy spółdzielcze, błyszcząc orłami z koroną na czapkach i ryngrafami Marii na piersiach.

— Ti łatusë è pòła — rzekł sąsiad Drawe.

— Żebë më tego purtka, co dworszczi stodołę podpòlił dostele, to më bë go ze skóre obdzerle — pełen zaciętości i zdecydowania burknął robotnik folwarczny Franciszek Derc. — To tere nie je majątek Hanne-mana, te nasz, wspólny — dodał, jakby na usprawiedliwienie swego oburzenia.

— Półą ukręti Niemcē, ti z jich tajemny organiza-
cje sabotażowi... wyjaśnił tę smutną i niegodziwą
rzecz nowy znajomy.

Niewiele mówili mi przy powitaniu o przeszłości
tragicznej — Piaśnicy, która za pobliskim lasem dar-
lubskim leży i w której wiele naszych krewnych i
znajomych zginęło, o eindeucowaniu bolesnym, o ty-
fusie plamistym, który był następstwem głodu i po-
niewierki przyfrontowej, o brakach i niedomogach
gospodarczych — troska o dzień jutrzejszy, o pracę
normalną, normalizację życia gospodarczo-politycznego
wsi i kraju wysuwali na plan pierwszy, ta ich absor-
bowała prawie bez reszty.

— Nie to co bēło wōzny, le to co je, to co mō bec ē
tēz bēc moze — zawyrokował po dłuższych, jakby po-
litycznych wywodach naszej gromadki sąsiad Juliusz
Potrykus... Te i tam podobne słowa wówczas z nie-
jednych ust usłyszałem, to też wieś jakoś się szybko
uporala z najważniejszymi pookupacyjnymi i pobi-
tewnymi trudnościami. Jej nowy sołtys, Czarnecki
(przedwojenny Potrykus został zamordowany w Pia-
śnicy) stanął na wysokości zadania, zresztą niewiele
miał zachodu z organizowaniem samopomocy sąsiedz-
kiej — wszystkie pola zieleniły się plonami, potrzebu-
jący pomocy i opieki społecznej nie głodowali. Nowy
nauczyciel — bo i nauczyciela przedwojennego, Wi-
śniewskiego, pochłoneła katownia piaśnicka — zdążył
już nie tylko zorganizować szkołę, ale i kurs oświa-
ty dla dorosłych. Robotnicy folwarczni dobrze zadbali
o inwentarz żywy, maszyny i zabudowania majątku,
na czas obsiali pola, tak, że aż ich dawny pracodaw-
ca, który czas jakiś we wsi pozostał, gorliwości tej
się dziwił. Wszystko to radowało i wyzwalalo siły do
pracy.

Z garbu wysoczyzny dostrzegłem wyrwę w kraj-
obrazie przymorskim — las helski okaleczeniami stra-
żył, widniała tam biała plama, ponad którą kłębiły
się fale otwartego Bałtyku. Za nią leżała Kuźnica,
wieś mojej pierwszej pracy nauczycielskiej. Postano-
wiłem tam się udać. Jechałem rowerem, zszoną na
Puck. Przy pierwszej krzyżówce wyłonił się mi z pa-
mięci obraz uchodzącego z Pucka w dniu 9 lutego
1920 r. oddziału niemieckiej straży granicznej, który
w tym miejscu został poczęstowany papierosami i go-
rącym mlekiem przez właściciela majątku, tu też
dowódca oddziału ulżył sobie w nadętej do Polski
nienawiści palnięciem mowy szkalującej postano-
wienia Traktatu Wersalskiego i wrożącej Polsce
wszystko co najgorsze. — Po czterech tygodniach zo-
baczymy się znowu — zaryczał na zakończenie. Zesta-
wiłem tę buńczuczność z żalosną rejteradą 55 kor-
pusu armii Himmlera przed wojskami 134 korpusu 19
armii radzieckiej, które w dniu 12 marca 1945r. oswo-
bodziły Puck i okolice.

Na błoniach przymorskich się zatrzymałem, by
spojrzeć na morze. Błękitne było. Przypomniało mi
się wojsko generała Józefa Hallera, które w dniu
10 lutego 1920 r. tu dotarło, by asystować przy wie-
kopomnych zaślubinach z Bałtykiem, przeżywać za-
czętem na nowo owe podniosłe chwile; wydawało mi
się, że kręgi fal morskich jeszcze się rozchodzą od
rzuconego przez generała Hallera pierścienia, że
kierują się na zachód, łączą się z kręgami i zakolami
drugiego symbolicznego znaku bratającego kraj z
morzem, tego spod Kołobrzega, by ciągnąć za Dziwnę,
za Świnę... Z tej zadumy wyrwały mnie odgłosy prac
uruchomionych już w Pucku zakładów naprawczych
maszyn, niebawem przekształconych w Puckie Za-
kłady Mechaniczne. Biły młoty i grały obrabiarki.

— Mē tere naprōwiōmē kutrē, wnet mdzemē
mēstrowale nowi — powiedział mi z dumą w głosie
Franciszek Roda, mistrz tych zakładów.

— Magdsick bē pēki, zebē naszą robotę widzōi,
zwiernāi do Vaterlandu ē, podobno, grozy, że tu
wrōcy, ale to mu sē nie udō — dodał kolega Franka.

Pastwiska i łaki płutnickie tak nie radowały jak
owe warsztaty, bardzo mało było na polach bydła,
owiec, gęsi jeszcze mniej.

— Bieda z dobētkā, choc rżād pomōgō przez UNRA,
je lēcho, ale sē przebiedejemē, to sā dō, bēle bē nowi
wojne nie bēło ē w kraju bēi prżād — powiedział mi
napotkany gnieźdźdźwianin.

Kępa Swarzewska bardziej ucierpiała, leżała na
przedpolu walk o Hel, a te trwały od 13 marca do
dnia kapitulacji Rzeszy, a więc do 9 maja. Ludność
jej w tym czasie błąkała się po Kępie Puckiej, więc
teraz dopiero organizowała nowe życie, ale w Wiel-
kiej Wsi — Władysławowie grały uroczyste warsztaty
naprawcze, oddane potrzebom rybactwa.

— Mē wēcigōmē z morza potopionē kutrē
ē bōtē ē je remontējemē; jak sē pisznia w słoniszkū
— chwalił się przygodnie spotkany rzemieślnik.

Skierowałem się na półwysep. Droga stawała się
uciażliwa, nieprzejezdna, musiałem zejść z roweru
i iść pieszo. Wykroty, doły, rowy, bunkry, kłamoty
pobitewne. Okaleczony las coraz bardziej oskarżał
wojnę. Przede mną stanęła wreszcie owa z daleka wi-
doczna plama. To nie karczowisko, to trzebież o-
krutna. Przyziomki sosen grzęzły w sypkim piasku,
dawne poszycie leśne znikło, wiatr jak przed wie-
kami hulał tu swobodnie, ale teraz widocznie napra-
wić chciał błędy i zło wyrządzone naturze przez
ludzi, bo zasypywał głęboki wykop, mający oddzielić
północno-wschodnią część półwyspu od jego władysła-
wowskiej nasady. Stałem przy tym wykopie, sze-
roki był, głęboki, od Bałtyku do Zatoki sięgał, a jego
gardła zapchane były wysłużonymi lokomotywami.
Grzechoty te czerniły się głęboko w toniach jakby
jeszcze chciały bronić desperackich uciekinierów, ha-
mować drogę zwycięzcom. Za tym rowem oklapli z
animuszu wojennego hitlerowcy pragnęli wytrwać do
dnia zadziałania zapowiedzianej przez Hitlera broni
nadzwyczajnej, ale dotrwali tylko do dnia bezwarun-
kowej kapitulacji Rzeszy.

— Ich tu mia bēc 70 000 brunēch, czōrnēch, zelōn-
kawēch ē też cywila — poinformował mnie zdążający
do Chałup dobrze mi znany Budzisz, zwany Bródka.

Refleksja: półwysep znowu wyspą, jak przed wie-
kami? Znowu był poważnym punktem oporu? Ale
porównanie jego stanu ze stanem za czasów Wazów
zastrzeżenie budzi. Owe „fortalicje” — Kazimierzowo,
gdzieś za dzisiejszą Kuźnicą się znajdujące i Włady-
sławowo przy tym wykopie — przy naturalnych
przesmykach ciągu wysp się znajdowały, Pucka
i kraju broniły, a ta zapora desperatów hitlerowskich,
zbrodniczą ręką zrobiona została, podniesioną prze-
ciw Puckowi, przeciw Polsce całej.

W Chałupach pusto było, gruz, spaleniska; pod-
obnie wyglądała Kuźnica.

— Dze lēdze? — spytałem krzątającego się przy
sieciach Antoniego Budzisa.

— Eż, szkōlny, sā w Dēnach. Biese jich wēwiozle,
ale wrōcā, wrōcā, choc wszētcē nē... Piōscci dēnszi
niejednēgo z naszēch krējā... Wrōcā, wrōcēc muszā,
tu żdżē robota a hēne — pogōdka, glada; muszā fe-
szowac, krōj brekuje rēbē — odpowiedział i swoje
robił dalej.

Szklana tafla

„Jak cię widzą, tak cię piszą” — powiada leciwie już dość przysłówie, jak niemal każde, nie nazbyt inteligentnie. Bo jakaż to w istocie rzeczy relacja być może pomiędzy tym co widziane a tym co na podstawie widzianego zostaje później, nieraz po wsze czasy, ocenione, czy opisane? Czy taka, gdy źle widzą, to niby i źle na ten temat piszą? Gdy zaś widzą cię w kolorze tęczy i takim cię później światu objawia? A ów talent pisarski czy całkiem się w takich przypadkach nie liczy? A dobra wola autora bardziej czy mniej surowej krytyki, czy i jej nie należałoby wziąć pod uwagę? Co zaś o chęci poznania da się powiedzieć? Całkiem na pewno, nie zawsze przysłówia bywają mądrością narodów, często i o ich głupocie niejako wyrazić są w stanie. Tak sobie mnie mam przynajmniej gdy o owym „Jak cię widzą, tak cię piszą” dumam sobie. I dopiero poddając je systematycznej rewizji, mniemam, dojsz można, które z nich do panteonu myśli godnych miana narodowej przejść mogą. Póki co nad nieuczesane cenię sobie myśli strannie przewietrzane.

A wszystko to piszę w związku z dwoma książkami, które ostatnio upadły mi w ręce. W jednej znalazłem opowiadanie Marii Kuncewiczowej „Polska na fiszmarku”. Powstałe w 1923 roku. Przez jego autorkę po latach wydobyte z zapomnienia, odkurzone — zapewne na fali zainteresowania najnowszą twórczością tej pisarki — i do druku podane w wydaniu książkowym w tomie „Twarz mężczyzny i trzy nowele”, który wyszedł nakładem Czytelnika w 1969 roku. A więc długo po ukazaniu się — przed samą wojną — „Cudzoziemki”, w dwa lata po „Tristanie 46”. Zresztą kilka lat temu opublikowano je powtórnie, tym razem w antologii noweli morskiej „Głos morza”. To dzięki tej książce odkryłem dla siebie istnienie tej noweli, przedtem bowiem trudno było mnie zaliczyć do nazbyt skrupulatnych czytelników utworów autorki „Cudzoziemki”.

Treścią jego jest żywot kaszubskich rybaków z „oksywskich piasków”, inaczej: wybrane obrazy z ich życia. Sceny takie na przykład jak: zwyczajowe u kaszubskich rybaków ciskanie flądry w twarz swej żony na znak obfitego połowu, warczenie na sposób psi („warczał jak brytan”) u pragu w uznojeniu, wypływanie na łowy motorówką (sic!), synowskie wyzłaska pod adresem matki, złorzeczenia gdańskich Niemców per „die dummen Kaschubin”, posiłkowanie się w mowie co rusz językiem niby — polsko, niby — niemieckim w rodzaju „Ordnung w tej familie”, „było jachone weg” itp. Zapisano także w tym opowiadaniu obraz polskiego państwa, którzy „przyjechali senni, zakurzeni, z pięcioma walizkami, jednak przywitani się wiele razy uprzejmiej niż trzeba i przepraszali za wszystko z poetycznym uśmiechem”. Są więc ci państwo arcykulturalni, tylko nie wiedzieć czemu tubylcy tego nie widzą i tylko, jak Hedka z opowiadania, „wypatruje krowimi oczami szmaty a cacka przywiezione przez „badegastów”.

Goście z centrali to dla podgdyńskich kaszubskich rybaków z opowiadania Kuncewiczowej „Polloki” leżące na „sztrandzie” by „gołymi pięťmi rozdzuszać me duży”. Z kątów ich chatupy dał się słyszeć ten szept: „Zeby my to wczesni mieli wiedzone jakie som jest te ludzie — toby my więtszy prejs mieli za komorne forderowane”.

Chłopy kaszubskie znęcają się tu nad swoimi „bielkami”, urągając im przy każdej robocie, garnki z rąk leca struchlałym „bialkom” zaś czyta się tutaj, i to z rzadka, „Dantziger Neueste”. A już porą wojny światowej (tej pierwszej) „Baby doszły do głosu

i wrzeszczały wśród opłotków niby pawice bez samca”.

Takie Kaszuby widziała i takimi je zapisała 24-letnia Maria Kuncewiczowa. Pobyła z rodziną swą nad morzem coś ze tydzień, może i dwa i czasu było dość by o Kaszubach powziąć dokładne przekonanie jako o krainie paskudnej dosyć a i ludziach chyba z piekła rodem, w każdym bądź razie mocno niesympatycznych. I najwyraźniej wytrwała przez pół wieku prawie w swym osądzie, bowiem całkiem niedawno zwierzyła się zeń w wywiadzie udzielonym „Kierunkom”. Zresztą samą tylko decyzją o wydobyciu z zapomnienia tej noweli zaświadczyła pisarka, iż w swych poglądach na sprawę wytrwała, więcej — zgodne są z jej obecnym w materii przedmiotu myśleniem. A zatem w autorskiej decyzji przywrócenia tej noweli wspólnej świadomości nie mogło być zawarte ryzyko nadzarcpięcia swego przecie sporego pisarskiego autorytetu.

I przykład drugi. Książka-wspomnienie Magdaleny Samozwaniec „Maria i Magdalena”. Dopiero co ukazało się siódme jej, bagatela, wydanie. I to od razu w 40-tysięcznym nakładzie. Rozdział końcowy tej książki nosi tytuł „Jurata”. Podobnie jak i reszta pełen jest swoistej Kossaków familijnej minoderii, jak i inne rozdziały podobnie clikły i po babsku niedorzeczny. Tylko bowiem z tego jednego rozdziału wynika, iż to za przykładem Wojciecha Kossaka, bo kogóżby innego, poszli panowie z rządu, warszawscy przemysłowcy i paru bogatych ziemian i zaczęło Juratę budować. Zresztą Jurata w rodzinie Kossaków zyska sobie miano, ni mniej ni więcej „Dziuraty”. Do autorstwa określenia zaś tego przyzna się autorka tych wspomnień. A w ogóle, jak wynika z książki, to Jurata to był wówczas high-life, bon-ton, savoir-vivre, choć głównie dzięki temu, że odwiedzana była przez arcyprześwieczone familie jak, w pierwszym rzędzie Kossakowie, jak min. Kasprzycki, min. Switalski, państwo Rajchmanowie, Loda i Zizi Halamy, Smosarska, Mankiewiczówna. Dzięki „warszawce” mówiąc krótko i dzięki przybyzysom z Krakowa, słowem dzięki „lepszemu państwu”. Pobliska Jastarnia. Ta nadawała się jedynie do urzędzenia wyborów „miss Cyfel”. Nieprzenikliwy z zewnątrz był to świat. Świat osobny, takie piekielko wyrosło z izolacji starannej od otoczenia, bo kto wie, zwarzyć by jeszcze mogło tę całą sielankę.

Dwa widzenia i opisanie dwa. W czymś przecie sobie podobne choć i odmienne także. W tym pierwszym jakby więcej zjadliwości i pozornej prawdy, w drugim zaś prawdy wcale już nie ma, jest jedynie odrealnione wspomnienie. To zaś co oba je łączy (poza faktem, iż oba wyszły spod piór niewieścich), to widzenie miejsc nam dobrze znanych i bliskich jakby zza szklanej tafli. Szczegółów w obrazach tych nawet nie brakuje, tyle, że nie są one takimi jakimi wiemy, że są naprawdę.

„W tydzień później wybuchła wojna” — kończy Magdalena Samozwaniec swoje na temat Juraty pisanie. Ano, wybuchła i wiemy dobrze co było później. Jedne światy odeszły w zapomnienie, całkiem zaś inne nastąpiły. Żal więc trochę utraconej szansy na przekaz prawdziwy, nie ucukrowany o tamtej epoce i ziemi nazbyt często zostawianej samej sobie, bo nie w pełni rozumianej przez warszawsko-krakowską high-socję ty tamtego czasu.

Co zaś przysłówia się tyczy... Jakimi utwory te zobaczyłem, tak i o nich napisałem. Więc chyba obroniło się jeszcze tym razem to liczące grubo ponad sto lat przysłówie.

Ryszard Ciemiński

Pamiętnik ⁽¹⁹⁾

Urszula Olszewska

2 maja 38

Dziś pisałyśmy wypracowanie z polskiego. Myślę, że źle nie napisałam. Siedzę w ostatniej ławce, obok mnie (trochę dalej niż obok) Miecia, z drugiej strony piec. Delegat jest stary i łysy. Nie zdążyłam wywnioskować, czy będzie „możliwy”. Jedyne jego plus to to, że podobno tyle wie z matmy co ja (tzn. nie ma specjalnego pojęcia).

Wzięłam kropli walerianowych na uspokojenie, co mi znakomicie pomogło. Wylałam sobie tych kropli na rękę i przez dwie pierwsze godziny... istna apteka.

Okolo jedenastej był powód do śmiechu. Przyniesli nam bułki i herbatę. Widok był komiczny do nie-możliwości, kiedy się patrzyło na panny przy osob-nych stolikach, popijające herbatę. A potem, gdy i „jemu” przyniesiono herbatę, to już nie mogłam wy-trzymać. Śmiałam się wypychając chustkę do ust, i ba-łam się, aby tego nie spostrzegł.

„Zaiste”, i matura ma swój humor.

6 maja

Dziś skończyłyśmy łacinę i zarazem maturę pisem-ną. Do ustnej będę dopuszczona, ale czy ją zdam? Jutro nie idziemy do szkoły, a już i dzisiaj nie wiem, co będę robiła. Tyle wolnego czasu... Od poniedziałku zacznie się straszliwe kucie (czyt. lekcje z fizyki i ma-temy).

Ciągle myślę o tym, co będę robiła po maturze. (Mam na razie na myśli tylko same wakacje).

Jest rzecz ciekawą, czy Leon będzie ze mną mówił o małżeństwie i czy mi się „formalnie” oświadczy? Jestem pewna, że nie powiedziałabym „tak”, lecz da-łabym odpowiedź wymijającą.

Doskonale sobie mogę wyobrazić Leona jako tzw. przyjaciela domu (nie tyle pana, ile pani domu), nie tylko w stosunku do mnie, ale tak ogólnie. Ciekawa jestem także, czy się wybije? Tzn. czy będzie tym, do czego dąży, czyli (charge d') attaché wojsko-wym?) Jeśli wziąć pod uwagę jego dotychczasową karierę życiową i ta rzecz jest możliwa.

Wtedy może i ja bym się nie wahała, a zresztą nie wchodziłoby w grę opór rodziców.

Takie to, oparte na wyrachowaniu, jest życie...

10 maja 38

Pisze mi dziś Witold, że zdał maturę. Szczęśliwy chłopak. Jest rzeczą możliwą, że wstąpi do wojska.

Dla mnie istnieje możliwość zapisania się na WSH.²⁾ Jeśli tam nie wymagają zbytnio matematyki, to pro-szę bardzo.

11 maja

Nie bardzo świetnie się przedstawia nasza matura po sesji. Zastosowano krzyczącą niesprawiedliwość nie tylko w stosunku do mnie, ale i w stosunku do in-nych dziewczynek. Miecia, jedna z najlepszych z łaci-ny, zdaje z tego przedmiotu. Władka, „bardzo do-bra” z polskiego, też zdaje z tego. Natomiast Helga, słaba uczennica, mająca przez kilka lat niedostatecz-ny z łaciny, została z tego przedmiotu zwolniona.

Dwóch dziewczynek już nie zobaczymy. To Działia Maciejewska i Jadzia Chylińska, które nie zostały do-puszczane.

Teraz moja sprawa. Zwolniono mnie z historii i łaci-ny. Zdaje więc z czterech (!) przedmiotów: polskie-go, francuskiego, matmy i fizyki. Dwa pierwsze przedmioty — to fraszka, ale dwa ostatnie?

Nic dziwnego, że po dzisiejszych wiadomościach mi-na nam mocno rzędnia i samopoczucie osłabło. Jestem bardzo rozdrażniona, a tu mi ciągle w uszy kładą, że „nie mam się przejmować, jak... nie zdam”.

Wracałyśmy do domu wzdychając i raz po raz po-wtarzając: „Gdzie tu sprawiedliwość?”

Zdaje 17-go, we wtorek.

15 maja 38 r.

Już pierwsi, dumni maturzyści spacerują po uli-cach w naturalnych czapkach.

Chciałabym jak najprędzej zdać, aby także móc tak chodzić. (Muszę być jeszcze w gruncie rzeczy bardzo dziecinna, jeśli tak coś mną powoduje).

Jest dziś wyjątkowy dzień. Tak cudownie, tak wszystko pachnie, że aż boli. W powietrzu unosi się leciutka woń kwitnących jabłoni i świeżych liści. Zdaje maturę i czuć naokoło siebie taką wiosnę — to chyba da mi zupełne szczęście.

16 maja 38 r.

Dzisiaj zdała pierwsza grupa: Helga, Wisia i Ula B. Uszczęśliwione naturalnie bardzo. Po południu idę przysłuchiwać się, jak zdawać będzie Władka, Lala i Janka.

Jestem pełna najlepszej nadziei. Tylko — co ja bę-dę potem robiła? Taka masa czasu, a wyjechać nie mogę wcześniej, bo urządzili nam rekolekcje od 9-go czerwca!

Po maturze jadę do lekarza. Ciekawa jestem, jaką postawi diagnozę. Obawiam się, że mi wiele rzeczy zabronią. „Albowiem” kłuże mnie w plecach trochę więcej niż przedtem.

17 maja 1978 r.

Pamiętny dzień.
Zdałam maturę.

7 czerwca 38 r.

„Jestem — nie wiem kim,
Przychodzę — nie wiem skąd,
Idę — nie wiem dokąd,
I dziwię się, że mi tak wesoło.”

Z „Kobiety, jakich wiele” Ernsta Lothara.

23 czerwca 1938 r.

Owszem, owszem. Zupełnie przyjemnie być po ma-turze. Beznadziejne lenistwo i bezgraniczna swoboda. (Co do dysponowania czasem.). Można iść, kiedy się chce, do kina, na ulicy „bez krępacji” porozmawiać z „mężczyzną” itd.

Mam ogromną chęć na WSH. Jest rzeczą prawdo-podobną, że tam pójdę. Mam szczerzy zamiar się so-lidnie uczyć! Wtedy mogłabym mieć wspaniałe wyni-ki. Przecież w szkole się specjalnie nie wysilałam, a mam świadectwo maturalne jedno z lepszych. Poza tym — piękne musi być życie studenckie. Pociąga mnie bardzo. No — i „wielkie miasto”.

8 lipca 38 r.

Ciepły, dziwnie niespokojny czy raczej niepokojący lipcowy wieczór. Odurzająco pachną jaśminy i lipy. Za tydzień jadę do Poznania. A potem, potem do To-runia!

14 lipca 38 r.

No, więc jutro jadę. Pierwszy raz tak „daleko” sama.

Napisałam do Mostowicza i otrzymałam już dwa listy. Co prawda krótkie i szablonowe, mimo to pytam „czy coś z tego będzie? Czy tylko zwykła korespondencja?”

Czytałam prospekty z WSH poznańskiego. Jest ogromnie dużo pracy i egzaminów. Jeszcze dziś mam szczere postanowienie wyteżonej pracy, ale czy na długo? Dużo, dużo czaru musi mieć studenckie życie...

Poznań, 18 lipca 1938 r.

Hm, więc w tym mieście mam studiować? Zgubić się w nim można! Przyjechała tu jakaś „ciocia” Hela i zaznaczyła, że będę miała powodzenie, że jestem ładna i tym podobne bzdury. Kuchty kamienicy, w której mieszkam, jednogłośnie uznały to samo. Nie wiem jeszcze tylko, co myślą ich chlebodawczynie i nasi sąsiedzi?

Zabawne! Tym bardziej, że czasem jestem wręcz brzydka, nie mówiąc już o niezmiennym profilu. A może... może mam sex appeal³⁾?

Śmieję się!

Poznań, 20 lipca 1938 r.

Jest rzeczą dziwną i naprawdę dla mnie niezrozumiałą, czego ci ludzie się tak patrzą? Idziemy sobie z Witoldem spokojnie po Placu Wolności pod rękę, a tu spojrzenia, oglądanie się itp. Przecież tyle tu ludzi, więc dlaczego sobie nas upatrzyl?

Jest rzeczą zabawną, że nie maluję się — najwyżej przypudrowuję lekko nos.

Na WSH cieszę się bardzo i w ogóle na całe poznańsko-studenckie życie. Przysnąję ze wstydem, że w tym uczuciu jest domieszka pewności siebie, że i tam będę zwracała pewną uwagę.

Cieszę się wprost niesamowicie na Toruń. Cudny mój ogród, ulica, przystanek tramwajowy, droga do miasta, samo miasto wreszcie. Postanawiam sobie, że jadąc z P. na wakacje do domu, to zawsze tam wstąpię. Nigdy nie byłam tam w zimie. Musi być ślicznie...

Toruń, 8 sierpnia 1938 r.

Zawsze myślałam, że dużo wiem o tzw. miłości. Tymczasem nic nie wiedziałam. Sądziłam, że na czułym rendez-vous⁴⁾ całują się tylko. I tu się myliłam. Nigdy nie myślałam, że tyle, tyle jest kobiet upadłych...

Nie wiedziałam, że tak łatwo jest upaść. (Zaznaczam, że cnotę mą zawsze jeszcze noszę wysoko! Jestem niczyja!).

Teraz dopiero wiem, że kobietą być, to znaczy cierpieć. Bo: „kiedy kobieta kocha — cierpi, gdy nie kocha — poszukuje miłości i znowu cierpi, gdy się oddaje mężczyźnie — cierpi, kiedy rodzi — cierpi.” (W słońcu — Józefa Maciejowskiego).

Boże, ile cierpienia. Ile koniecznego cierpienia.

Nie myślałam, że Leon tyle mi sprawi niepokoju, cierpień nieomal. Dziś rozstałam się z nim, przy czym rozstanie nasze było nad wyraz obojętne, z jego strony ironiczne.

Chciał mnie mieć. Cóż prostszego, prawda?

Zaciszne miejsce, on i ona. To nic, że niewygodnie, niepięknie, że słońce sypie żarem z nieba.

To nic, że mężczyzna, nasyciwszy głód zmysłów odchodzi i zostawia kobietę samą, a czasem... z dzieckiem, żeby się nie nudziło.

To nic, że ona będzie za to pogardzona, a on nazwany zostanie „rasowym mężczyzną”...

Nie umiem powiedzieć, czy go kochałam. To jedno wiem, że pobudzał zmysły. Czuję, że serce mi bije mocno i nierówno. To chyba nie od tego? Pewnie za dużo pływałam...

dnia 9 sierpnia 38 r.

Cóż z tego, że jestem ładna, że ludzie patrzą na mnie na ulicy, w tramwaju, w pływalni, coś z tego, że nawet Babcia zauważyła, że jestem co dzień ładniejsza?! Cóż mi z tego, jeśli Lenek odszedł? Przecież nie można tak odejść! Przecież to, że się odmawia pewnego cielesnego zbliżenia nie może wywołać niechęci i gwałtownej obojętności!

Wiem już teraz, że u różnych mężczyzn sztandar cnoty nie jest godnym szacunku, jak się ogólnie twierdzi, lecz jest czymś absurdalnym. „Tam coś nie jest w porządku” — myśli sobie taki pan.

dnia 11 sierpnia 1938 r.

No, już wszystko w porządku. Napisał list, przyznał, że postąpił źle, a wreszcie dziś sam przyszedł. Okazuje się, że jesteśmy nierozłączeni!

Otrzymałam dziwny list od B.⁵⁾ Jedyne zdanie z sensem, to wiadomość, że został wicestarostą.

Nie mogę sobie uprzytomnić, jakiego rodzaju jest moja znajomość z Leonem. „Coś” po prostu nas trzyma! Kłócimy się za każdym razem, a jednak nie możemy się rozstać „na zawsze”. Najlepszy dowód miałam teraz. Wiem, że mnie „zdradza” na każdym kroku, mimo to nie „wykreślam go z serca”.

Urszulko? Pan B. jest już wicestarostą. Może poczekamy na następny awans i ogłosimy zaręczyny?

Materialistka! Ale nie, podobno mam wyjść za mąż z miłości...

dnia 16 sierpnia 1938 r.

Dziś pożegnał się ze mną Leon. Jedzie do Łodzi, do pułku, na 1 miesiąc na razie. Wszystko jest między nami w najlepszym porządku. Leon będzie w Gdyni we wrześniu i matka mi obiecała, że pójdę z nim na dancing. Cieszę się bardzo. Oczywiście — zrobimy kilka romantycznych spacerów.

Przychodzi mi właśnie na myśl, że pan B. kochając mnie (a w to nie wątpię), otrzymawszy odpowiedź odmowną musiał bardzo cierpieć. Wszak ja, po chwilowej utracie Leona, którego nie kochałam, byłam niespokojna.

18 sierpnia 1938 r.

Bożena zdecydowała się pójść na WSH. Będziemy więc razem. Sądzę, że się bardzo zbliżymy, może zaprzyjaźnimy nawet.

Na studenckie życie naprawdę się cieszę. I uczę się, uczyć będę! Muszę mieć wyniki egzaminów co najmniej dobre. Jeszcze takiego zapału do pracy nie miałam. Oby tylko nie przeszedł!

Toruń, 23 sierpnia 1938 r.

Jestem pewna, że po przyjeździe do domu będę się gniewała na siebie, że tak mało pisałam o samym Toruniu i o ogrodzie. Jestem tu jednak do tego stopnia zajęta (a i „sprawa” Leona dużo mi czasu zajęła), że nie mam kiedy pisać. A tymczasem w ostatnich dniach tyle się ciekawych rzeczy zdarzyło.

Byłam po raz pierwszy w życiu na five⁶⁾. Pomimo lokalu, zapelnionego do ostatnich granic, pomimo maleńkiego miejsca do tańczenia podołało mi się.

A teraz — nowy rozdział. Często prosił mnie do tańca jakiś obcy, szalenie przystojny i elegancki pan. Okazało się, że znamy się z widzenia z pływalni. Prosił, aby się z nim spotkać. Teraz sama nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. Tłumaczę się sama przed sobą, że dlatego, iż jest to dla mnie nowość (bo oczywiście byłam przekonana, że spotkanie to będzie na innym poziomie niż nasze uczniowskie). No i tak było. (Opisuję to tak dokładnie, bo była to pierwsza tego rodzaju eskapada). Sama siebie nie poznawałam.

Przypominam sobie, jak to opisywałam wrażenia mego pierwszego pocałunku. Teraz to nie miało by celu. Wrażenia się już za bardzo mieszają.

Podziwiam Leona, że mając tyle wrażeń — w to nie wątpię — miał chęć pisać do mnie. Ja np. nie mam

ich w połowie tyle, co on, a już mi się nie chce nigdzie pisać, a i sam L. „zbladł”.

A więc, spotkaliśmy się przy przystanku, a ponieważ padał deszcz, poszliśmy od razu do kawiarni, zamiast na przedtem projektowany spacer. Obserwowałam się bacznie i stwierdziłam, że zachowuję się dosyć swobodnie (naturalnie w znaczeniu dodatnim). Potem byliśmy w kinie, następnie odprowadził mnie do tramwaju i pojechałam.

Jak już zaznaczyłam, jest bardzo przystojny. Mnie sprawia prawdziwą rozkosz patrzeć na tak pięknego mężczyznę. (Czy to jest powodem, że się z nim dziś znów umówiłam? Najpewniej tak, bo nie jestem na pewno „zarżnięta”).

Oto kilka danych o tym pierwszym „światowym”: jest prawdopodobnie kelnerem w kawiarni, nie jest rzeczą wykluczoną, że jest Żydem... Czy wystarczy na razie? Sądzę, że tak.

Toruń, 24 sierpnia 38 r.

Oczywiście, żartował sobie ze mnie w najlepsze przedstawiając się jako kelner. Jest kuzynem właściciela „Pomorzanki”. Jak mówiła pani Andrzejewska, rodzina bywająca w najlepszym towarzystwie, mimo zawodu niezbyt eleganckiego. „Misiątko” zjawiało się kilka razy w lokalu.

W ciemnym ubraniu wyglądał tak elegancko i taki był rasowy, że odczułam coś w rodzaju miłego zadowolenia, czy nawet satysfakcji, że się mną zainteresował.

Tego samego dnia wieczorem

Jesteś, Urszulko, naprawdę bardzo naiwna! Myślałaś, że twój „pan” na pożegnanie pocałuje grzecznie w rękę, powie, że mu było niezmiernie miło, że nie zapomni tak prędko itd.

Czy nie byłaś na to przygotowana, że wzamian za dwukrotnie przez niego dla ciebie wyłożony seans filmowy będzie żądał od ciebie zapłaty w postaci pocałunków, że wśród ulewnego deszczu będzie cię chciał całować, że zamaże ci pół twarzy śliną! Że będzie jęczał mocno żydowskim akcentem słowa Kochanowskiego „Urszulo moja”?! O tym nie myślałaś!

A tak się wszystko niewinnie zaczęło, prawda? — Swinia!

Toruń, 25 sierpnia 38 r.

Mamy już cztery dni deszczu — bez przestanku! Poznałam ogród i Toruń w nowej szacie. Zdaje mi się, że tu jeszcze tak późno nie byłam. Babcia zdejmuję z drzew ostatni owoc. Przed domem widziałam już kilka jesiennych, żółtych liści orzecha. Leciutko pachnie jesienią.

Już jutro wybieram się do Koronowa. Stwierdzam — co mi się rzadko zdarza — że miałam ładne wakacje, obfitujące nieraz, chociaż nie zawsze w miłe, lecz często emocjonujące momenty.

Boję się, żeby coś nie stanęło na przeszkodzie moim studiom. Za bardzo się na nie cieszę.

Toruń, 26 sierpnia 38 r.

Szkoda mi Torunia. Ale cóż...

Gdybym miała dużo pieniędzy, kupiłabym fabrykę, ogród i przyjeżdżałabym tu zawsze na wakacje. To byłoby cudowne!

Przedemną leży moja pochewka od okularów. „On” ją trzymał w kinie w ręku i pachnie „jego” perfumami. Nawet miło.

Oj! Mężczyźni!...

Koronowo, 28 sierpnia 38 r.

Okazuje się, że nudzę się tu niepospolicie. I, znów opadła mnie chandra, tęsknota, żal za Toruniem. Już nawet nie czuję tak wielkiej urazy do Michała, a to tylko dlatego, że mieszka w Toruniu. Zauważam właś-

nie, że mam wyjątkowe szczęście do pięknych imion: Franciszek, Leon, Michał. Obawiam się, że mój dla kompletu nazywać się będzie Kalasanty.

W dzień przed wyjazdem byliśmy z ciocią, p. Leonią i Mamusią w „Pomorzance”. Naumyślnie nie patrzyłam w stronę Michała, lecz tylko „informowano” mnie, że ma bardzo nieszczęśliwą minę. „Mężczyznę należy ukarać”.

Alfons, mój miły kuzyn, zdążył się oblać przy egzaminie i zostać na WSH na drugi rok. Strasznie maluje nawał pracy na uczelni. Aż człowiekowi włosy dęba stają z przestachu. Muszę jednak zdążyć!

Żeby tylko rodzice zgodzili się na moje plany co do mieszkania.

Koronowo, 30 sierpnia 38 r.

A że człowiek w ogóle, a kobieta w szczególności jest istotą nieobliczalną, więc chyba niech dziwnego, że napisałam do Michała?

Nudy, nudy! Swoją drogą, jestem z siebie niezadowolona, ale jestem tak wygodna... A w tej chwili miałam chęć napisać, bo się nudziłam.

Koronowo, 1 września 38 r.

Nudy panują tu wprost fantastyczne. Dziś wyjątkowo była rozrywka w postaci listu. Chłopiec jest Ukraińcem, jego nazwisko brzmi lokalnie — Zabaryło.

O WSH dowiaduję się horrendalnych rzeczy. Przede wszystkim — nawał pracy. Mój miły kuzynek już zdążył stracić rok. Pocieszam się tym, że nie będę sama i (o „prosiaku”) dam sobie radę lepiej od niektórych, bo ostatecznie jestem dość zdolna i wystarczająco inteligentna.

Wejherowo, 25 września 38 r.

Już w czwartek rozpoczyna się „podróż w nieznane”. Dotąd byłam bardzo pewna siebie, ale teraz powoli opuszcza mnie odwaga. Czy dam sobie radę z nawałem pracy? Z 12-oma egzaminami rocznie, z pokojem bez utrzymania i z wszystkim w ogóle? Do tego dochodzą jeszcze poważne... kłopoty finansowe.

Już nie tak różowo mi się Poznań przedstawia, jak przedtem.

Ciekawa jestem niezmiernie, jak wyglądać będzie mój pokój? Jak ognia boję się pluskiew! A kto może wiedzieć?

Dużo także będę miała kłopotu z wpisem. Chodzenie do sekretariatu, do badania, może jeszcze do Legii Akademickiej i znów do sekretariatu napawa mnie już dziś niechęcią. Nie znoszę takiej lataniny. Jedyne jeszcze szczęście, że to „wielkie miasto”. Gdyby tak uniwersytet mieścił się w Koronowie, to oszaleć by można!

Nad wszystkimi uczuciami dominuje jedno — ciekawość.

Wejherowo, 27 września 38 r.

Boję się, jak „słaba kobieta”. Poza tym, pomimo że mam dwieście złotych, nie starczy mi na początek, choć bym się na głowę postawiła.

Ale — nie dam się! Będę korepetytorką, lektorką, hafciarką wreszcie, lecz dam sobie radę!

(Cdn.)

- 1) Chargé d'affaires (franc.) — pełniący obowiązki, zastępca np. posła; autorka pomyliła z attache wojskowym, również członkiem personelu dyplomatycznego.
- 2) Mowa o Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu.
- 3) Sex appeal (ang.) — wabik zmysłowy.
- 4) Rendez-vous (franc.) — spotkanie, „randka”.
- 5) W oryginale autorka podała nazwisko.
- 6) Five o'clock (ang.) — piąta godzina, określenie podwieczorku „tańczącego”.

Przed układem kępińskim

Legat papieski który dobrze poznał się na Krzyżakach

Jan Powierski

OPIZO Z MEZZANO, POLACY I RUSINI

Wczesnym latem 1253 r. wjeżdżał do Polski legat papieski Opizo z Mezzano. Ten Włoch nie jest osobą nam nieznaną. Już zimą 1246/7 r. był on w krajach nadwiślańskich, gdzie wówczas miał rozstrząsać spór między Krzyżakami, księciem kujawskim Kazimierzem Konradowicem, książętami wielkopolskimi i biskupem wrocławskim Michałem a Świętopełkiem i powstańcami pruskimi. Pamiętamy, że wtedy wydał wyrok, niekorzystny dla Zakonu Krzyżackiego i zapewne nawet rzucił klątwę na rycerzy zakonnych. Teraz sytuacja była inna. Kazimierz kujawsko-łęczycki, wówczas sojusznik Krzyżaków, był obecnie teraz ich rywalem. Wysyłając Opizona papież Innocenty IV zezwolił, bez względu na poprzednie przywileje dane Zakonowi, by Kazimierz i Bolesław Wstydlawy poddali swej władzy te ziemie bałtyjskie, które za sprawą tych książąt przyjmą dobrowolnie chrzest. Sam Opizo otrzymał zadanie zbadać, co można zrobić dla poparcia zamierzeń obu książąt w zakresie spraw kościelnych. Otrzymał więc pełnomocnictwa do powołania w razie potrzeby nowych biskupstw. Wiozł też ze sobą nowy legat papieski wezwania do krucjaty, skierowanej przeciw Mongołom (zwanych wówczas Tatarami), zaadresowane do wszystkich chrześcijan w Europie Środkowo-Wschodniej i na Rusi. Wezwania te po części spełniały nadzieje, jakie w zgodzie na unię kościelną (na uznanie zwierzchnictwa papieskiego nad Kościołem Rusi) mieli najpotężniejsi książęta zachodnioruscy: Daniel Romanowicz halicki i jego młodszy brat Wasylko wołyński (włodzimierski). Opizo wiozł też ze sobą koronę, którą z polecenia Innocentego IV miał nałożyć na głowę Daniela halickiego. Byłby to swoisty rewanż za wcześniejszą koronację królewską przeciwnika Romanowiczów, Mendoga litewskiego, który od szeregu lat był sojusznikiem Krzyżaków.

Gdy Opizo z Mezzano przybył do Krakowa, tu albo oczekiwano powrotu księcia krakowskiego i sandomierskiego Bolesława, albo książę ten niedawno powrócił do domu. Bolesław, nazwany Wstydlawy, bo podobno nie dzielił łóża ze swą młodą żoną Kunegundą (Kingą), córką króla węgierskiego Beli IV, ponoć bardzo ulegał jej wpływowi. Sojusz jednak z Belą IV nie zależał tylko od Kingi. Do niedawna, jak już wiemy, pomoc węgierska była mu potrzebna, gdy musiał bronić swego tronu przed Konradem Mazowieckim, popieranym przez Litwinów i Rusinów. Wspólnota interesów Małopolski i Węgier wynikała też z obawy przed nowym najazdem tatarskim. Wszak Mongołowie przed paroma laty najechali obydwa kraje. Teraz istniało też porozumienie węgiersko-rusko-małopolskie. Córka Beli IV, a więc zarazem siostra Kingi, Konstancja, została wydana za Lwa, syna Daniela. Niedawno zaś król węgierski zapośredniczył nowe małżeństwo: drugi syn Daniela Roman został ożeniony z Gertrudą babenberską, jedną z dwu dziedziczek Austrii i Styrii, krajów, o które toczyła się wojna między Węgrami a Czechami, dwoma najpotężniejszymi państwami tej części Europy. Gdy więc Bela IV uderzył na Styrię, Austrię i Morawy, Bolesław Wstydlawy, Daniel halicki i Władysław opolski uderzyli ze swymi wojskami na północne Morawy i

właśnie pod koniec lipca wracali z licznymi jeńcami czeskimi i łupami do Polski.

Opizo zwrócił się więc do Daniela z propozycją koronacji. Romanowicz odpowiedział jednak, że nie chce przyjąć korony na obcej ziemi, mimo, iż Bolesław namawiał go wraz z legatem do tego kroku. Chodziło o sprawę prestiżową, aby koronacja nie oznaczała jakiejś zależności politycznej od Zachodu. Chodziło jednak także o coś więcej, o czym przekonamy się dalej. Zanim zresztą Daniel powrócił do swego księstwa, uzgodnił zapewne ze Wstydlawym i może przez wysłańców ze swym zięciem, Siemowitem mazowieckim, bratem Kazimierza kujawsko-łęczyckiego, wspólną wyprawę na Jaćwię. W tym roku przez wiele miesięcy padały obfite deszcze, ale właśnie w lipcu pokazało się na dłużej słońce i wszystko wskazywało, że niedługo ziemia obeschnie i jeśli tak się stanie, jeszcze późnym latem lub wczesną jesienią można będzie wyruszyć na niespodziewających się teraz najazdu zdradzieckich Jaćwiegów, którzy do niedawna byli sojusznikami Romanowiczów ale dali się przekupić Mendogowi i zmusili do opuszczenia swego kraju sprzymierzonych z Danielem przywódców antymendogowej opozycji na Litwie, bratanków Mendoga, Tautvilasa (Tawtywila, jak nazywano go na Rusi) i Edydydasę. Książęta polscy mieli też swoje porachunki z Mendogiem. Wstydlawy pamiętał najazdy litewskie na Małopolskę, obaj zaś Konradowice niechętnie patrzyli na sojusz byłego sprzymierzeńca z Krzyżakami. Przeciw Mendogowi występował zresztą także znaczny kunigas żmudzki Vyktinas, ojciec lub stryj szwagra Konradowiczów, Trenioty (Trojnata), a więc zapewne i sam Treniota.

W ślad za wracającym na Ruś Danielem halickim wyruszył Opizo z Mezzano z ofiarowaną przez papieża koroną. W ulubionym przez starszego Romanowicza Chelmie (dzisiejszy Chelm niedaleko Lublina) ponowił propozycję. Daniel wyraził wówczas swoje najpoważniejsze obiekcje. Nie chciał przyjąć korony, bo ta mogłaby rozniewać Tatarów. Korona królewska byłaby symbolem niezależności od wielkiego chana z Karakorum i od chana ulusu Dżociego (Złotej Ordy). Obawy księcia halickiego nie były bez podstawy. Romanowicze odmawiali uiszczenia daniny Mongołom, próbowali też eliminować ich wpływy w innych dzielnicach ruskich. Niedawno jeszcze Daniel miał na wschodzie Rusi sojusznika i to dość potężnego, w osobie wielkiego księcia włodzimierskiego Andrzeja. Obydwaj mogli sądzić, że walka o tron wielkochański po śmierci Güyüka osłabi siły Mongołów i możliwe będzie uwolnienie się od ich zwierzchnictwa. Na Rusi opiewano już Daniela jako przyszłego oswobodziciela.

Daniel i Andrzej mieli jednak na Rusi niebezpiecznego rywala. Był nim również sławny brat Andrzeja, Aleksander Jarosławowicz, który przed kilkunastu laty jako niemal gołowąs pokonał nad rzeką Newą Szwedów i uzyskał wówczas przydomek Newskiego, potem zaś wiosną 1242 r. na topniejących lodach jeziora Czudskiego (Pejpus) pokonał Niemców inflanckich. Poza dziedzicznym udziałem był księciem bogatego Nowogrodu Wielkiego, miał poparcie większości braci, a z rozkazu wdowy po Güyüku, Ogul Kajmysz, otrzymał też tron kijowski wraz ze

zwierzchnictwem nad całą Rusią. Gdy Aleksander pod naporem swych rywali nie zdołał utrzymać się w Kijowie, uzyskawszy poparcie całego niemal duchowieństwa prawosławnego z metropolitą Kirylem — niegdyś współpracownikiem Daniela, a teraz, nie bez wpływu Greków z Cesarstwa Nicejskiego, zdecydowanym przeciwnikiem papieża — zdecydował się na kontrakcję. Udał się po pomoc do Ordy. Tu sytuacja mu w pełni sprzyjała, bowiem w wyniku energicznej akcji chana Złotej Ordy, Batu, uznany został za wielkiego chana Möngke, co oznaczało przywrócenie na pewien czas faktycznej jedności imperium mongolskiego. Dzięki pośrednictwu syna Batu, Sartaka, z którym Aleksander Newski był w przyjaźni, utwierdzonej przez obrzędowe braterstwo, książę uzyskał pomoc mongolską. W 1252 r. Mongołowie pod wodzem Newrujem rozbili siły Andrzeja Jarosławowicza, który ratował się ucieczką przez Inflanty do Szwecji. Aleksander Newski triumfował, gdyż jego zwierzchnictwo zostało uznane przez większość książąt ruskich, chociaż był to triumf częściowy, wzrosła bowiem kontrola mongolska, a zarazem zgodzie z polityką Möngkego w całym imperium, również na Rusi, zarządzano spis ludności, mający na celu pełniejsze egzekwowanie daniny „od męża”. Jednocześnie w kierunku granic Rusi Halicko-Wołyńskiej przesunięta została orda wodza Kuremsy (Korency) dla zastraszenia Romanowiczów.

Opizo niewątpliwie w Chelmie ogłosił krucjatę przeciw Tatarom, poinformował też księcia Daniela o analogicznych krokach w Polsce. Magło to chociaż po części przekonać władzę halickiego, dla którego jednak szczerą intencją kurii winna wyrazić się też w poparciu Opizona dla bałtyjskich zamierzeń Romanowiczów, a więc dla ich udziału w ekspansji na Jaćwię i ich walki z Litwą. Daniel wyruszył więc do Drohiczyna, ważnego grodu na pograniczu z Polską i bazy do wypraw jaćwieskich, a w ślad za nim podążył legat papieski. Przybył tu także Bolesław Wstydliwy i Siemowit mazowiecki, którzy według źródła ruskiego (pisanego w otoczeniu Daniela) skłonili wrzeszcz księcia halickiego do przyjęcia korony. Zapewne w sierpniu lub we wrześniu odbyła się koronacja. Wkrótce potem Daniel na czele wojsk ruskich, Siemowit z oddziałami mazowieckimi i zapewne posiłki małopolskie wyruszyły na północ. Daniel zaczął pustoszyć kraj prawdopodobnie od strony południowo-wschodniej. Przybył do niego jako poseł Jaćwiegów Komat (może ojciec znanego później wodza Skomandisa) dla omówienia warunków poddania się, było jednak już za późno, gdyż tymczasem Lew Danielewicz na czele części sił rozgromił wojska jaćwieskich Polekszan i spustoszył kraj aż po leżący na zachodzie Jaćwię Rajgród.

Jest ciekawe, że w wyprawie rusko-polskiej nie wziął udziału Kazimierz kujawski i łęczycki, ani nie przysłał też posiłków. Książę ten zresztą po wycofaniu się z wojny krzyżacko-pomorskiej w 1247 r. nie wziął ani razu udziału w akcjach zbrojnych wobec ludów bałtyjskich. Może rzeczywiście był przekonany co do możliwości pokojowego podporządkowania się ich książętom polskim. Niezależnie od tego nie był zapewne też w stanie wysłać na większą odległość swych sił zbrojnych, tak ze względu na zagrożenie ze strony Krzyżaków, jak i niebezpieczeństwo wojny z Wielkopolską. Rycerze zakonni niedawno właśnie zawarli, jak wiemy, pokój ze Świętoplekiem (30 lipca), co przywracało im możliwość zajęcia bardziej zdecydowanego stanowiska w stosunkach z innymi sąsiadami. W Wielkopolsce zaś książę Przemysł I ostatecznie pogodził się ze swym bratem Bolesławem Pobożnym, który na mocy przeprowadzonego w maju podziału kraju otrzymał gnieźnieńską i kaliską część Wielkopolski, przylegającą na całej długości do łęczyckiej i kujawskiej dzielnicy Kazimierza, a biorącą jakby w kleszcze ziemię łądzką. Do ziemi łądzkiej rościł zaś Bolesław od dawna pretensje i przed kilkoma laty próbował ją nawet zdobyć zbrojnie.

OPIZO A KRZYŻACY

Po koronacji królewskiej Daniela Opizo udał się na zachód do Kazimierza Konradowicza. Nie znamy wyniku rozmów, chociaż możemy się domyślać, że uzgodniono współdziałanie w sprawie realizacji koncesji papieskich dla książąt polskich na terenie bałtyjskim. We Włocławku zgłosił się do legata papieskiego kapłan krzyżacki Godfryd — ówczesny kierownik Zakonu w Prusach; marszałek Henryk Botel nie miał zapewne odwagi przybyć do dzielnicy wrogiemu mu Kazimierzowi. Na prośbę Godfryda Opizo wy-

stawił transumpty (to znaczy dokumenty, przekazujące treść wcześniej wystawionych akt) dwóch dyplomów. Jeden z nich był aktem ugody, zawartej w 1235 r. przez Konrada Mazowieckiego i jego synów z Krzyżakami, na mocy której Zakon otrzymywał w posiadanie całą ziemię chełmińską po Drwęce na wschodzie i pewne nowe dobra na Kujawach. Był to dokument o fundamentalnym dla braci zakonnych znaczeniu ze względu na najszerszy terytorialnie zakres nadania, obejmującego też własność rycerską i kościelną w ziemi chełmińskiej. Drugi podsunęty Opizonowi do transumowania dokument, rzekomo z 1233 r., był niewątpliwym fałszerstwem krzyżackim. W fałsyfikacie tym Kazimierz jako książę Kujaw i Łęczycy (księciem łęczyckim był w istocie dopiero od 1247 r.) potwierdzał Krzyżakom nadania ojcowskie. Cel fałszerstwa był oczywisty: ponieważ żaden z Konradowiczów nie potwierdził dotychczas Zakonowi posiadania ziemi chełmińskiej i dóbr kujawskich, chodziło o uzyskanie takiego potwierdzenia, chociażby w dokumencie fałszywym, którym nie można było posłużyć się w bezpośrednich rozmowach z Kazimierzem, ale który mógł być użyty gdzie indziej, na przykład w kurii papieskiej. Transumpt Opizona nie miał mocy prawnej, ale byłby wygodniejszy od rzekomego oryginału w rozgrywkach dyplomatycznych. Legat papieski niewątpliwie został oszukany przez Godfryda, ale prawdopodobnie wkrótce potem wyprowadził go z błędu sam Kazimierz, bowiem w parę dni później marszałek Henryk Botel zwrócił się o transumowanie dokumentu nie ratyfikowanej kiedyś przez Krzyżaków, lecz teraz potrzebnej im ugody z księciem z 1252 r., nie do mającego większy formalny autorytet legata papieskiego, lecz do kapłana krzyżackiego, biskupa warmińskiego Anzelma. Widocznie Opizo uprzedzony przez stronę kujawską, odmówił transumowania tego dokumentu.

Z Kujaw legat papieski udał się na Śląsk do Wrocławia, należącego do podwójnego (obustronnego) szwagra Kazimierza Konradowicza, zarazem jego sojusznika przeciw książętom wielkopolskim, Henryka III. Tu doszło do jego spotkania z wielkim, mistrzem Zakonu Popponem von Osternoe.

Wybór Poppona na wielkiego mistrza w 1253 r. miał duże znaczenie dla Krzyżaków. Z jednej strony oznaczało to postawienie na czele Krzyżaków człowieka, który przez szereg lat sprawował funkcję mistrza krajowego pruskiego i toczył wówczas wojnę ze Świętoplekiem, a zarazem był sojusznikiem Kazimierza kujawskiego. Widać więc, że wśród członków Zakonu przeważało zainteresowanie dla posiadłości nadbałtyckich. Być może wiązało się to po części z tym, że po fasku kolejnej krucjaty (króla Francji Ludwika Świętego) ukazywały się wyraźniej trudności utrzymania katolickich kolonii w Palestynie, a więc również tamtejszych dóbr krzyżackich. Z drugiej strony wybór Poppona kończył schizmę wśród rycerzy zakonnych, poprzednio bowiem było aż dwóch jednocześnie wielkich mistrzów, z których jeden był stronnikiem papieskim, drugi zaś — zwolennikiem Hohenstaufów. Po elekcji Poppona zmieniła się też na lepsze postawa Innocentego IV wobec Zakonu.

Nowy wielki mistrz wkrótce po elekcji udał się wraz z posiłkami do Prus. Towarzyszył mu mistrz krajowy pruski Dytrych v. Grüningen, znany nam już dobrze jako zręczny dyplomata krzyżacki i stronnik papieski w szeregach Zakonu. Ich droga wiodła przez Czechy. Tu właśnie 22 września zmarł król Wacław I. Tron po nim obejmował jego syn, dotychczasowy margrabia Moraw i książę Austrii Przemysł Otakar, który jeszcze za życia ojca postanowił wyprowadzić się do Prus na pomoc Krzyżakom. Stosunki panujące w Czechach rodziny Przemysławów z Zakonem od dawna były na ogół bardzo dobre. Krzyżacy mieli znaczne dobra na terenie właściwych Czech i na Morawach, które tworzyły łącznie komturstwo ziemskie (baliwat) Czech i Moraw, podporządkowane mistrzowi krajowemu pruskiemu, gdyż dobra czesko-morawskie Zakonu były traktowane jako bezpośrednie zaplecze gospodarcze państwa krzyżackiego w Prusach. Do baliwatu tego należały też posiadane od ponad 30 lat dobra na Śląsku, które mogły służyć jako miejsca postoju krzyżowców lub sił zakonnych, maszerujących z południowych Niemiec do ziemi chełmińskiej i Prus. W posiadaniu rycerzy zakonnych było też parę komend na terenie Austrii i Styrii, a więc na terenach spornych między Czechami i Węgrami. W walce między tymi dwoma królestwami Krzyżacy wyraźnie stali po stronie Przemysławów. Być może podczas pobytu Poppona i Dytrycha w Czechach mowa była

o przyszłej wyprawie Przemysła Otokara do Prus. Teraz jednak nowy władca czeski musiał w pierwszej kolejności umocnić swą władzę w odziedziczonych po ojcu krajach, zneutralizować sąsiadów i prowadzić pertraktacje z królem węgierskim Bela IV, by zakończyć wojnę o spuściznę po Babenbergach austriackich. Jednym z pierwszych kroków nowego władcy była próba pozyskania sobie sympatii w sprzymierzonej z Węgrami Małopolsce. Zwrócił się on do biskupa krakowskiego Prandoty z prośbą o przysłanie relikwii świeżo kanonizowanego biskupa krakowskiego, świętego Stanisława.

Starania duchowieństwa polskiego o kanonizację Stanisława niezupełnie przypadkowo zbiegły się z zabiegami Kazimierza kujawsko - łęczyckiego i Bolesława Wstydliwego krakowsko - sandomierskiego. Do kurii piskiej wysyłano poselstwa, reprezentujące jednocześnie książąt i duchowieństwo. W gromadzonych dla procesu kanonizacyjnego materiałach można było też sporo przeczytać o dziejach politycznych Polski. Nie ograniczono się do zrobienia ze starszych źródeł wyciągów o historii konfliktu między Stanisławem, a królem Bolesławem Wstydliwym. Żywot św. Stanisława zaczynał się od czasów Bolesława Chrobrego, który wysłał św. Wojciecha z misją do Prus, gdzie poniósł on śmierć męczeńską. Opisywano też czyny obu Bolesławów, którzy interweniowali na Rusi i prowadzili wojny z Czechami. Sytuacja pod tym względem przypominała tę aktualną z połowy XIII wieku. Istotną różnicą polegała na tym, że w czasach Bolesławów Polska była jednolitą monarchią, teraz zaś była podzielona na dzielnice skłóconych między sobą książąt i nieraz toczących jawne wojny. Tym niemniej starania kanonizacyjne objęły nie tylko niemal wszystkich biskupów polskich (choć główną rolę odgrywał krakowski Prandota jako spadkobierca Stanisława) ale i znaczną część książąt. Tak na przykład Kazimierz kujawsko-łęczycki nadanie dla biskupstwa krakowskiego zaadresował nie tylko św. Wacławowi - patronowi katedry krakowskiej - lecz także św. Stanisławowi, chociaż ten jeszcze wówczas w poczet świętych zaliczany nie był. Cuda, rzekomo uczynione za sprawą Stanisława w okresie starań o jego kanonizację, objęły niemal całą Polskę, w tym niektóre miały wydarzyć się także na Pomorzu Gdańskim. Jest natomiast interesujące, że żaden „cud” tego rodzaju nie przydarzył się w państwie krzyżackim. Zespołenie dążeń polskich wokół starań o kanonizację przerodziło się szybko w przepowiednię o zjednoczeniu Polski, tak jak ciało Stanisława miało się cudownie zrosnąć po rozczłonkowaniu go.

Wyobrażenie o biskupie krakowskim Stanisławie przeszło więc różne koleje losu. Dla Galla Anonima w początkach XII w. biskup był zdrajcą, a król zbyt okrutnym sędzią. Widać w tym pewne potępienie obu „pomazańców bożych”. W sto lat później mistrz Wincenty Kadłubek, który sam był biskupem krakowskim, widział w sprawie Stanisława symbol walki o niezależność Kościoła od państwa, w związku z czym skazany przez króla biskup był już świętym. Jednocześnie kult Stanisława miał w celach partykularnych wywyższać Kraków i tym samym rekompensować brak w Małopolsce równie popularnego świętego, jak związany głównie z Wielkopolską św. Wojciech. Teraz, w połowie XIII w., tendencje czasów kadłubkowych zachowały jeszcze pewną aktualność, ale doszły nowe hasła: połączenia Polski, chociażby wokół nowego świętego, jeśli nawet nie pod względem politycznym. Dodatkowym aspektem stało się powiązanie z zagrożeniem tatarskim i z planami misji wśród ludów bałtyjskich.

17 września 1253 r. w bulli „Olim a gentium”, wysłanej pod różnymi adresami w niewiele zmienionych wersjach, papież Innocenty IV ogłaszał podniesienie Stanisława na ołtarze Kościoła (zaliczenie go w poczet świętych), wyznaczając dzień 8 maja, jako dzień śmierci tego świętego (błędnie zresztą, gdyż właściwie każł Stanisława według wcześniejszych źródeł miała miejsce w kwietniu) dniem jego kultu. W bulli papieskiej można odczytać pewne aspekty, nawiązujące do spraw misyjnych. Przytaczamy odpowiednie skromne fragmenty za tłumaczeniem Julii Mrukówny w nowym wydaniu dzieła Długosza. Pierwszy fragment zaczyna tekst bulli:

Kiedy z oczu pogan starto niegdyś mgłę ciemności, a w ich sercach stopniał lód zimnej niewiary, nastąpiła potem miła wiosna, zdołna krasą odradzających się kwiatów, ponieważ Kościółowi przedtem opuszczonemu i bezpłodnemu zaczął rodzić się synowie odznaczający się pobożnością i umocnieni szczerą wytrwałością. Ci, jak pierwsze wiosenne kwiaty, sięgają dokoła miłą woń i za łaską Bożą wydają obfity płon cnoty. I tak gdy wzrastała niezliczona mno-

gość jego synów i gdy [Kościół] miejscem swego przybytku rozciągającym się od morza do morza spotęniał w swych granicach, rozległ się pełen jęku i bólu głos synogarlicy i gdy po skazaniu na zagładę bałwanów [bogów pogańskich - J.P.] zlagodniało srogi okrucieństwo tyranów, za łaską Tego, Którego dzieła są niepojęte, [Kościół] zwrócił się w podziwu godny sposób do zalu i pokuty. Niech się więc cieszy Kościół tym, że się pozbył haniebnej i zgubnej bezpłodności i zaczął wzrastać zbawczymi płonami obfitości i teraz łączy się z nią obfitującym w łaski związkciem małżeńskim. Zaním się z nią połączył, czuł się opuszczony przez narody.

Cały ten wstęp bulli kanonizacyjnej św. Stanisława jest hymnem na cześć zwycięstwo Kościoła nad pogaństwem. Dalej w bulli następuje opis działalności Stanisława i jego cudów (oparty na relacjach polskich), potem zaś czytamy:

Toteż, żeby przypadkiem nie odkryto w niebezpieczny sposób pod korcem takiej jasnejjacej pochodni [tzn. Stanisława - J.P.], którą słusznie także Pan tyłoma cudownymi znakami polecił umieścić zaszczytnie na świeczniku Kościoła, zwłaszcza że dzięki niej znikają ciemności nie znających Boga [tzn. pogan - J.P.], doznaje zawstydyzenia przewrotność heretyków i pogłębia się znamienna ufnosć wierzących, za radą braci oraz prałatów obecnych teraz przy Stolicy Apostolskiej uznaliśmy za rzecz słuszną wpisanie wymienionego biskupa, błogosławionego Stanisława, w poczet świętych.

Związek kultu Stanisława z nawracaniem pogan jest tu podkreślony.

Jest wielce prawdopodobne, że już przed ogłoszeniem kanonizacji lub najpóźniej przez duchownych wiozących do Małopolski bulle kanonizacyjne, Przemysł Otokar II zwrócił się o relikwie nowego świętego do biskupa Prandoty, którzy rzeczywiście wysłał do Czech ramię kanonizowanego biskupa. Relikwia ta 21 października została uroczystie złożona w kościele św. Wita w Pradze.

Obu wspomnianych poprzednio dostojników krzyżackich w tym czasie już nie było. Jak widzieliśmy 19 października byli już we Wrocławiu w drodze do Prus. Spotkawszy tu legata Opizona zwrócili się do niego o potwierdzenie w imieniu papieża Innocentego IV układu pokoju, zawartego 30 lipca tegoż roku ze Świętopelkiem gdańskim, co też Opizo uczynił. Nie jest to świadectwem specjalnej sympatii do Zakonu. Potwierdzenie pokoju było sprawą, od której legatowi papieskiemu uchylić się nie wypadało. Chodziło zresztą o potwierdzenie pokoju, do którego kiedyś Opizonowi nie udało się doprowadzić z winy Krzyżaków. Widzimy zarazem, że kierownikiem Zakonu zależało teraz na zachowaniu spokoju na granicy z Pomorzem Gdańskim.

KRZYŻACKIE PODBOJE I KLĄTWA LEGATA

Wkrótce potem Poppo v. Osternohe i Dytryk v. Grünungen znaleźli się na terenie państwa krzyżackiego. Przybyli niewątpliwie ze znaczniejszymi siłami zbrojnymi z Niemiec, mogli więc wyruszyć przeciw plemionom bałtyjskim dla kontynuowania podboju. Ważna była sprawa Inflant, gdzie właśnie po śmierci biskupa ryskiego Mikołaja arcybiskup inflancko-pruski Albert Suerbeer, dobrze znany nam ze swej rywalizacji z rycerzami zakonnymi, obejmował to biskupstwo, które miało być na stałe związane z funkcją arcybiskupią. Było to dla Krzyżaków dość niebezpieczne, bowiem biskupi inflanccy mieli przewagę terytorialną, chociaż ustępowali Zakonowi pod względem organizacji militarnej. Niebezpieczne dla kierownictwa Zakonu było i to, że arcybiskup konsekrując na biskupa sprzymierzonej z Krzyżakami Litwy kapłana Zakonu, brata Chrystiana, zgodnie z poleceniem papieskim, przyjął od niego przysięgę na swoje imię, co oznaczało zależność biskupstwa litewskiego pod względem kościelnym od arcybiskupa. W drugiej połowie 1253 r. Krzyżacy inflanccy i Mendog rozpoczęli też wojnę z Aleksandrem Newskim, atakując Prusów, ponieśli jednak porażkę. Nawogrodzianie i Psokowianie w odwecie najechali na Inflanty, zmuszając Krzyżaków do zawarcia pokoju na korzystnych dla Rusi warunkach. Wydawać się mogło więc, że sytuacja w Inflantach wymagała szybkiej interwencji. Być może jednak wielki mistrz Poppo nie w pełni jednak znalazł coś tych wydarzeń. Część z nich wymagała raczej interwencji dyplomatycznej. Między Inflantami a krzyżackimi - Prusami leżały ponadto niepodbite ziemie pruskich plemion Sambów, Nadrowów i Skalowów. Sambowie już raz pobici, nie tak dawno temu zaatakowali w powszechnym powstaniu nawet najdalej na południe wysuniętą twierdzę krzyżacką, mianowicie Klajpedę na ziemi Kurszów, która została założona po to, by uniemożliwić kontakty między Sambią a Zmudzią. Atak Sambów nie udał się, ale z ich strony nadal groziło niebezpieczeństwo. Należało ich, zdaniem

Krzyżaków, podbić raz jeszcze i zlikwidować w ten sposób nadbaltycką forpocztę wolnych nadal plemion.

Trzecią palącą sprawą było zapobieżenie podporządkowaniu części plemion przez książąt polskich i ruskich. Poppo i Dytrych dowiedzieli się niewątpliwie o wyprawie książąt na Jaćwię. Od swoich zaufanych w kurii papieskiej musieli też dowiedzieć się o koncesjach Innocentego IV dla książąt polskich, wśród których najbardziej niebezpieczny był bezpośredni sąsiad posiadłości zakonnych — Kazimierz Kujawski. Od legata Opizona uzyskali co prawda zatwierdzenie pokoju z Pomorzanami, ale po przybyciu do Prus dowiedzieli się o współpracy legata papieskiego z książętami polskimi. Wkrótce zaś potem nadeszły nowe wieści o nim. Oto Opizo z Mezzano, wypełniając powierzone przez papieża zadania, mianował na biskupa Litwy polskiego dominikanina Wita, który w listopadzie lub grudniu został konsekrowany przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Pelkę w Kozłowie na Mazowszu. Przy konsekracji zapewne obecny był i Opizo. Dokonanie wyświęcenia przez metropolitę Polski oznaczało więc włączenie biskupstwa misyjnego Litwy do polskiego związku kościelnego. Tak więc niemal równocześnie pojawiło się aż dwóch biskupów litewskich, z których jeden był Polakiem, drugi Krzyżakiem. Była to kwestia, którą rycerze zakonnicy postanowili rozstrzygnąć także drogą interwencji w kurii papieskiej. Byłoby jednak dla nich niebezpieczne, gdyby biskup Wit czy inni przedstawiciele Kościoła polskiego rozpoczęli rzeczywistą działalność misyjną wśród Galindów, Jaćwiegów i Żmudzinów (do właściwej Litwy nie wpuszciliby ich zapewne Mendog). Byłoby to tym bardziej niebezpieczne, że przecież Polacy mieli swoich stronników wśród tych ludów, dla których nie było niczego groźniejszego, niż niewola krzyżacka, przed którą chcieli się uchronić za wszelką cenę. Najbardziej groźne jednak byłoby, gdyby wraz z misjonarzami Kazimierz Konradowicz wkroczył zbrojnie na teren Galindii, odcinając tym samym Zakon od możliwości kontynuowania ekspansji w kierunku wschodnim.

W tej sytuacji przywódcy Zakonu podjęli decyzję: pójść z głównymi siłami na Galindię, żeby uprzedzić książąt polskich, a jednocześnie wysłać na Sambie mianowanego wicemistrzem krajowym pruskim komtura dzieżgońskiego Henryka Stango. Zapewne w styczniu Poppo i Dytrych wyruszyli więc w kierunku Wielkiej Barcji, leżącej za rzeką Łyną, bez opanowania której niemożliwe byłoby utrzymanie po zdobyciu kraju Galindów. Przedtem jednak zbudowali twierdzę Kreuzburg (Krzyżpork) na terenie Nantangii, by zabezpieczyć się przed atakiem ze strony Sambów i przygotować bazę do rejsu na Sambie.

Henryk Stango na razie zatrzymał się jeszcze w nadwiślańskiej części państwa zakonnego, by załatwić kilka spraw. Należało utrzymać dobre stosunki z biskupami. Henryk więc 10 lutego odstąpił biskupowi wrocławskiemu Wolimirowi za niewielką rekompensatę pieniężną Golub nad Drwęcą, pragnąc go w ten sposób przynajmniej zneutralizować, skoro Wolimir, w przeciwieństwie do swojego poprzednika Michała nie chciał być sojusznikiem Krzyżaków i miał do nich pretensje różnego rodzaju. Wolimir utrzymywał natomiast dobre stosunki nie tylko z księciem Kazimierzem, którego kanclerzem był poprzednio, lecz także ze Świętopełkiem, u którego w Gdańsku nie tak dawno (na przełomie października i listopada 1253 r.) przebywał. 16 lutego w Chełmnie Henryk Stango nadał z kolei biskupowi chełmińskiemu Heidenrykowi prawo połowu ryb w Wiśle, wykazując w ten sposób, że Zakon nie zapomniął mu zasług, oddanych na Litwie. O biskupów pruskich Krzyżacy obawiali się nie musieli. Biskupem warmińskim był od kilku lat kapłan Zakonu Anzelm, który nie tak dawno przebywał na terenie Czech, działając tam na służbie propagandy krzyżackiej. W drugiej połowie 1253 r. wyjaśniła się też sytuacja biskupstwa sambijskiego. Mianowany przez Alberta Seurbeera i współpracujący ze Świętopełkiem biskup Tetward musiał ustąpić. Mianowany przez Innocentego IV biskupem sambijskim Jan v. Diest był używany przez papieża do załatwiania na terenie Niemiec różnych spraw, związanych z popieraniem króla rzymskiego Wilhelma holenderskiego i ze zwalczaniem stronnictwa Hohenstaufów. Głosił tam nawet krucjatę przeciw Konradowi IV Hohenstaufowi. Papież przyrzekł mu już zresztą przeniesienie na biskupstwo lubeckie, jak tylko arcybiskup inflancko-pruski przeniesie się do Rygi. Henryk Stango nie wiedział zresztą, że sprawa tego przeniesienia była już na porządku dziennym w kurii papieskiej. W każdym razie Jan v. Diest szkodzić Zakonowi nie mógł. Wprawdzie biskup pomezanski Ernest po niedawnej woj-

nie krzyżacko-pomorskiej musiał bardzo obawiać się, by działania wojenne nie dotknęły ponownie jego kwidzińskiego dominium i w tej sytuacji także nie przeszkadzał Krzyżakom, chociaż miał do nich pretensje, że oszukali go nieco przy podziale diecezji.

Wkrótce więc po połowie lutego Henryk Stango na czele swego dzieżgońskiego konwentu, prawdopodobnie też żałogi z Elbląga i poddanych Zakonu, przeprawił się przez skutą lodem Zalew Wiślany i dotarł do sambijskiej wsi Girmava, zostawiając za sobą zgłiszczą i trupy, zabierając zaś jeńców. Ochłonawszy z zaskoczenia Sambowie zgromadzili swe pospolite ruszenie i uderzyli na oddział krzyżacki, który został doszczętnie rozбит. Sam Henryk padł na polu bitwy. Było to gdzieś po koniec lutego.

Tymczasem główne siły krzyżackie pod dowództwem wielkiego mistrza Poppo wkroczyły do Wielkiej Barcji, której ludność musiała się poddać i dać zwycięzcom zakładników. Stąd armia zakonna skręciła na południe i zaatakowała Galindię. Był to kraj po wcześniejszych spustoszeniach tak jeszcze w czasie walk z Jaćwiegami i Polakami w okresie przedkrzyżackim, jak i potem w czasie pierwszego podboju przez rycerzy zakonnych (około 1240 r.) słabo zaludniony. Opór Galindów nie był więc znaczny, ale wiadomo, że nie obeszło się bez przelewu krwi.

W tym czasie legat papieski Opizo, badając zapewne dalsze możliwości organizacji misji polskiej wśród sąsiednich pogan, przebywał na Mazowszu, gdzie 10 lutego był obecny w klasztorze w Czerwińsku. Być może już tu doszły do niego wiadomości o ataku krzyżackim na przeznaczoną przez papieża Innocentego IV dla księcia Kazimierza kujawsko-łęczyckiego Galindię. Zwrócił się więc natychmiast do kierowników Zakonu o zaniechanie dalszego podboju i wycofanie wojsk z Galindii. Gdy Poppo v. Osternohe odmówił, Opizo, może już przebywający na terenie Kujaw, rzucił na Krzyżaków klątwę kościelną.

Ekskomunika była wówczas często stosowanym narzędziem działania przedstawicieli Kościoła, w gruncie rzeczy nawet nazbyt często, rzadko jednak na zakony kościelne, w tym także wyjątkowo na Krzyżaków. Zdaje się jednak, że nie była to pierwsza klątwa Opizona, który dobrze poznał rycerzy zakonnych już zimą 1246/7 r. W ówczesnej dość delikatnej dla Krzyżaków sytuacji mogła być groźnym narzędziem.

Gdy 10 marca 1254 r. Poppo v. Osternohe i Dytrych v. Grüningen byli już po zakończeniu zwycięskiej wyprawy w Elbląg, zapewne zdawali sobie sprawę, że mają przeciw sobie zdecydowanego przeciwnika — Opizona, jest jednak prawdopodobne, że w tym czasie nie dotarła jeszcze do nich wiadomość o klątwie. W tym dniu gościli w stolicy Prus księcia czewskiego Sambora II, dobrze znanego nam z uległości wobec Krzyżaków młodszego brata Świętopełka. Obydwaj dostojnicy nadali mu wówczas ponownie część Wielkiej Żuławy i pewne wyspy wiślane, rezygnując z zastrzeżonego poprzednio prawa do wykupu tych posiadłości przez Zakon. Rycerzom zakonnym nadal zależało na współpracy z księciem czewskim, mimo bowiem niedawnego pokoju ze Świętopełkiem ciągle nie mogli zapomnieć trudnej z nim wojny i ciągle obawiali się jej wznowienia.

Wkrótce potem Dytrych v. Grüningen opuścił Prusy, udając się w kierunku Włoch. Tuż przed wyjazdem został mianowany mistrzem krajowym niemieckim na miejsce Eberharda v. Sayn. Eberhard należał do stronnictwa Hohenstaufów i jak wiemy, został w 1251 r. przysłany jako pełnomocnik ówczesnego wielkiego mistrza do Prus i Inflant. Teraz, gdy należało podjąć zdecydowane starania w kurii papieskiej, nie mógł być kierownikiem Zakonu ani w Inflantach, ani tym bardziej na terenie Niemiec. Dytrych zaś wyjeżdżał, by organizować zbrojne i dyplomatyczne poparcie tak na terenie Niemiec, jak przede wszystkim w otoczeniu papieża. Konieczne więc było zadeklarowanie jednoznacznie propapieskiego stanowiska Zakonu.

W powyższym przedstawieniu odeszliśmy nieco od zagnadnienia bezpośrednich stosunków krzyżacko-pomorskich, poza dwoma epizodami. Nie jest to jednak przypadkowe. Wchodzimy bowiem w okres, w którym w wyniku pokoju z 30 lipca 1253 r. konflikt krzyżacko-pomorski zszedł na dalszy plan wydarzeń, jednocześnie zaś stosunki między Zakonem a książętami piastowskimi wkraczały w fazę, która w pewnym stopniu miała zadecydować o tym, że już podczas zawierania układu kepińskiego z 1282 r. zagrożenie krzyżackie było odczuwane jako coś więcej, niż tylko niebezpieczeństwo dla Pomorza Gdańskiego. Do układu kepińskiego było jednak jeszcze 28 lat. (Cdn.)

Nazwiska słynnych piłkarzy utrwalone w kociewskich nazwach terenowych

Hubert Górnowicz

Nie tylko zagorzali kibice, ale wszyscy Polacy, znają Kazimierza Deynę i Andrzeja Szarmacha, którzy należą do najwybitniejszych współczesnych polskich piłkarzy. Obaj wywodzą się z Kociewia i rozpoczęli swą karierę piłkarską w pomorskich klubach. W byłym powiecie starogardzkogdańskim jest kilka nazw terenowych, w których zostały utrwalone nazwiska noszone przez tych piłkarzy. Niech nikt nie myśli, że są to nazwy pamiątkowe utworzone na cześć tych piłkarzy. Są to nazwy dzierżawcze nazywające obiekty gospodarcze należące do rodzin Deynów i Szarmachów, z których ci piłkarze pochodzą. Są to nazwy następujące:

1. **Dejnów Lasek**, lasek nad jeziorem Czarne 500 m na wschód od Osieka. Jest to nazwa zestawiona z 1. członem dzierżawczym w dopełniaczu liczby mnogiej od nazwiska *Dejna* (tradycyjnie pisanego przez niektórych jego nosicieli *Deyna*) i z 2. członem topograficznym *lasek*. Nazwa ta nie była dotąd notowana w żadnym źródle historycznym, co nie oznacza, że jest młoda. Mogła ona powstać z chwilą, gdy osieccy Dejniowie nabyli na własność lasek nad jeziorem Czarne. Nazwę tę znamy tylko z eksploracji terenowej przeprowadzonej przez pracowników Zespołu Onomastycznego Uniwersytetu Gdańskiego.

2. **Szarmachy**, jezioro o powierzchni 5 ha, położone 1 km na południe od wsi Lubiki. Nazwę tę znamy w tej formie też tylko z eksploracji terenowej. „Hydronimia Wisły” pod redakcją prof. P. Zwolińskiego, Wrocław 1965, s. 262 podaje ją w singularnej formie *Szarmach*. Nazwę tę uznamy pod względem funkcjonalnym za dzierżawczą od nazwiska *Szarmach*, lecz posiadającą pluralną formę nazw rodowych. Na Kociewiu nazwy miejscowe rodowe są bardzo rzadkie. Widocznie ludzie nie rozumieli ich pierwotnej funkcji nazywania małych osad zakładanych w procesie jednorodzinnego osadnictwa o charakterze gospodarczym, stąd mogli zastosować strukturę „rodową” w funkcji dzierżawczej. Nie jest to zresztą na Kociewiu odosobniona nazwa tego typu. Prócz niej mamy: *Makity*, pole 2,5 km na południe od Pieców od nazwiska gospodarza *Mikita* i *Toczki*, lasek 2,5 km na północ od Okoninek od nazwiska gospodarza *Toczek*. Widzimy, że wszystkie takie nazwy dzierżawcze w strukturze „rodowej” są skupione w północno-zachodniej części byłego powiatu starogardzkogdańskiego. Przy okazji warto zwrócić uwagę na fakt, że dzierżawcze nazwy jezior są niezwykle rzadkie. Ludzie z reguły nazywali jeziora od ich cech fizjograficznych, takich jak wielkość, kształt zbiornika wodnego, głębokość, kolor dna, temperatura wody, jej smak, roślinność i zwierzęta nad jeziorem itp. Stąd jeziora mają przedewszystkiem nazwy topograficzne. Tylko nieliczne małe jeziora, które były własnością jakiegoś ziemianina lub chłopą i niczym pod względem fizjograficznym się nie wyróżniały, mogą mieć nazwy dzierżawcze. Nasze jezioro jest małe, pięciohektarowe. Było ono zawsze własnością chłopskiej rodziny Szarmachów z Lubik i stąd jego nazwa. Jeziorko to jest do dziś eksploatowane i jest na nim aż 7 toni rybackich o

nazwach: *Kuter*, *Parowa*, *Pod Choinki*, *Pod Górę*, *Pod Lisią Górę*, *Pod Rowek* i *Szyja*.

3. **Szarmachy**, lasek położony 300 m na południe od Lubik na jeziorem *Szarmachy*. Nazwę znamy tylko z eksploracji terenowej. Jest to nazwa topograficzna ponowiona od wyżej podanej nazwy jeziora. Przez ponowienie nazwy rozumiemy rozszerzenie jej zakresu na przylegający obiekt fizjograficzny bez dokonania zmian słowotwórczych. W tym wypadku nazwa jeziora rozszerzyła swój pierwotny zakres na leżący nad nim lasek.

4. **Szarmaszka**, dziś *Szarmachy*, łąka leżąca 2 km na wschód od Iwiczna. W brulionie toponomastycznym księdza Alfonsa Mańkowskiego, będącego wyściągą z materiałów nazwicznych ogłaszanych w pelplińskim „Pielgrzymie”, a znajdującym się w Archiwum Diecezjalnym w Pelplinie, figuruje pod r. 1888 nazwa tej łąki w formie *Szarmaszka*. Jest to nazwa dzierżawcza utworzona formantem *-ka* od zestawienia typu *Szarmachowa Łąka* lub po prostu *Szarmacha Łąka*. Nasza eksploracja terenowa ujawniła formę nowszą *Szarmachy*, a więc formę „rodową”. Taki kierunek zmiany nazwy terenowej jest na tle pomorskiego systemu toponimicznego dziwny, ale wyjaśnialny. Normalniejszy byłby taki rozwój, w którym ostatecznie otrzymalibyśmy formę syntetyczną z uniewierbizującą funkcją formantu *-ka*, a więc z pierwotnego *Szarmachowa Łąka* właśnie *Szarmaszka*. Tu jednak mamy do czynienia z osobliwym zderzeniem dwu systemów, antroponimicznego i toponimicznego, który mógłby prowadzić do dwuznaczności i za burzenia w systemie komunikatywnym języka. Otóż na Kociewiu przy pomocy formantu *-ka* tworzy się nazwiska żon od nazwisk mężów zakończonych przede wszystkim na spółgłoskę, np. *Nowaczka* to żona *Nowaka*, *Wąska* to żona *Wąsa* itp. *Szarmaszka* to przede wszystkim żona *Szarmacha*. Ponieważ w komunikacji językowej wsi kociewskiej częściej mówiło się o żonie *Szarmacha* niż o jego łące, nazwę łąki trzeba było utworzyć inaczej. Posłużyła do tego rzadka tu i neutralna struktura „rodowa”.

5. Wspomniany brulion toponomastyczny księdza A. Mańkowskiego wymienia pod datą 1889 za 2. numerem „Pielgrzyma” nazwę *Szarmachowe błotko* pod Bytonią. Według naszej dotychczasowej wiedzy nazwa ta uległa zapomnieniu, bo nie ujawniła jej eksploracja terenowa. Może któryś z czytelników „Pomeranii” słyszał tę nazwę i umie ją zlokalizować? Za wiadomość byłibyśmy bardzo wdzięczni. *Szarmachowe* to nazwa dzierżawcza w formie urzędownikowej przydawki przymiotnej od nazwiska *Szarmach*, po eliptycznym rzeczownikowego członu określanego typu *błotko*.

Widzimy więc, że nazwiska noszone przez naszych znanych piłkarzy Deynę i Szarmacha zostały utrwalone w pięciu kociewskich nazwach terenowych. Oma wiając te nazwy mieliśmy okazję pokazać mniej-szej lub większej typowości tych nazw na tle kociewskiego systemu toponimicznego.

Jan Stępowski a Kaszuby

Jerzy Treder

Jan (imię literackie: Janusz) Stępowski (1900-1969) studiował na wydziale nawigacyjnym Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie, odbywając w 1921 r. na żaglowcu „Lwów” rejs po Bałtyku. Stan zdrowia uniemożliwił dalszą edukację marynarską, zatem przeniósł się Stępowski na Uniwersytet Jagielloński. W latach 1929-1937 odbył na statkach handlowych wojażę do portów Szwecji, Danii, Francji, Włoch, Tunisu, Algieru i Maroka.

Zdobyte w ten sposób doświadczenia ujawniają się w powstałym na przełomie lat 1933-1934 poemacie „Legenda o masztowej sośnie”, wydanym w 1978 r. w opracowaniu i ze słowem wstępnym Jana Kordela przez Wydawnictwo Morskie. Kordel stwierdza, że oprócz zainteresowań historycznych bodźcem do napisania utworu stała się praca w redakcji pisma „Echa Leśne” (1930-1932), kiedy mógł studiować dzieła z dziełiny leśnictwa.

Wydanie poematu w 1934 r. miało wiele pochlebnych recenzji, choć kontrowersje budził jego archaizowany język. W pierwodruku i w wydaniu niniejszym integralną częścią poematu są autorskie przypisy i objaśnienia, w edycji Wydawnictwa Morskiego uaktualnione i skorygowane przez Zygmunta Brockiego. O języku poematu i przypisach chciałbym powiedzieć tutaj nieco więcej.

Najpierw jednak zauważę pewne treściowe i ideowe podobieństwa między „Legendą...” a „trylogią morską” S. Żeromskiego. Jeśli „Legenda...” — powtarzając skrót J. Kordela — jest „poetycką transpozycją dziejów sosny z Puszczy Myszynieckiej od czasów bitwy pod Oliwą (1627 r.) aż do powstania Gdyni”, to uzupełnia ona „Wiatr od morza”, w którym zabrakło właśnie obrazka z okresu wojen polsko-szwedzkich. W opisie bitwy, funkcjonowaniu latarni rozewskiej i budowie portu gdyńskiego Stępowski eksponuje udział Kaszubów, a zatem podobnie jak autor „Popiołów” w swoim tryptyku. Do bitwy oliwskiej porównaj na przykład w przypisach hasło Cejzik: „Udział Kaszubów w bitwie oliwskiej był znaczny. Stanowili oni w większej części załogę okrętów. Dzielnością swoją przyczynili się niemało do zwycięstwa. Czyny ich są podane w kronikach, jednak nazwiska nieznane. Cejzik jest tu, jak Belok, jakby ich anonimowym przedstawicielem”. Dodam tutaj, że nazwisko to nawiązuje do wyrazu kaszubskiego *ceza* (gwarowo *ceja*) ‘sieć na flądry’, znanego zapewne Stępowskiemu z Chrzanowskiego. Kaszuba jest też w XVII w. na Rozewiu latarnik Jonas, wypowiadający dwa stylizowane na gwarę kaszubską zdania. Reprezentantem budowniczych portu w Gdyni czyni pisarz niejaki Sebastia na Jaksa, a nazwisko *Jaks(a)* jest niewątpliwie autentycznie kaszubskie.

Analogie między Stępowskim a Żeromskim widać również w zakresie funkcji pełnionych przez dialektyzowaną warstwę językową utworu i włączone w fabułę nazwy, które poza normalną funkcją lokalizacyjną mają także na celu „wpisywanie” lokalnych wydarzeń w ogólne dzieje Europy. Podobieństwa takowe tkwią naddo w zakresie warsztatowym: gromadzenia materiału z literatury, opracowań historycznych i starych kronik, a także z przeżyć osobistych. Zupełnie formalnym podobieństwem jest zamieszczenie rzeczowych przypisów, w których poza wyrazami pospolitymi występują również nazwy. W przypadku Żeromskiego dotyczy to tylko „Miedzymorza”; w przypisach do tego utworu zamieścił pisarz tylko jedną nazwę, mianowicie *Wik*, którą Stępowski uważa za godną spopularyzowania jako logiczniejszej od nazwy *Pol-*

skie Morze. W objaśnieniach autorskich do „Legendy...” przeważają rozbudowane hasła nazw osobowych i geograficznych, zawierające istotne uzupełnienia do tekstu samego poematu.

Zgodność w przypisach — poza przytaczaniem tych samych wyrazów (np. *bat*, *giada*, *hak*, *s(z) trąd*, *szor*) — sygnalizuje powoływanie się na fachową literaturę, przy czym wspólne dla obu autorów są książki B. Chrzanowskiego i H. Gołębińskiego, aczkolwiek Stępowski częstokroć rezygnuje z bezpośredniego wskazania na źródło. Można stwierdzić, że *Obrazki rybackie* Gołębińskiego znane mu były tylko z lektury pośredniej, w najszerszym natomiast zakresie posiłku je się przewodnikiem Chrzanowskiego *Na kaszubskim brzegu*. Widać to też nadto jawnie w następujących hasłach: *Belok* (wraz z etymologią), *Chyłoński Potok*, *Darżlubie* (tu też mowa o dawnej *Kapinowskiej Puszcz*, dziś *Darżlubskiej*), *Głowa Oksywiska* (wraz z etymologią), *hak* (z nazwy „sitowcowy hak” z lokalizacją jak u Chrzanowskiego), *Hel* (wraz z etymologią i zdaniem: *Czemu stawiasz dom na hylu?*), *Kapinowska Puszcza* (u Chrzanowskiego: „lasy zwane dawniej w średniowieczu „kompińskimi”, dziś *darżlubskimi*...), *Kuzwelt i Kusfeld* (Chrzanowski ma obie formy, pierwszą na mapce; u niego też informacja o fortach Władysławowo i Kazimierzowo), *Mewia Rewa* (wraz z dalszymi nazwami, tj. *Depka*, *Szperk*, *Kuźnica*, i uwagą o polowaniu tutaj mew na ryby grzejące się w słońcu), *Oliwa* (tu o bitwie między Brzoznem a Sopotami, przy czym *Brzozno z nim*. Brösen u Chrzanowskiego, gdzie też używana forma *Sopoty* zamiast *Sopot*), *Radłowo* (wraz ze *wzgórzami radłowskimi* i uwagami o uroczysku, miejscu kultu pogańskiego, kontyni itd.), *Rozewie*, *Rozeft*, *jedyny polski obecnie przylądek*, *otwarty na Bałtyk* (tak dokładnie u Chrzanowskiego, gdzie i ponadto wiadomość o *Lisim Jarze*, w którym lądować miał w 1598 r. król Zygmunt III), *Wik* (w całości z Chrzanowskiego, a więc także ze wzmianką o tym, jak rozumie tę nazwę Gołębiński), *Zarnowiec*.

Ponadto z Chrzanowskiego wzięte są forma *ku Helu*, *slonki*, *miałkie rewy*, *gdyńska zatoka*, *osuch* itd. W przypisie pod hasłem *slonki* Stępowski pisze: „Na helskim półwyspie słynny ciąg słonek”, odwołując się do Chrzanowskiego, ten zaś powołał się w tej materii na informację ks. Reicha z Żarnowca, poza tym bowiem rzecz nie jest znana.

Podkreślić wszak trzeba, że Stępowski w pewnych przypadkach koryguje Chrzanowskiego, np. *Darżlubie*, *Kapinowska Puszcza*, *Kuźnice*. Mógł autor „Legendy...” korzystać z jakichś innych pisanych źródeł, możliwe jednak zupełnie, że niektóre fakty znał z autopsji, jak np. wiadomość o odpuszczeniu Matki Boskiej Węgorzowej w Swarzewie, a także poprawne formy gwarowe, zwłaszcza zaś jastarniacko-borowiackie *tamcza*, tj. *tęcza* w znaczeniu ‘czarna, zimna i szybko przetaczająca się mgła z zachodu’, zjawisko wywierające przynębiający wpływ na ludzi i zwierzęta. Z dialektałnych postaci używa np. *wiater*, ale też *Petr Belok*, tj. *Piotr*, gwarowe *Pioter*, tu jednak w wersji niemieckiej, dopasowanej do czasu bitwy pod Oliwą, porównaj bowiem uwagę pod hasłem Dickmann: „...statek „Święty Jerzy”, a właściwie „Ritter St. Georg”, wszystkie bowiem statki miały nazwy niemieckie z powodu trudności językowych...”. Stąd zapewne wzięło się i owe *Brzozno z nim*. Brösen. Nadto porównaj fonetyczne i leksykalne dialektyzmy: *białka*, *Kaszebowie* (z końcówką *-owie* archaizującą), *knop* (w objaśnieniach mylnie ‘chłop’ zamiast ‘chłopiec’),

norda, sztrąd, a także dwa zdania Jonasa stylizowane na kaszubszczyznę: „Gwes! — szepnął — zwid na jadrach” (wers 461) i „Jo... — szeptał — doch to prawda” (wers 473). W przypisach pominięty został *zwid*, ‘mara, zjawa’, a pod *jadra* pisze: dawniej sieci, kiedy lepiej: w kaszubszczyźnie sieci. Poemat kończy wyraz *janjar*, przypisany w objaśnieniach dialektowi kaszubskiemu, co słusznie prostuje Z. Brocki.

„Legenda o masztowej sośnie” to utwór z pewnością interesujący, wyrastający z tych samych tenden-

cji, co utwory Żeromskiego, tj. z zafascynowania odzyskanym morzem i ludem kaszubskim, który przetrwał wielowiekową niewolę, zachowując swój język, obyczaje i łączność z macierzą. Do Żeromskiego nawiązał zresztą Stępowski świadomie, wprowadzając *Smętka*. Dobrze się stało, że Wydawnictwo Morskie wznowiło ten poemat, przypominając zarazem naszemu społeczeństwu osobę autora, który z Wybrzeżem związany był dość silnie, o czym pisze we wstępie J. Kordel.

Michałki z kambuza Z. Brockiego

Edward Breza

Czytelnikom Pomeranii dobrze znane jest pióro Zygmunta Brockiego. Nie wszyscy jednak czytelnicy tego coraz bardziej poczytnego pisma wiedzą, że Z. Brocki jest autorem pięciu cieszących się ogólnym uznaniem książek z dziedziny morskiej. Są to kolejno: *Kot i kotwica* z r. 1961, *Morze na oku* z r. 1964, *Morze pije rzekę* z r. 1969, *Pontoniakiem nad morze* z r. 1973, w marcu 1979 r. wyszła piąta pozycja tej serii *Michałki z kambuza*. Żadna z wymienionych książek nie była dotychczas omawiana w Pomeranii. W „*Michałkach z kambuza*” autor nawiązuje na początku do tytułu publikacji tłumacząc, że w prasie *mihałki* to ‘notatki ciekawostki’, a *kambuz* to ‘kuchnia okrętowa’. Następne rozdziały poświęcone zostały nazwom wielu statków, ryb, nazwom botanicznym i zoologicznym związanym z morzem, urządzeniom nawigacyjnym itp.

Brocki często nawiązuje do problematyki kaszubskiej i pomorskiej. Te zagadnienia pragnę niżej szczególnie omówić, odsyłając po debata do lektury tej pasjonującej książki.

Najpierw dowiadujemy się, że nazwa *Pomorze* stała się imieniem żaglowca kupionego w r. 1929 we Francji dla Państwowej Szkoły Morskiej, później nazwę zmieniono na *Dar Pomorza*. Ponieważ mamy statki typu *Kujawy*, *Mazowsze* (od nazw krain), dziwi brak nazwy *Pomorze*. W tymże rozdziale (s. 88-91) omówił autor dalej nazwę *Pomorze*, *Przymorze* i ich postaci zlatynizowane *Pomoria*, *Pomorania*, *Pomerania*. Dowiedzieliśmy się także, jak doszło do powstania nazwy statku *Kaszuby*.

Brocki omawia nazwę góry między Kuźnicą a Jastarnią na Półwyspie Helskim, tj. *Lubecką Górę*, *Lubeczną Górę*, *Lubek* lub *Libek* (s. 93-94). Autor skłonny jest wywieść tę nazwę od rozbitego w tej okolicy w r. 1678 „okrętu lubeckiego”. (Por. też J. Treder, *Słownik nazw terenowych byłego powiatu puckiego*, *Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Gdańskiego*. Prace Językoznawcze Nr 5, s. 51). Przy okazji tej nazwy autor omawia również nazwę *Talion* (s. 94), którą nosi mielizna w Zatoce Puckiej. Wywodzi ją od notowanego w r. 1655 określenia *Italianische Haake* ‘Mielizna Włoska’; tu zaś określenie upamiętniło okoliczność, że niegdyś wszedł tu na mielizną statek (włoski?). (Bogata dokumentacja nazwy por. u J. Tredera, *Toponimia byłego powiatu puckiego*, *Gdańsk 1977*, s. 120; tu też na s. 164 toń *Talian* lub *Talianowa*, zawdzięczająca nazwę wspomnianej mieliznie).

Obszernie relacjonuje autor dzieje i nazwę warowni *Władysław*, obocznie też *Władysławowo*, założonej przez Władysława IV w okolicy Chałup (s. 147-149). W podobnej relacji donosi o forcie *Kazimierz* lub *Kazimierzowo* (s. 155), zbudowanym przez Władysława IV dla uczczenia Jana Kazimierza, króla Polski.

Z tej relacji dowiadujemy się też o planowanej budowie warowni *Jan i Kazimierz* nad Zalewem Wiślanym na zachód od Krynicy Morskiej. Rozprawką historyczną jest rozdział: „Generalskie kąpielisko nad Bałtykiem i Bony miasto nad Adriatykiem” (s. 150-154), z którego dowiadujemy się o budowie portu *Władysławowo*, zaślubinach Polski z morzem, pamiątkowej nazwie ulicy *10 Lutego* w Gdyni, budowie kąpieliska *Hallerowo* i o powstaniu miasta *Władysławowa*.

Przenosząc się na teren Gdańska autor omawia nazwy nabrzeży portowych: *Krakowskie*, *Szyprów*, *Flisaków*, *Hetmanów* (s. 166-169). Szerzej zajął się nazwą *Krakowiec*, wywodząc ją od nie istniejącego już dziś w języku polskim terminu topograficznego *krak* bądź *krok* ‘odnoga, rozgałęzienie rzeki’. (Nazwie tej poświęcił autor nadto artykuł naukowy, wydrukowany w *Zeszytach Naukowych UG*. Prace Językoznawcze Nr 4, s. 25-30). Na Krakowcu leżała ongiś karczma *Rzym*, budząca otuchę flisaków; karczma ta stała się także przedmiotem uwagi Brockiego. Kilka zdań poświęcił też *Gęsiej Karczmi* (s. 170), żeby zająć się etymologią i znaczeniem wyrazu *hak* ‘mielizna’, ukazując także jego funkcje jako nazwy własnej toni (s. 170-172).

Z pracy Brockiego w zajmujący sposób dowiedzieć się można, jak powstała nazwa dzielnicy Gdańska *Przeróbka*, po flisacku *Przerabka*. Jest to nazwa kulturowa, przypominająca, że na tym miejscu zsypywano, *przerabiano*, czyli przesiewano zboże, susząc je w ten sposób i wbijano ‘ładowano na statki’ (s. 173-176). Niemiecka nazwa *Przeróbki* to *Troyl*, wywodzi się ona z flisackiego terminu *trel* lub *tryl* ‘ścieżka nadrzeczna, po której idą flisacy ciągnąc (holując) na linie statki’ (s. 177).

Z nazewnictwem geograficznym Gdańska związane są ustalenia nazw *Płonia Wielka*, *Płonia Mała* (nie: *Pleniewo* czy *Planica*), wywodzących się od hydronimicznego wyrazu *pło*, *płoso*, *pleso*, dokładna lokalizacja stoczni na Górkach Zachodnich (s. 278-284). Przy tej okazji autor przypomniał raz jeszcze poprawną nazwę północno-zachodniej polaci Sopotu — *Brodwino*, s. 281. Informuje też Brocki (s. 234) o zamiarach nazwania jednej polaci *Przymorza Swarożno* na cześć i pamiątkę Andrzeja *Swarożyńskiego*, dworzanina Zygmunta Augusta i komisarza Komisji Morskiej.

Zajmujący i pouczający jest rozdziałik „Morskie grubaski” (s. 241-244) poświęcony nazwom fok czy fok, bo autor omawia tu trzy ich rodzaje. Czytelników Pomeranii zainteresuje kaszubska nazwa fok *zelint*, utrwalona w „Obrazkach rybackich” ks. H. Gołębskiego. Kaszubska nazwa rozwinęła się z dolno niem. *selhund* = górnieniem. *Seehund*, a więc ‘pies

morski'. Dolnoniemiecki *selhund* rozwinęło się najpierw fonetycznie w *zelął* lub *zelont*, a potem w *zelint*. Niemieckie *Seehund* ma odpowiedniki innojęzyczne, m. in. polskie *pies morski*. Uboczną nazwą polską jest *cieleń* czy (jak mawiali dawni Polacy) *cielec morski*, a niem. *Seekalb*, jest to dosłowne tłumaczenie łac. *vitulus marinus*: *vitulus* 'cieleń', *marinus* 'morski'.

Z partii książki omawiającej nazwy botaniczne dowiadujemy się również, że nazwa krainy geograficznej Prusy przeszła do określenia świerka (*Picea*) w języku angielskim: *spruce*, a to w ten sposób, że w średniowiecznej łacinie Prusy zwane były *Sprucia*, w starofrancuskim *Pruce*, z czego angielska nazwa *Spruce* 'Prusy' i *spruce* 'świerk'. Nazwa własna *Spruce* przeszła do roli wyrazu pospolitego (uległa tzw. apelatywizacji, o której pisze sam autor na s. 399 — 402) w ten sposób, że Prusy były głównym dostawcą drzewa świerkowego na budowę okrętów dla Anglii i Szkocji.

Mówiąc o znakach nawigacyjnych, Brocki przypominał czasy, kiedy Kaszubi jadąc kutrami po morzu w czasie mgły grali na *bazunach*. Omówił pochodzenie tego wyrazu (od dolnoniem. *basune*, co ze starofrancuskiego *boisine*, a ta forma z kolei z łacińskiego *bu cina*) i wyrazów jemu pokrewnych (s. 329-330).

Kaszubskim wyrazom *duchta*, *kobėta* i *kobėlnica* 'ława na łodzi' poświęcił autor osobny rozdział (s. 301-304). Tu też uwagi o nieścisłym tłumaczeniu tych wyrazów przez L. Bądkowskiego z „Żećo i przigodów Remusa” A. Majkowskiego. Paralele leksykalne i semantyczne w wielu językach słowiańskich i bałtyckich ukazał autor na przykładzie konstrukcji „rybacy bieżą” 'jadą', określaniu chmur przez *zajce* 'zające', *szurė* 'szcury', *wysokie morze* 'pełne', *dół morza* 'wody przybrzeżne' (s. 305-313).

Czytelnik choćby z tego wybiórczego omówienia za

wartości książki Brockiego wnosi o bogatej, ciekawej, a tak mało znanej przez szerszego odbiorcę tematyce morskiej. Autor okazuje się w niej niezwykłym erudytą w zakresie prawa morskiego, życia rybaków, urządzeń nawigacyjnych, geografii, etymologii, nazewnictwa, ichtiologii i różnych innych dziedzin. Powołuje się na setki różnych prac naukowych i popularnonaukowych, wyzyskuje literaturę piękną (zresztą nie tylko polską) i twórczość ludową (por. cenne motto do każdego rozdziału). Do wszystkich tych informacji można dotrzeć poprzez Skorowidz terminów morskich (s. 407-416) i Skorowidz nazw własnych (416-419). Szkoda tylko, że autor nie dołączył skorowidza w ogóle wszystkich zetymologizowanych wyrazów i objaśnionych terminów, np. na s. 145 omówiona została etymologia wyrazu *koncha*, por. też ciekawe zestawy wyrazów łacińskich i niemieckich ilustrujących tzw. I przesuwkę germańską na s. 144, nazwa *Dzierżoń* itd. Ten ubocznie mówczym wysiłkiem zebrany i omówiony materiał (najczęściej pod względem etymologicznym) ginie w książce.

Nieobojętne są też w pracy rysunki wykonane przez Z. Jukę (do czterech poprzednich tomów sporządził je L. E. Karłowski, któremu autor poświęcił kilka ciepłych słów w przedmowie na s. 9).

W pracy Z. Brockiego „Michałki z kambuza” nie dopatrzę się niczego, co należałoby sprostować, jedynie Hezjodowskie *Makarion nesoi* tłumaczyć trzeba nie 'wyspa szczęśliwych' jak podaje autor, lecz 'wyspy szczęśliwych' (s. 22). Życzyć więc wypada autorowi również twórczej inwencji i celnych pomysłów w zapowieranym szóstym tomie pt. „Na Łasztowni budowano okręta”, jak w zaprezentowanych pięciu tomach, wydanych przez Wydawnictwo Morskie.

50 lat „Rocznika Gdańskiego”

Józef Borzyszkowski

Pierwszy numer „Rocznika Gdańskiego”, organu powstałego w 1922 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, ukazał się w 1927 roku. Z okazji 50-lecia tego czasopisma odbyła się 24 października 1977 roku jubileuszowa sesja naukowa oceniająca to zasłużone wydawnictwo. Gdańskie Towarzystwo Naukowe, kontynuator działalności TPNiS, uczciło wspomniany jubileusz w formie reedycji fotootsetowej pierwszego tomu „Rocznika” z 1927 roku. Z tej samej okazji prof. Andrzej Bukowski, od lat 20 redaktor „Rocznika Gdańskiego”, otrzymał dyplom honorowego członka GTN.

Ostatnio ukazał się kolejny zeszyt „Rocznika Gdańskiego” (t. XXXVIII: 1978, z. 2), zawierający w swej podstawowej części poszerzone wersje referatów z jubileuszowego sympozjum. Dzięki temu zeszyt ten jest jednorodny pod względem tematyki, która szczególnie zainteresuje miłośników przeszłości Gdańska i regionu kaszubsko-pomorskiego.

Podstawowy artykuł poświęcony „Zasługom »Rocznika Gdańskiego« dla rozwoju nauki i wiedzy o Pomorzu” jest dziełem zespołu autorskiego pracowników Uniwersytetu Gdańskiego (Wiktor Pelpliński, Edward Breza, Marian Mroczo i Jan Powierski). Autorzy zaprezentowali przegląd podstawowej problematyki i prac problemowych na łamach zeszytów „Rocznika” oraz ich ocenę. Stwierdzili zrozumiałą przewagę szeroko pojętej problematyki historycznej (zbyt mały proporcjonalnie udział prac dotyczących XIX wieku oraz reprezentujących nauki pomocnicze historii), wzrastającą od pierwszych lat powojennych rolę prac językoznawczych, związaną z rozwojem miejscowego środowiska naukowego. Udział prac reprezentujących inne dziedziny nauki (np. socjologia, pedagogika) jest marginalny, co wiąże się z tym, że przedmiot ich

badań wykracza poza regionalny zakres tematyczny „Rocznika Gdańskiego”. Autorzy mocno akcentują brak na łamach „Rocznika” tematyki etnograficznej, mocno odczuwanej w czasopiśmiennictwie regionalnym Gdańska, na zapleczu którego leży tak interesujący region jak Kaszuby. „Być może planowane zorganizowanie etnograficznej placówki PAN w Gdańsku i komisji etnograficznej przy Wydziale I GTN doprowadzi do zajęcia się tą dyscypliną badawczą” — stwierdzają autorzy, co brzmi optymistycznie.

W wnioskach końcowych autorzy opracowania omawiając pluse i minusy „Rocznika Gdańskiego”, podkreślają jego rolę między innymi jako katalizatora zainteresowań badawczych Pomorzem uczonych ze środowisk naukowych całego kraju oraz stawiają sprawę uprofilowania tego czasopisma. Z dwóch zasygnalizowanych możliwości — zróżnicowanie profilu poszczególnych tomów według szczegółowych dyscyplin lub preferowanie tematyki interdyscyplinarnej — sami autorzy wyrażają przekonanie, iż bardziej realna jest propozycja pierwsza. Za uprofilowaniem poszczególnych tomów przemawiają zwiększone w takim wypadku możliwości sprzedaży czasopisma związane z zainteresowaniami potencjalnych odbiorców. Przypadek prezentowanego tu tomu „Rocznika”, poszukiwanego przez czytelników przemawia także za tym rozwiązaniem. Rozwiązanie to nie przekreśla potrzeby powołania w przyszłości do życia w środowisku gdańskim specjalistycznego czasopisma historycznego, czym między innymi autorzy warunkują przyjęcie drugiej koncepcji uprofilowania „Rocznika Gdańskiego”. Przypominają jednocześnie bardzo smutny i trudny do zrozumienia fakt likwidacji na mocy odrębnych decyzji czasopisma „Libri Gedanenses”.

Pozostałe artykuły omawianego zeszytu „Rocznika Gdańskiego” wzbogacają naszą wiedzę o kulturze polskiej

w Gdańsku w okresie międzywojennym. Choć wydawać by się mogło, iż trudno już cokolwiek nowego dorzucić do tej problematyki, biorąc pod uwagę tak często ukazujące się prace dotyczące życia polskiej społeczności w Wolnym Mieście Gdańsku,² że aż budzą one niekiedy obawę, iż zbyt wiele poświęca się uwagi tej problematyce przy braku opracowań podstawowych problemów z tego samego okresu i XIX wieku w odniesieniu do całego Pomorza Nadwiślańskiego i jego innych ośrodków.

Andrzej Bukowski w artykule „Gdańskie Pomorze” (1921–1925) – poprzednik „Rocznika Gdańskiego” przedstawił podstawową zawartość oraz grono twórców i współpracowników tego tak mało znanego czasopisma, którego kompletu nie posiada żadna biblioteka w Polsce, a tylko drobną część Biblioteka Gdańska PAN, zaś pięciu numerów w ogóle nie odnaleziono na terenie kraju. „Pomorze” powstało z inicjatywy ks. dr. Kamila Kantaka znanego nam z głębokiego zaangażowania w ruch młodokaszubskim, próbującego w okresie I wojny światowej i tuż po jej zakończeniu szukać współpracowników i zwolenników do realizacji mało nam znanej jego własnej koncepcji Wielkiego Pomorza. „Pomorze” wychodziło jako samostanny dodatek literacki do „Dziennika Gdańskiego”, następnie „Gazety Gdańskiej” i w końcu „Kurierza Gdańskiego” – gazet wydawanych przez Towarzystwo Wydawnicze Pomorskie w Gdańsku. Na łamach „Pomorza” ukazywały się prace wielu znanych autorów. Twórcy „Pomorza” potrafili wciągnąć do współpracy prawie wszystkich ludzi nauki i pióra, którzy z naszym regionem byli związani i mieli coś interesującego do powiedzenia. Pomijając kwestię słuszności głównej tezy autora, o wartości „Pomorza” nie decyduje to, czy rzeczywiście było ono poprzednikiem „Rocznika Gdańskiego”, ale jego treść. Artykuł ten jest cenny jako pierwsze ukazanie obrazu tak interesującego zjawiska jakim było „Pomorze” i związanych z nim ludzi. Na miejscu wydaje się refleksja, iż postać, działalność, myśli i krąg współpracowników oraz zakres oddziaływania Kamila Kantaka, inicjatora powołania do życia „Pomorza” oraz GTPNiS, są dla nas wciąż za mało znane.

Stanisław Potocki, specjalista od problematyki rewizjonizmu niemieckiego, w artykule „Gdański okres „Gryfa” (1931–1934)” poddał analizie publikowane na jego łamach artykuły historyczne, które zdaniem autora nadawały czasopismu zdecydowane oblicze polityczne. Autor wykrystalizował też interesujące materiały archiwalne – opinie władz administracyjnych o „Gryfie” i jego twórcach. Ze zrozumiałych względów przedmiotem jego szczególnego zainteresowania są artykuły z „Gryfa” polemizujące z twierdzeniami historyków i publicystów niemieckich. Liczne komentowane przez autora fragmenty oryginalnych tekstów z „Gryfa” i opinii władz o nim wzbogacają naszą wiedzę o warunkach, w jakich działali regionaliści pomorscy w okresie międzywojennym. S. Potocki stwierdził, iż zarzuty stawiane „Gryfowi” przez ówczesne sanacyjne władze nie znajdują potwierdzenia w omówionych numerach czasopisma.

Opinie o „Gryfie” wskazują „...na niezbyt przychylny stosunek administracji państwowej do czasopisma, jego organizatorów i redaktorów, być może ze względu na ich sympatie proendeckie.(...) Brak poparcia władz państwowych przyczynił się niewątpliwie do upadku „Gryfa”. Jednocześnie autor sygnalizuje, powołując się na „Regionalizm Kaszubski” A. Bukowskiego, iż w tym czasie pojawiła się „Zrzesz Kaszëbskô”, którą cechowały jawne tendencje separatystyczne, co mogło wpływać na stosunek władz pań

stwowch również do „Gryfa”. Wyjaśnienie to wydaje się mało przekonujące. Sytuacja ówczesna była bardziej skomplikowana, jej zrozumienie wymaga dalszych badań i nowego, pozbawionego uprzedzeń spojrzenia na całokształt zjawiska w szerszym kontekście stosunków politycznych w kraju i ich odbicia na arenie międzynarodowej.

Ważnym uzupełnieniem problematyki prezentowanej w poprzednich artykułach jest również interesująca praca Andrzeja Romanowa „Wydawcy i drukarnie polskie w Wolnym Mieście Gdańsku (1920–1939)”. Ustalenia autora, efekt żmudnej pracy, ukazują system organizacji i działalności polskich wydawnictw w Gdańsku i rolę w tym zakresie Komisariatu Generalnego RP. Szczególnie interesujący jest zarys dziejów ważniejszych polskich wydawnictw w Gdańsku, w tym Towarzystwa Wydawniczego Pomorskiego.

W dziale „Materiały i przyczynki” Roman Taborski przedstawił „Zainteresowania kaszubszczyzną Tadeusza Dubieckiego”. Autor cytuje fragmenty ciekawych wypowiedzi Dubieckiego o charakterze wspomnieniowym, dotyczące jego pobytu na wybrzeżu kaszubskim w latach 1905–1914. T. Dubiecki (1885–1972) był synem członka Rządu Narodowego, bliskiego współpracownika Romualda Traugutta. Pierwszy raz na Kaszubach zjawiał się z głębi Polski zafascynowanych kresami kaszubskimi. Był sympatykiem ruchu młodokaszubskiego, brał udział w zjazdach Młodokaszubów, a w okresie I wojny światowej i w latach 20-tych poprzez swoje artykuły próbował zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na to, co działo się na północnym przyczółku Rzeczypospolitej. W latach 1931–1933 był organizatorem i dyrektorem pierwszego gimnazjum w Gdyni. Dzięki R. Taborskiemu poznaliśmy kolejny przykład potwierdzający tezę, iż sprawy kaszubskie nie dla wszystkich rodaków z głębi kraju były całkiem obce.

W dziale recenzji „Rocznika Gdańskiego” między innymi Jerzy Zalewski wysoko ocenił pracę zbiorową pod red. Andrzeja Piskozuba, „Morze w kulturach świata” (Ossolineum 1976), oraz wyraził interesującą opinię o znajdującej się w ślepych zaułku „marynistyce”, czego wyrazem był Kongres Kultury Morskiej w Gdyni w 1976 roku, oraz o blaknącej się wraz z fikcyjną „kulturą morską” pseudonaucze „nautologia”. Na szczególną uwagę miłośników regionu zasługują też recenzje Wacława Odyńca o książce Władysława Zajewskiego, „Józef Wybicki” (Warszawa 1977) oraz E. Brezy i Zygmunta Brockiego o pracy Anieli Gruszeckiej-Nitschowej, „Cale życie nad przyrodą mowy polskiej. Kazimierz Nitsch i jego prace” (Kraków 1977).

¹ „Libri Gedanenses” zostało objęte przez „Rocznik Gdański” od t. XXXVI, co pociągnęło za sobą zmiany w składzie redakcji, który aktualnie jest następujący: Andrzej Bukowski (redaktor), Zbigniew Binerowski, Edward Breza, Edmund Kotarski (zastępca redaktora), Stanisław Mikos, Lech Mokrzejcki, Zbigniew Nowak.

² Dla przykładu: A. Drzycimski, Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku (1920–1933), Polityka senatu gdańskiego wobec ludności polskiej, Ossolineum 1978; J. Gaj, Zarys historii polskiej kultury fizycznej w Wolnym Mieście Gdańsku 1920–1939, Warszawa – Poznań 1976; Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej w Gdańsku (1922–1939). Księga pamiątkowa w pięćdziesięciolecie założenia Gimnazjum. Cz. I pod red. B. Janika, Gdańsk 1976; H. Pollak, Szkolnictwo i oświata polska w Wolnym Mieście Gdańsku 1920–1939, Ossolineum 1978. Porównaj zawartość wykazów literatury w wymienionych opracowaniach.

Rekonstrukcja historii Franciszka Pabicha

Paweł Zbierski

Niewiele jest w naszej literaturze publikacji z zakresu historii papiernictwa, a jeszcze mniej autorów podejmujących wysiłek systematycznej analizy znaków wodnych widniejących na starych papierach czerpanych.

Franciszek Pabich należy do grona badaczy upartych. Dzięki żmudnym studiom udało mu się odnaleźć dane (bardzo trudne do uzyskania z powodu braku archiwaliów), dotyczące historii najstarszych manufaktur wytwarzających papier na terenie Pomorza i Kaszub.

Pabich w „Papierniach nad Zatoką Gdańską”, portretował filigrany jako podstawowe dokumenty umożliwiające określenie miejsca i charakteru manufaktur papierniczych nad Zatoką Gdańską. Przedstawił ich dzieje i formy doskonalenia.

Charakterystyczne cechy poszczególnych znaków stały się dla autora przyczynkiem do rekonstrukcji historycznej. Badania filigranów znad Zatoki Gdańskiej dotyczą najstarszych dziejów papiernictwa polskiego. Albowiem właśnie Gdańsk był miastem, w którym uruchomiono pierwszą w Polsce papiernię. Od tamtego czasu upłynęło już 506 lat. Autor sugeruje nawet jeszcze wcześniejszą datę powstania najstarszej papierni, mianowicie 1420 r.

Papiernie były budowane nad rzekami i potokami. Energia wodna umożliwiała bowiem ruch urządzeń młyńskich produkujących papierową masę. Wytwarzano więc papier między innymi nad Wisłą, Kaczą i „szybką” Radunią.

Warto zwrócić uwagę, że znaki wodne widniejące na dawnych papierach mają wartość nie tylko historyczną. W książce Pabicha umieszczono 49 okazałych tablic z filigranami potrafiącymi również zachwycić oko swym oryginalnym, plastycznym wyrazem. Szczególną

uwagę zwraca motyw Pięknej Madonny widoczny na filigranach w różnych odmianach. Często na znakach wodnych prócz rysunków występują napisy określające miejscowość i nazwisko właściciela papierni.

Książka zaopatrzona jest w spis miejscowości wskazujących istnienie papierni. Umieszczono w nim koleje losu tamtejszych papierni, a także interesujące dane kronikarskie Bielkowa, Kolibek, Zukowa. Dane te zapoznają również z bogatą historią rodów zajmujących się rzemiosłem papierniczym. Na wielu filigranach widnieją pruskie orły wskazujące na wytworzenie papieru po roku 1793. Charakterystycznymi motywami są także fladry, lilijki i herb miasta Gdańska. Wydawcy książki zatroszczyli się o przejrzystość prezentowanych znaków... i dobrą jakość papieru, na którym filigrany są reprodukowane.

Redaktor książki, Edmund Puzdrowski, nazwał Pabichą „najpoważniejszym badaczem dziejów papiernictwa pomorskiego”. Można jeszcze dodać, że wyniki badań Franciszka Pabicha mają ważne znaczenie dla określenia dziejów ziem położonych nad Zatoką Gdańską. Udokumentowana przez autora w ściśle naukowy sposób obecność licznych młynów wytwarzających papier świadczy o niezwykle bogatym i ożywionym działaniu mieszkańców kaszubsko-pomorskiej ziemi i Gdańska na przestrzeni wieków. Warto więc sięgnąć po książkę Pabicha, nie poprzestając jednak na krzepieniu się świetną tradycją. Niechże ta tradycja zmusi nas do batalii o papier w czasach jego niedostatku, do bardziej ożywionego działania mieszkańców kaszubsko - pomorskiej ziemi i Gdańska.

Franciszek Pabich „Papiernie nad Zatoką Gdańską”. Gdańsk 1978, str. 44, cena 80 zł.

KLEKA

Nazwy te — w sumie 106, nazywające 72 jeziora — omawia Jerzy Treder w „Pracach Filologicznych” t. 28: 1973 s. 249—270. Z nazw tych 27 to nazwy, których jednym z członów jest człon pochodzący od nazwy miejscowej. Nazwy takie występują w dwóch postaciach: np. postać nazwy jeziora leżącego przy wsi o nazwie **Bieszkowice** jest postać **Jezioro Bieszkowickie** lub postać **jezioro Bieszkowice**. Ten drugi typ to kalki notowanych w źródłach niemieckich nazw niemieckich, jedynie z odwróceniem szyku członów nazwy, np. **Bieschowitz See** — **jezioro Bieszkowice** i ten właśnie drugi typ dostał się w wielu wypadkach na mapy polskie sporządzone po I wojnie światowej. Jeśliby więc — pisze J. Treder — „toponomastyka mogła w tym wypadku coś praktycznego doradzić, to byłoby to postulat nazywania jezior według zwyczaju panującego w mowie miejscowej ludności i zgodnego z rodzimymi zwyczajami nazwotwórczymi, a te zawsze (...) dają człon pierwszy nazwy jeziora w formie przymiotnika odmiejscowego”, a więc **Bieszkowickie (Jezioro)**, przy czym człon II jest fakultatywny, często pomijany. (Z.B.)

W DZIEMIANACH

W drugiej połowie maja w Gminnym Ośrodku Kultury w Dziemianach otwarto wystawę pn.: „Wzornictwo haftu kaszubskiego”. Mimo, iż inicjatywa dziemiańskiej placówki kulturalnej godna jest uwagi, wystawa jednak na to nie zasługuje. W ekspozycji bowiem znalazły się jedynie plansze z tekstu haftu wydawanych przez Oddział Gdański ZK-P. Przy czym zakwalifikowano również do wzornictwa kaszubskiego wzory kociewskie — Marii Wespowej z Morzeszczyna, co jest rzeczą niedopuszczalną. Żalować też należy, że z braku na wystawie chociażby kilku prac hafciarskich członków sekcji rękodziela artystycznego, działającej przy tutejszym Ośrodku Kultury. (s. j.)

„DNI KOCIEWIA”

W dniach 22—30 maja w Starogardzie Gdańskim obchodzono „Dni Kociewia”. Wśród bogatego programu imprez najliczniej zaprezentowano folklor i kulturę regionu kociewskiego. Otwarto m. in. wystawę młodego plastyka, amatora, Zbigniewa Wespy z Morzeszczyna pn. „Pejzaż kociewia”, a także giełdę twórczości ludowej. Zorganizowano kiermasze książek wydawanych przez ZK-P, spotkania młodzieży z twórcami ludowymi, wystawy twórczości dziecięcej. Festyn urozmaicały występy miejscowego Zespołu Pieśni i Tańca „Kociewie”, który właśnie w tych dniach obchodził swoje 10-lecie. (s. j.)

ZESZYTY CHOJNICKIE

Nakładem Chojnickiego Towarzystwa Kulturalnego ukazał się kolejny numer wydawnictwa „Zeszyty Chojnickie”. Ze względu na zbliżającą się rocznicę powrotu Pomorza w granice niepodległej Polski, zeszyt w całości poświęcony jest problematyce odradzania się życia społecznego w okresie międzywojennym. Zeszyt zawiera artykuły: Franciszka Pabicha „Fragmenty wspomnień sekretarza sądowego”, Eugenii Granowskiej „Szkolnictwo powiatu chojnickiego w latach 1920—1939”, Stefana Myszkę „Kultura i sztuka w okresie II Rzeczypospolitej”, Kazimierza Ostrowskiego „Narodziny i początki sportu w dwudziestolecu międzywojennym”, ponadto wspomnienie o zmarłym w ub. roku Julianie Rydzkowskim. Zeszyt wydany został jak poprzednie techniką rotaprintowa, w nakładzie 500 egz., z nową okładką według projektu art. plastyka Kazimierza Lemańczyka. Powinien nosić nr IX, czego jednak nie zaznaczono.

(ko)

REPRINTY

Od pewnego czasu dość systematycznie Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe wydaje reprinty, czyli nowoczesną techniką wykonuje reprodukcje rzadkich druków i szczególnie ważnych dzieł. W ogólnopolskim planie wydawniczym reprintów nie ma ani jednej pozycji pomorskiej. Szkoda, że Muzeum Pismnictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej nie podjęło żadnych kroków dla wydania reprintów kaszubskich. (wj)

OCHRONA ŚRODOWISKA KULTUROWEGO WSI

W maju w gdańskim Muzeum Narodowym obradowała sesja naukowa poświęcona kształtowaniu środowiska kulturowego wsi. Referaty wygłosili prof. dr Jerzy Stankiewicz, doc. dr hab. Ryszard Kukier, mgr Tadeusz Sadkowski i dr Andrzej Baranowski. Wielu referentów przedstawiło czynniki deformujące współczesne ukształtowanie wiejskiego środowiska kulturowego na Kaszubach. Sesja nie zgromadziła wielu uczestników, zabrakło architektów i administratorów, którzy — co tu ukrywać — są głównymi autorami dewastacji środowiska kulturowego naszej wsi. (wj)

SZKOŁA W BRUSACH

W Brusach mówi się do dziś — stara szkoła i nowa szkoła. Tymczasem stary, XIX-wieczny budynek przy ul. Gdańskiej przestał służyć celom szkolnym po II wojnie światowej i został przystosowany na mieszkania dla nauczycieli, natomiast „nowy”, zbudowany w 1907 roku, całkowicie się zestarzał i w żaden sposób nie odpowiada już wymogom nowoczesnej szkoły. Nie może pomieścić ponad 700 uczniów, a dodatkowo jeszcze Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Na domiar złego peka nie tylko w przenośni, lecz także dosłownie.

Po długoletnich staraniach wreszcie udało się doprowadzić do rozpoczęcia budowy nowej szkoły. Prace niwelacyjne i przygotowawcze zapoczątkowane zostały w ubiegłym roku, a na bieżący rok Zakład nr 1 Bydgoskiego Przeds. Budownictwa Ogólnego w Chojnicach, który jest głównym wykonawcą, przyjął do planu roboty o wartości 14 mln zł. Na miejscu przedsiębiorstwo urządziło poligonową wytwórnię prefabrykatów.

Szkoła w Brusach mieć będzie ciekawą architekturę; będzie to kompleks 6 gmachów, połączonych krytymi przejściami. W skład zespołu wejdą m. in. przedszkole, sala gimnastyczna, budynek pracowni przedmiotowych. Kosztorysowa wartość szkolnego „miasteczka” przekracza 50 mln zł. Szkoła powstaje przy wyjeździe z Brus w kierunku Chojnic, po lewej stronie ul. Gdańskiej. W sąsiedztwie zaprojektowane jest również spore osiedle mieszkaniowe, na które złożą się budynki zakładowe Spółdzielni Kółek Rolniczych oraz Spółdzielni Mieszkaniowej z Chojnic. Na uwagę zasługuje, że szkoła i osiedle mieszkaniowe korzystać będą ze wspólnej kotłowni; dymiących kominów i tak mamy w naszych miejscowościach nadmiar.

(ko)

WYSTAWA PRAC ARTYSTYCZNYCH DZIECI W BRUSACH

22 maja w Gminnym Ośrodku Kultury w Brusach otwarto wystawę rękodziela artystycznego dzieci ze szkół podstawowych gminy Brusy. Udział w ekspozycji wzięły prace ze szkół w Czyczkowach, Kosobudach, Leśnie, Zalesiu, Męcikale i Brusach. Dzieci zaprezentowały szczególnie licznie swoje prace hafciarskie. (s. j.)

O PÓLNOECNEJ ODMIANIE POLSZCZYZNY

W zeszycie 1 tomu 39 (za r. 1979) „Rocznika Gdańskiego” znajduje się m. in. recenzja książki Ireny Kwileckiej i Hanny Popowskiej-Taborskiej „Bartłomiej z Bydgoszczy, leksykograf pierwszej połowy XVI w.” W recenzji specjalną uwagę zwrócono na to, że wiele form fonetycznych, fleksyjnych i słowotwórczych znanych Bartłomiejowi z Bydgoszczy, wychowanemu w Bydgoszczy i obeznanemu z językiem tego miasta, spotyka się współcześnie jedynie na Kaszubach, a niekiedy tylko na północy Kaszub. Bardzo ciekawie przedstawia się też u leksykografa bydgoskiego słownictwo związane z żeglugą. Według recenzji w „Roczniku Gdańskim” słownik Bartłomieja należy do najstarszych źródeł, w których występuje nazwa pojazdu wodnego okręt. Recenzja dodaje, że według ostatnich ustaleń wyraz ten do języka ogólnopolskiego dostał się właśnie z północnego, a ściślej — z kaszubskiego obszaru dialektalnego. (zb)

DWA ODCZYTU O KASZUBSZCZYNIE

23 maja na zebraniu Koła Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego w Gdańsku wygłoszono dwa odczyty o tematyce kaszubskiej: doc. dr hab. Kwiryna Handke mówiła o podziałach gwar kaszubskich w „Atlasie językowym kaszubszczyzny” i u Lorentza, a dr Jadwiga Majowa — o związkach leksykalnych kaszubsko-czeskich. (zb)

W BRUSACH

5 maja br. w Gminnym Ośrodku Kultury w Brusach odbył się przegląd poezji, prozy i piosenek kaszubskiej polączony z kiermaszem wydawnictw ZK-P. Imprezie patronowało Kaszubskie Towarzystwo Kulturalne wraz z Gminnym Ośrodkiem Kultury i Urzędem Gminy.

Uczestnicy przeglądu recytowali głównie utwory ks. Leona Heykego oraz rodzimego poety Jana Karnowskiego. Ze szczególnym uznaniem spotkał się występ Iwony Kruszewskiej, która przy akompaniamencie gitary śpiewała piosenki własnej kompozycji do słów Jana Trepczyka. Także ciekawie zaprezentował się 75-letni Rajmund Frymark, który recytował fragmenty powieści Aleksandra Majkowskiego „Żęce i przigodę” Remusa. Dopisała też młodzi szkolna z pobliskich Kosobud. Wszyscy uczestnicy przeglądu — jak zapewnił dyrektor bruskiej placówki kulturalnej Władysław Czarnowski — wystąpią ze swoim repertuarem wraz z Zespołem Pieśni i Tańca „Zabory” z Czyczków na specjalnym koncercie z okazji Święta Ludowego.

Na zakończenie przeglądu uczestnicy dyskutowali na temat funkcji literatury kaszubsko-pomorskiej w życiu kulturalnym wsi. (s. j.)

„DNI KULTURY REGIONÓW NADWISŁAŃSKICH” W KWIDZYNIE

W dniach 9 i 10 czerwca Kwidzyn obchodził „Dni Kultury Regionów Nadwiślańskich”. Dwudniowy festyn wzbogaciły liczne imprezy kulturalne, w których uczestniczyli przedstawiciele folkloru pięciu nadwiślańskich województw: płockiego, wrocławskiego, toruńskiego, elbląskiego i gdańskiego. Odbył się m. in. Turniej Gawędziarzy Ludowych, którego zwycięzcą został Augustyn Dominik z Krokowej, a jednym z laureatów był Franciszek Brzeziński z Kartuz. Koncertowały także zespoły folklorystyczne. Nasz region reprezentowały: Zespół Pieśni „Kaszebe” z Krokowej i Zespół Pieśni i Tańca „Kościerzyna” z Kościerzyny. Dużym powodzeniem cieszył się wernisaż sztuki ludowej, w tym też wyrobów rękodziela artystycznego Kaszub i Kociewia.

(s. j.)

(K.D.)

JEDNYM ZDANIEM...

● Izajasz Rzepa reprezentował swoimi rzeźbami Kaszuby na wystawie „Dziecko w polskiej sztuce ludowej”, zorganizowanej w maju w gdańskim WOK ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Toruniu.

● Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Młoda Kościerzyna” (kierownictwo artystyczne Zyta Paszyk i Jerzy Brzuskowski) oraz zespół „Dzieci Gdańska” (kierownictwo art. Barbara Tamaszewska i Maciej Orłowski) zostali laureatami V Turnieju Talentów Tanecznych w Gdańsku. Koncert finałowy odbył się 27 maja w Teatrze Letnim w Sopocie.

● W czterdziestą rocznicę wybuchu wojny otwarto gdański oddział Muzeum Poczty i Telekomunikacji, który zlokalizowano w historycznym budynku Poczty Polskiej.

● Redaktor Małgorzata Szajnert w „Literaturze” (nr 20) pisze m. in.: „Rada Nadmorskiego Parku Krajobrazowego składa się z tych samych osób, które doglądają gospodarowania na Helu. A raczej z tych samych stanowisk, bo osoby mogły się zmienić.

Nie ma w tej radzie profesora urbanisty ani architekta, nie ma ekologa, nie ma znawcy kultury materialnej Kaszubów — myślę o specjalistach nie uzależnionych etatami od administracji, a tacy są na Wybrzeżu; pracują na jego uczelniach.

Wydawałoby się, że Rada Parku powinna pomagać administracji w znalezieniu najlepszy wyjść z trudnej sytuacji tego skrawka Polski, tak dla nas ważnego. Żeby znaleźć dobre rozwiązanie, potrzeba wielostronnego spojrzenia i odważnego spojrzenia”.

● 22 maja odbyło się Walne Zebranie Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Nowym prezesem zarządu GTN

Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał kolejną pozycję z serii „Pomorzanie w zabytkach sztuki” — „Pelplin”. Architektura zabytków pelplińskich omawia Janusz Ciemnołoński. Szczegółowo opisuje zabudowania zespołu klasztorowego i katedry, której budowę cystersi rozpoczęli przed rokiem 1295 (książę kaszubski Mestwin II był fundatorem opactwa cystersów, którzy przybyli do Pelplina po krótkim pobycie w pobliskich Pogódkach z Doberanu). Syntetyczny szkic o dziejach Pelplina oraz wnikliwe opracowanie zabytkowego wyposażenia katedry, skarbcza, Muzeum Diecezjalnego, biblioteki i kościołów pelplińskich napisał znakomity znawca przedmiotu, ks. Janusz St. Pasierb.

Mimo iż książkę wydano w nakładzie 10 tys. egzemplarzy, jest już prawie nieosiągalna.

został prof. dr hab. Roman Wapiński.

● W Muzeum Ziemi Sochaczewskiej otwarto wystawę ludowych instrumentów muzycznych ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Warszawie; niektóre instrumenty znane jedynie na Kaszubach.

● W Sali Morskiej Ratusza Głównego Miasta w maju eksponowano wystawę „Edytorzy gdańscy w 35-lecie PRL”. Pokazano ok. 600 tytułów. Obok Wydawnictwa Morskiego, gdańskiego oddziału „Ossolineum” i KAW reprezentowany był również dorobek wydawniczy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

● 25 maja po wręczeniu przez dyrektora WOK — Jerzego Kiedrowskiego nagród laureatom konkursu na piosenkę z tekstem kaszubskim — odbyło się prapremierowe wykonanie kilku wyróżnionych utworów, m. in. J. Stachurskiego, J. Trepczyka i R. Gleinert. Na WOK-u i Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim ciąży teraz obowiązek rozpowszechnienia nagrodzonych i wyróżnionych prac.

● W maju w GOK w Trąbkach Wielkich trwała wystawa haftów kaszubskich wykonanych przez członków miejscowego Klubu Seniora.

● Przez kilka dni maja w gdańskim WOK skromna wystawa „Prasa kaszubska w okresie międzywojennym” ze zbiorów Gdańskiej Biblioteki PAN. Wystawa nazbyt skromna, nie oddająca różnorodności przedwojennej prasy na Kaszubach.

● W czerwcu pokazano na wystawie haft kaszubski w Domu Handlowym w Brusach.

(w. j.)

Niewielki to przysiółek w lipuskim sołectwie. Zbudowania ciągną się na półkilometrowym odcinku krętej drogi, oddalone od siebie w dużych odstępach. Miejsce zaś najważniejsze, środek niejako Papierni, to rozwidlenie Czarnej Wody, szeroko tu wypływającej z Jeziora Lubiszewskiego. Tuż na początku pierwszej odnogi od strony Lipusza, miejsce usytuowania nie istniejącego młyna i chylącego się ku ruinie domu o architekturze charakterystycznej dla późnej secesji. Także nowego domu i ciężkich w kształcie zabudowań gospodarskich mocno kontrastujących z subtelną wokół przyrodą. Ze starymi lipami, 250-letnim dębem, szerokim, rozłożystym, zdobiącymi tę część przysiółka. Dąb równie stary, pomnik przyrody, wyrasta tu obok suchego koryta drugiej odnogi wspomnianej Wdy, która prowadzi do wiekowego tartaku, budowli drewnianej, mocno nadszarpniętej czasem. Tartak jest jednak nadal czynny i dobrze służy okolicznym gburom, którzy są w posiadaniu lasów. Tu też dawno temu była wytwórnia papieru, skąd dzisiejsza nazwa przysiółka. Poczawszy od pierwszego właściciela gen. mjr. Konstantego Tumberger-Nowowiejskiego papiernia przechodziła na własność każdego kolejnego starosty kościerskiego. Aż do drugiej połowy XIX wieku, kiedy to produkcji papieru zaniechano. Wytwórnia zaś po latach uległa naturalnemu zniszczeniu.

Dzisiaj stary tartak jest pod opieką państwa Szutów. Od niedawna mieszkających w nowym, jednopietrowym domu. Meble jednak antyczne, pamiętające pierwszych mieszkańców starego domu należącego do młyna i tartaku, pozostawili.

— Przed nami właścicielem tartaku, młyna i 400 mórg ziemi był Niemiec Hertman — wspomina pani Zofia Szuta, z pierwszego męża Tramborg.

W latach dwudziestych stary Tramborg, człowiek bogaty, właściciel statku parowego pływającego po Renie, zauroczony pięknym zakątkiem kaszubskiej ziemi postanawia kupić majątek Hertmana. Także widział w tartaku i młynie dobre ulokowanie pieniędzy. Syn jego, po latach, żeni się z Kaszubką i zostaje właścicielem majątku. Nie cieszy się jednak długim posiadaniem, umiera bowiem pod koniec wojny. Młoda wówczas wdowa wychodzi za Brunona Szutę.

— Po wojnie zaczęły się komplikacje — mówi Szuta. — Młyn, chociaż maszyny miał sprawne wymagał kapitalnego remontu. Nawet niekosztownego dla państwa, bo drewno potrzebne do naprawy dawaliśmy

swoje. Gmina jednak nie zgodziła się na remont. Młyn stojący w Lipuszu miał być wystarczający dla okolicznych gospodarzy. Nie pomogły pisma do wyższych instancji. Decyzja była nieodwołalna. Musieliśmy więc sprzedać dobre jeszcze maszyny na złom, a młyn rozebraliśmy.

Dzisiaj śladu nie ma po młynie. Teren wyrównano. Stojący tuż obok drewniany most zastąpiono betonowym. Spływ wody zaś reguluje się nowoczesną tamą. Młyn pozostał jedynie w pamięci starszych mieszkańców Papierni i tych okolicznych mieszkańców, którzy tu kiedyś zajeżdżali, by zboże na mąkę zemleć.

Pozostał tartak, z którego korzystają ci co chójki chcą na dyle pociąć, zawsze przecież potrzebne w gospodarstwie lub do budowl.

Historia jednak lubi się powtarzać, a cywilizacja czyni postępy w unowocześnianiu i rozbudowie. W niszczeniu starego, jeszcze użytecznego.

— Przed kilkoma laty — mówi Zofia Szuta — pisaliśmy do gminy by zezwolili na remont tartaku. By dopomogli także finansowo niewielką sumą.

Odpowiedź władz gminy była iście dziwna. Zasypało bowiem lewą odnogę Wdy, a wodną turbinę zastąpiono silnikiem parowym. Naturalne źródło energii — woda, tańsza od pracy silnika, straciła powagę.

Potem przyszło następne pismo, w którym gmina wyraźnie oświadczyła, że tartak ma zostać poddany rozbiórce, bowiem tereny te mają być wykorzystane pod budowę pręgarni dla miejscowego Państwowego Gospodarstwa Rybnego. Oburzyli się na taki stan ci, co od lat korzystają z usług tartaku. Oburzył się Brunon Szuta. Wysłano wtedy do władz gminy petycję z dwustoma podpisami, by tartaku nie likwidować. Dostali odpowiedź, że mogą korzystać z tartaku w Kornem i Dziemianach.

— Licho się dzieje — snuje refleksje pani Szuta. — Nic już w Papierni nie zostało z dawnych lat. Nic, co mogłoby służyć gburom.

Smutne są te słowa, bo smutny jest też fakt. Była bowiem wytwórnia papieru, był młyn zbożowy, ale zniknęły bez śladu. Teraz i tartak zlikwidują. I też śladu nie zostanie. Trwale są jedynie staruszki dęby, które mocno tkwią korzeniami w ziemi. Ciągłe jeszcze swa krasa zdobią przysiółek. To one tylko, dla młodego pokolenia, jeszcze przez długi czas zapewne, pozostaną symbolem starej Papierni.

(s. j.)

NOWY ZESZYT POLSKIEGO SŁOWNIKA BIOGRAFICZNEGO

W lutym br. ukazał się, z datą 1978 roku, zeszyt 98 Polskiego słownika biograficznego, zawierający następujące biogramy ludzi z Pomorza i z Pomorzem związanych:

Bernard Edmund Nuskowski (1913–1944?), dziennikarz (pracował w redakcjach pism chojnickich, następnie w Warszawie, Toruniu i Bydgoszczy), działacz regionalny na Pomorzu, w latach akademickich członek Stowarzyszenia Przyjaciół Pomorza i korporacji „Cassubia”.

Antoni van Obberghen (1543–1611), architekt, budowniczy i fortyfikator gdański.

Narcyz Tadeusz Obrycki (1896–1969), inżynier hydrotechnik, porucznik marynarki, kierował robotami przy budowie portu wojennego na Oksywiu, koszar marynarki tamże i w Helu, po przejściu na emeryturę przedsiębiorca budowlany w Gdyni.

Tadeusz Ocioszyński (1893–1969), działacz na polu gospodarki

morskiej, współzałożyciel Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Gdyni, członek Instytutu Bałtyckiego w Gdańsku, docent Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie, podsekretarz stanu w Ministerstwie Żeglugi.

Tadeusz Feliks Odrowski (1891–1957), rolnik, działacz społeczny i narodowy na Pomorzu Gdańskim i Powiślu.

Joachim Oelhaf (1570–1630), lekarz, fizyk miejski w Gdańsku, profesor anatomii Gimnazjum Gdańskiego.

Mikołaj Oelhaf (1604–1643), lekarz miejski w Gdańsku i lekarz nadworny Władysława IV, botanik, inicjator prac nad ziołolecznictwem lekarskim. Piotr Oelhaf (ok. 1598?–1654), polihistor, prawnik, sekretarz Rady Miejskiej w Gdańsku, profesor prawa i historii Gimnazjum Gdańskiego.

Wolf van der Oelsnitz (ok. 1582–1628), komisarz okrętowy Zygmunta III, kierował sprawami finansowymi Komisji Okrętowej.

(zb)

KASZUBA NA ANTYPODACH

Organista polskiej parafii w Moonah w Australii jest od 1966 roku Roman Andrzejczak, pochodzący z Brus, gdzie w latach 50-tych ukończył szkołę. Od czasu do czasu odwiedza rodzinną miejscowość, utrzymuje stałe kontakty z rodziną i znajomymi. W Moonah przy kościele św. Teresy prowadzi chór polski na wysokim poziomie. Bardzo często chór pod dyktando R. Andrzejczaka występuje na scenie Domu Polskiego w Hobart. Organista i dyrygent cieszy się dużym szacunkiem wśród Polonii, a także w całym środowisku. Jest także zamiłowanym ogrodnikiem i osiąga w tej dziedzinie sukcesy, m. in. dwukrotnie otrzymał nagrodę burmistrza miejscowości Glenorchy, D. Falla, za najlepszy ogród warzywno-owocowy.

(ko)

ZABYTEKOWA KUŹNIA WODNA NA OLIWSKIM POTOKU

W pierwszym tegorocznym numerze „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki” na s. 217–220 znajduje się omówienie prac poczynionych od r. 1972 przy odbudowie i rekonstrukcji pochodzącej z XVI w. kuźni na Oliwskim Potoku, w oliwskiej Dolinie Radości, czynnej jeszcze w r. 1947, następnie jednak zniszczonej niemal całkowicie. Obecnie obiekt ten stanowi Oddział Muzeum Techniki Naczelnej Organizacji Technicznej w Warszawie. Jego otwarcia dokonano 17 czerwca ubiegłego roku — o czym już informowaliśmy. Zabytek ten zwiedzać można od 1 maja do 31 października, każdego dnia, z wyjątkiem dni poświęconych, w godz. 10–17. (zb)

PIĘKNO ZAKŁĘTE W ROGU

Niewiele już można spotkać Kaszubów, którzy zająwszy tabakę z rogowej tabakierki. Zaproszenie *Chcem i le so zażec* staje się rzadkie. Mimo to duże zainteresowanie wzbudza kunsztowne rogowie tabakierki spotykane na Jarmarku Wdzydzkim, Dominikańskim czy na wystawach sztuki ludowej. Od niedawna dużym powodzeniem cieszą się rogarskie wyroby Henryka Petke z Sierakowic. Od niedawna, bo pasja jego narodziła się pięć lat temu.

Kiedy Henryk Petke przeszedł na rentę, ze względów zdrowotnych dwa lata przed planową emeryturą, postanowił zająć się „czymś”, gdyż bezczynności obawiał się przede wszystkim. Wybór przyszłego zajęcia padł na rogarsko. Interesował się tym wcześniej, podobają mu się tabakierki spotykane u starych sierakowiczów, którzy powiadali, że co jak co, ale zrobienie tabakierki to bardzo trudna sprawa. Ich słowa miały zniechęcić, jeszcze bardziej go zachęciły do przyszłej pasji. Taki już ma charakter, by podejmować się trudnych *dokôzów*.

Nie był zadowolony z pierwszych wyrobów, a w ogóle to szło mu z rogarskim nieporadnie. Zawziął się jednak, by postanowienie jego nie było gołosłowne. Zaczął udoskonaląć technologię, odkrywał tajemnice twardego rogu, w którego obróbkę trzeba jednak było włożyć dużo wysiłku. A poza tym nigdy nie wiadomo, czy zaczęta praca skończy się powodzeniem, bo nie każdy róg wytrzymuje próbę kształtowania.

Szczególnie zimą, gdy nie nachodzą turyści, potencjalni kupcy rogarskich wyrobów, Henryk Petke zamyka się w swojej komórze i pracuje. Materiału ma dużo, bo dzięki solidnej kurateli Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Gdańsku może pobierać rogi z kościarskiej rzeźni.

By róg byłdeły przybrał kształt tabakierki, przejść musi długi proces obróbki. Henryk Petke najpierw matowe, twarde rogi gotuje, przeważnie z obierkami dla drobiu by było ekonomicznie,

a gdy nieco zmiękną, idą pod prasę. Przegniesione, ułożone w formach, tym samym wstępnie ukształtowane, czekają czas pewien, by można nadać im ostateczny kształt, oszlifować i wypolować. W końcu powstają wyroby gładkie, lśniące, z jasnymi odcieniami na ciemnym tle, podobne do perłowej masy.

Gdy ciepłej Henryk Petke przynosi swój warsztat z komórki przed dom, do ogrodu, gdyż trudno nieraz wytrzymać w nieprzyjemnym zapachu i szkodliwym pyłe, które to wydzielają się w czasie obróbki rogu. Wtedy gdy pracuje na dworze, a nie w skromnej komórze, nawet wnuki przychodzą zobaczyć dziadkowe tworzenie, próbując też sami oszlifować tabakierkę.

Wyroby Henryka Petke mogą cieszyć oko najbardziej wybrednego znawcy. To nie tylko tabakierki w kształcie cholewek, czy też zwierzęcych głów, to również świeczniki, trąbki myśliwskie, łyżki do butów, wazoniki, ozdoby do kluczy. Zdobyły sobie uznanie te wyroby, nie tylko na Kaszubach, w całej Polsce, lecz także za granicą, we Francji, Austrii, Szwecji, RFN i Krajach Demokracji Ludowej. Właśnie dzięki artyście z Sierakowic, który postanowił podtrzymać tradycję dziadków, tradycję szczególnie kaszubską, nie poszło w zapomnienie tak cenne rzemiosło. Idzie też w świat cząstka kultury materialnej Kaszub. (s.j.)

NOWY TOM FILOLOGII

Tom 18 „Studiów z Filologii Polskiej i Słowiańskiej” za r. 1979 zawiera m. in. następujące pozycje dotyczące Pomorza i Kaszub:

Edward Breza, „Uwagi o fonetyce i fleksji języka polskiego na Pomorzu w XVI–XVIII w. na podstawie rękopiśmiennych ksiąg sądowych kościarskich”;

Hanna Popowska-Taborska, „W sprawie interpretacji pomorskich nazw miejscowych typu Dobrcz, Drzewicz, Sulęcyno”;

Jadwiga Zieniukowa, „Rodzaj męskosobowy w dialekcie słowińskim” (autorka stwierdza, że słowińszczyzna reprezentuje ten sam typ kategorii rodzaju gramatycznego, jaki ma i kaszubszczyzna, i polszczyzna ogólnonarodowa);

Małgorzata Korytkowska, „Zasięgi zjawisk akcentowych na Kaszubach w świetle materiałów AJK”, tj. materiałów „Atlasu językowego kaszubszczyzny i dialektów sąsiednich”;

Jadwiga Majowa przedstawiła niewielki artykuł o kaszubskim wyrazie który oznacza chrust, a Zdzisław Stieber dał też niewielki artykuł o kaszubskim wyrażeniu znaczącym: ręka om-dłota, ścierpla.

Od bieżącego tomu SFPiS wprowadzono dział recenzji i omówień. Jest tu m. in. opracowana przez Kwirynę Handke charakterystyka bogactw materiału zawartego w „Słowniku gwar kaszubskich” ks. Bernarda Sychty, którego „niewymierną wartość (...) stanowi jego pomnikowy charakter — i utrwalenie na zawsze dla kultury jednej z odmian języka, jaką jest każdy dialekt, ginący pod wpływem przemian współczesnej cywilizacji”. (zb)

„BLASZANY BĘBENEK”

Na łamach „Forum” z dnia 31 maja 1979 r. zamieszczono rozmowę z Gün-terem Grassem poprzedzoną długim wprowadzeniem na temat twórczości pisarza. „Grass + Schlöndorff = „Blaszany bębenek” to tytuł tej rozmowy będącej przedrukiem z „Der Spiegel” z 30 kwietnia br.

„Blaszany bębenek” Güntera Grassa ukazał się w roku 1959 i zawirował z gargantuicznym rozmachem, wprowadzając wiele kontrowersji co do autora. Nie brakowało też prób zaadaptowania „Blazanego Bębena” dla potrzeb filmu.

W komentarzu do rozmowy czytamy m. in.: „Akcja filmu — w przeciwieństwie do akcji powieści — dzieje się niemal wyłącznie w Gdańsku (...) „Blaszany bębenek” Schlöndorffa stanowi więc zwartą opowieść o gdańskim dzieciństwie, opowieść o polityce, o Kaszubach i drobnomieszczanstwie. Ukazuje on — zakładając, że widz dysponuje bardzo specyficzną wiedzą historyczną — osobliwy los Gdańska, który po pierwszej wojnie światowej stał się niemieckojęzycznym wolnym miastem z polską pocztą i wyłączonym polskim portem, wskutek czego posłużył Hitlerowi jako pretekst do rozpętania drugiej wojny światowej. Igraszką tej polityki byli przede wszystkim Kaszubi, Słowianie rozdzielani przez nacjonalizm niemiecki. (...)”

„Blaszany bębenek” jest drugim filmem niemieckim — po „Małżeństwie Marii Braun” Fassbindera — którego twórcy przezwyciężyli zaściankowość kinu niemieckiego, właśnie dlatego, że zdecydowali się obrać za temat prowincję. W przypadku „Blazanego bębena” wynika to już z samego tworzywa literackiego, bowiem powieść ta pomimo swej wąskiej kaszubskiej tematyki — a może właśnie z jej powodu — osiągnęła światowy sukces. Było sobie miasto — pisze Grass — które miało przedmieście: nazywało się ono Wrzeszcz. Wrzeszcz był tak duży i tak mały, że wszystko, co się wydarzyło lub mogło się wydarzyć na świecie, wydarzyło się też i mogło się wydarzyć we Wrzeszczu”.

Filmowa wersja niegdyś skandalicznego „Blazanego bębena” stała się wydarzeniem roku w kinematografii niemieckiej. Film Schlöndorffa oparty na powieści Güntera Grassa zdobył Złotą Palmę na tegorocznym festiwalu w Cannes. Oczekiwać zatem należy tłumaczenia książki Grassa na język polski, a filmu na ekranach naszych kin.

k. I.

SPUŚCIZNA ARCHIWALNA BOŻENY STELMACHOWSKIEJ

Jak informuje wydany w końcu 1978 r. „Przewodnik po zespołach i zbiorach Archiwum PAN”, w Oddziale Archiwum w Poznaniu znajduje się — oznaczony sygnaturą P. III-23 — liczący 206 jednostek inwentarzowych (ok. 3,7 mb) zbior archiwaliów pozostałych po znanej badaczce etnografii Kaszub, profesorze UMK w Toruniu, Bożenie Stelmachowskiej. Jest tu m. in. nie publikowana jej praca „Zwyczaj rybaków polskiego wybrzeża” oparta na bogatym materiale ankietowym zebrany wśród rybaków w okolicy Gdyni, częściowo opublikowana praca dotycząca Słowińców, zawierająca wyniki badań terenowych w okolicy Gardna i Łebska, są nie publikowane prace o stroju kaszubskim i słowińskim, jest też tu maszynopis pracy „Krótkie-długie, kaszubska gra ludowa”.

Do zespołu tych archiwaliów włączone są również materiały o Stelmachowskiej: kilka redakcji napisanej w r. 1955 przez jej najbliższą współpracownicę, dr Wandę Brzeską (zob. o niej w nr 4 „Pomeranii” z ub. r.), pracy „Życiorys prawdziwy”.

Wszystkie te zbiory są darem W. Brzeskiej i rodziny.

Szeroko o tych archiwaliach pisał dyrektor Oddziału Archiwum PAN w Poznaniu, J. Szajbel w „Biuletynie Archiwum Polskiej Akademii Nauk” 1970 nr 13 s. 118-161 i w „Ludzie” t. 55: 1971 s. 181-192. (zb)

SPOŻYCIE MIĘSA I ZBOŻA W MIASTACH POMORSKICH W XIX W.

W tegorocznym numerze 1 „Kwartalnika Historii Kultury Materialnej” ukazał się artykuł Tadeusza Sobczaka „Rozmiary spożycia mięsa i przetworów zbożowych w większych miastach Poznańskiego, Pomorza i Śląska w latach 1831—1861” (s. 17—30). Z miast pomorskich uwzględnione są: Szczecin, Elbląg, Stargard Szczeciński, Koszalin, Kwidzyn, Kołobrzeg, Grudziądz, Słupsk, Toruń, Malbork, Świnoujście, Chojna, Darłowo.

(zb)

O PRACACH ONOMASTYCZNYCH H. GÓRNICZA

W wydany niedawno tomie 8 „Rocznika Elbląskiego” znajduje się przegląd prac kierownika Zakładu Języka Polskiego Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Huberta Górnicza, z zakresu toponomastyki, antroponomastyki i zoonomastyki Powiś-

„RYBA PO KARTUSKU”

W Warszawie przy ul. Czerniakowskiej 127 powstała niedawno restauracja nazywająca się „Karczma Słupska”, urządzona na wzór znanego szeroko w kraju lokalu w Słupsku. W jadłospisie warszawskiej „Karczmy Słupskiej” figurują m. in. zrazy po słowińsku, pierogi słupskie, ryba po kartusku. W tej ostatniej nazwie w karcie jest błąd ortograficzny: ...po kartuzku, a więc z literą -z. Pisze o tym prof. Mieczysław Szymczak w zeszycie 4 „Poradnika Językowego” w artykule na s. 201—204, szczegółowo objaśniając, dlaczego w przymiotniku od nazwy Kartuzy (pisanej przez z) jest -s- (a nie -z-): kartuski, tak samo jak np. belz — bełski, francuz — francuski, Suez — sueski.

(zb)

la Gdańskiego, a w zeszycie 2 wydawanego w Wilnie półrocznika „Baltistica” z r. ub. — przegląd (w języku litewskim) prac toponomastycznych prof. Górnicza zawierających tematykę styku językowego staroprusko-polskiego (tytuł tego artykułu: Baltico-slavica Huberto Gurnovičiaus toponiminiaiose darbuose).

LISTY

PIĘKNA UROCZYSTOŚĆ W WEJHEROWIE

Dnia 28. 04. w Miejskim Domu Kultury w Wejherowie odbyła się doniosła uroczystość Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Wejherowie, poświęcona trzem Jubilatam: Marianowi Mokwie, Janowi Trepczykowi i Aleksandrowi Labudzie, twórcom zasłużonym dla naszego regionu. Nie będę opisywać przebiegu uroczystości, bo zapewne Redakcja o tym wie, lub się dowie, chcę podzielić się osobistą refleksją. Jestem wielce wdzięczny Oddziałowi Wejherowskiemu za zaproszenie do uczestniczenia w tak pięknej i wzruszającej uroczystości. Byłem wzruszony i zbudowany, bo chyba najważniejsza w życiu człowieka po latach uczciwej pracy jest właśnie pamięć o nim. To był konkretny przykład uczciwej i dobrej roboty działaczy Zrzeszenia z Wejherowa, którzy przy współudziale władz umieli znaleźć czas i siły na zorganizowanie tej pięknej uroczystości.

Ze swej strony chciałbym podziękować na łamach „Pomeranii” za zorganizowanie tak wzruszającego przyjęcia dla tych zasłużonych dla nas ludzi. Myślę, że „Pomerania” nie poskapi tych kilku wierszy dla przekazania mych myśli i słów uznania.

Stefan Fikus

Nie możemy poinformować Czytelników o przebiegu uroczystości, ponieważ zaproszenia dotarły do nas zbyt późno, a główny organizator, mimo zapewnień, nie nadesłał uzgodnionych materiałów.

Redakcja

BYŁAM NA KASZUBACH KANADYJSKICH

W podzięce za otrzymane w ubiegłym roku z Redakcji egzemplarze „Pomeranii” przysyłam dwa zdjęcia z mojego ubiegłorocznego pobytu w Kanadzie w najstarszej polskiej parafii Wilnie (Ontario). Zdjęcia nie są zbyt ostre i nie wiem, czy będą się nadawały do publikacji, wykonane zostały z przezroczy. Mam również przezrocza wykonane na „półkolonii” zorganizowanej w ubiegłym roku po raz pierwszy w Ontario dla dzieci potomków najstarszych emigrantów z Polski. Na kolonii tej specjaliści instruktorzy, Kaszubi, którzy przyjechali z Toronto, uczyli dzieci tańców i piosenek kaszubskich, a także haftu i rysunku. Kierownikiem kolonii, bardzo emocjonalnie zainteresowanym akcją, był pan Bolesław Bohyrycz z Barrys Bay, któremu przekazałam otrzymane z Redakcji egzemplarze „Pomeranii”. Pan Bahyrycz bardzo interesuje się folklorem kaszubskim, publikacjami z tego zakresu, chciałby je wykorzystywać w swej pracy z dziećmi. W tym roku „akcja półkolonii” ma być kontynuowana. Myślę, że byłby niezmiernie wdzięczny, jeśli mógłby otrzymywać z Waszej Redakcji takie materiały lub bliższe o nich wskazówki(...)

Ja w tym roku kończę badania z grupą studentów we wsiach okolic Bytowa, do Kanady wybieram się w przyszłym roku. Mam zamiar w lipcu, jeśli mi czas pozwoli, odwiedzić Gdańskie Towarzystwo Naukowe i przy okazji Waszą Redakcję, aby przekazać nieco więcej wiadomości o ludności kaszubskiej w Kanadzie. Zastanawiam się także, czy wzmianka o tych moich badaniach w „Pomeranii”, nie ułatwiła mi dotarcia do starych listów czy innych pamiątek rodzinnych związanych z Kanadą.

doc. dr habil. Jadwiga Kucharska

Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy 1979 r. zainaugurowała 3 maja wystawa w siedzibie Muzeum Historii Miasta Gdańska — Ratuszu Głównomiejskim przy ul. Długiej, pn. „Edytorzy gdańscy”. W sali Morskiej zaprezentowali swój do robek trzej wydawcy profesjonalni: Wydawnictwo Morskie, Gdański Oddział „Ossolineum” i Krajowa Agencja Wydawnicza. Jako czwarty edytor, nieprofesjonalny, do uczestnictwa w wystawie zostało zaproszone Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie.

Z ponad stu już tytułów wydanych od 1970 r. Zrzeszenie przedstawiło przeszło 80. Były to zarówno książki (poezja, proza, monografie, biografie, pamiętniki i in.) jak publikacje artystyczne, muzyczne i wzorniki haftów. Trzeba też powiedzieć, że w zestawieniu z wybrzeżowymi potentatami wydawniczymi, przede wszystkim Wydawnictwem Morskim i „Ossolinem”, Zrzeszenie wypadło co prawda skromnie ilościowo, ale zupełnie dobrze. Publikacje ZK-P cieszyły się też dużym zainteresowaniem zwiedzających.

(T)

OBRADY ZARZĄDU GŁÓWNEGO W KOŚCIERZYNIE

Pierwsze od dłuższego czasu wyjazdowe zebranie plenarne Zarządu Głównego Zrzeszenia odbyło się 23 czerwca w Kościerzynie, w sali Domu Kultury. Obradom przewodniczył prezes Stanisław Pestka. Wysłuchano krótkiej informacji prezesa Oddz. Kościerskiego — Jana Machuta o stanie gospodarczo-kulturalnym gminy-miasta Kościerzyna, największej obszarowo gminy w województwie gdańskim.

Główny referat pt. „Formy, metody i środki działania Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w realizacji zadań statutowych” wygłosił wiceprezes ZG ZK-P Robert Komkowski. Referat u części dyskutantów został przyjęty nieprzychylnie; zwrócono uwagę, że podawanie rozpisanych paragrafów statutu Zrzeszenia wespół z programem sprzed 20 laty bez uwzględnienia, że w toku wieloletniego działania Zrzeszenie uzyskało swoją istotną „osobowość” — nie może stanowić programu przyszłościowego. Część dyskutantów natomiast stwierdziła, że spostrzeżenia zawarte w referacie są bardzo przydatne dla wielu ogniw terenowych Zrzeszenia, gdyż nawet bardzo podstawowe formy i metody działania naszej organizacji w terenie są nieznane.

Po obradach gospodarze ziemi kościerskiej zaprosili uczestników plenum na tradycyjne sobótki. (wk)



Z ŻYCIA ZRZESZENIA

IX KONKURS „LUDOWE TALENTY”

W końcu czerwca br. dobiegł końca dziewiąty już z kolei konkurs dla młodych twórców Pomorza i Kaszub. W tym roku udział wzięło 51 uczestników nadsyłając ogółem 164 prace.

Jury konkursu w składzie: mgr Krystyna Szalaśna — przewodnicząca (WOK), red. Izabella Trojanowska (Oddział Gdański ZK-P), dr Józef Borzyszkowski (Oddział Gdański ZK-P), Feliks Borzyszkowski (Klub „Pomorania”), Stanisław Janke (Klub Pomorania”), oceniło nadesłane prace z dziedziny malarstwa na szkło, intarsji, ceramiki, plecionkarstwa, tkactwa, haftu i rzeźby.

W dziedzinie ceramiki: I nagrodę przyznano Ryszardowi Karczewskiemu z Kartuz a wyróżnienie Bogumile Plichcie z Brzezin.

W dziedzinie plecionkarstwa: I nagrodę otrzymał Zbigniew Tempski z Borzestowa.

W dziedzinie tkactwa: I nagrodę zdobyła Anastazja Raedke z Żelistrzewa.

W dziedzinie haftu I nagrodę otrzymały: Ludmiła Łademan, Elżbieta Pelcer z Żukowa, Maria Leszczyńska z Radunia, Danuta Torlińska i Ewa Smolak z Pucka. II nagrodę: Dorota Lewandowska z Żukowa. Natomiast wyróżnienie: Gabriela Kryzel i Małgorzata Rożek z Radunia. Wyróżnienie specjalne otrzymało „Koło Regionalne” przy Zespole Szkół Zawodowych z Pucka;

W dziedzinie rzeźby: I nagrodę przyznano Marianowi Jurczykowi z Kościerzyny oraz Andrzejowi Baczkowskiemu ze Zblewa. II nagrodę otrzymali: Krzysztof Naczek z Kielna oraz Zbigniew Mielewicz, Zenon Skwierawski i Adam Dąbrowski z Kościerzyny. Wyróżnienie: Adam Dąbrowski z Kościerzyny.

W dziedzinie malarstwa na szkło: I nagrodę otrzymały: Barbara Jank, Gertruda Jank i Wiesława Zarach z Borzestowa. II nagrodę: Waldemar Naczek z Kielna oraz Halina Damaszk, Małgorzata Damaszk i Małgorzata Daleka z Borzestowa. Wyróżniono: Ewę Naczek z Kielna, Marka Grzenkowicza oraz Urszulę Damaszk z Borzestowa.

W dziedzinie intarsji: I nagrodę otrzy-

mali Marian z Zdzisław Grzegowscy z Garcza.

Tegoroczne „Ludowe Talenty” stały na nieco niższym poziomie niż w latach ubiegłych. Szczególnie nie widać znamion indywidualności w pracach uczestników z Kościerzyny, z tzw. „szkółki” Adama Zwołakiewicza. W malarstwie na szkło — mimo najliczniej nadesłanych prac — gro uczestników nadesłało obrazki, które trudno nawet zakwalifikować do konkursu. Cieszy jedynie dobry poziom haftu, plecionkarstwa i tkactwa, chociaż w tych dwóch ostatnich było jedynie po jednym przedstawicielu. Widoczny jest również brak zainteresowania konkursem we wielu miastach i wsiach Kaszub, które nie miały dotąd żadnego swojego przedstawiciela (s.j.)

* * *

Wystawę prac nadesłanych na 9 Konkurs „Ludowych Talentów” otwarto 24 czerwca w b. szkole w Łączyńskiej Hucie. Przybyli licznie goście oraz wszyscy niemal uczestnicy konkursu, „zamieszkali” już poprzedniego dnia wokół checzy „Pomorani”. Dzieci i młodzież „kursowa” otoczona troskliwą opieką członków Klubu „Pomorania” i działacza Zrzeszenia z Gdańskiego Oddziału brała udział w uroczystościach sobótkowych na Paszku. Rozdanie nagród i dyplomów nastąpiło przed checzą po morderców, gdzie zauważyliśmy również duże zainteresowanie stoiskiem książek kaszubskich. Oklaskami przyjmowano występ zespołu „Koleczkowanie”. (Wydaje się, że czas — już zmegafonizować niektóre plenerowe imprezy). Wielu pracowało nad dobrym przebiegiem tej imprezy, szczególny wkład pracy: I. Trojanowskiej, Józefa i Feliksa Borzyszkowskich.

Kolejny konkurs odbędzie się w Pucku, a potem znów w Łączyńskiej Hucie. Do tej miejscowości konkurs wraca co dwa lata, tutaj uzyskuje specjalny smak dzięki narosłej tradycji i wspalanemu krajobrazowi. (wj.)

Redakcja „Pomeranii” wespół z Zarządem Głównym Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz Wojewódzkim Ośrodkiem Kultury zorganizowali UROCZYSTOŚĆ JUBILEUSZOWĄ z okazji 75 rocznicy urodzin Anny Łajming. Odbędzie się ona 15 czerwca w salach gdańskiego Ratusza Staromiejskiego.

Uroczystość zapoczątkowała laureatka niedawnego konkursu recytatorskiego w Chmielnie, uczennica Bożena Merchel z Pomieczyńskiej Huty, recytacją jednego z najwcześniejszych opowiadań Anny Łajming: „Wjazd do Francji”. Dorobek twórczy Jubilatki przedstawił członek kolegium redakcyjnego „Pomeranii” — Jerzy Samp. Przed wysłuchaniem specjalnego koncertu w wykonaniu znakomitej skrzypaczki Joanny Mądraszkiewicz, rozmówieni w pisarstwie Anny Łajming czytelnicy i przedstawiciele różnych instytucji składali Jubilatce życzenia. Pani Anna Łajming otrzymała moc gratulacji, symboliczne pamiątki — wytwory artystyczne z Kaszub, oraz wiele, wiele kwiatów i okłasków. Wszyscy uczestnicy odśpiewali również 100 lat. Wśród składających życzenia zauważyliśmy: Wojciecha Kiedrowskiego i Edmunda Puzdrowskiego („Pomerania”) i Jerzego Kiedrowskiego (Woj. Ośrodek Kultury),

Stanisława Pestkę (Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego), Lecha Bądkowskiego i Izabelę Trojanowską (Oddział Gdański ZK-P), Barbarę Reimer (Klub 7 Kolorów), Bolesława Facą (Oddział Gdański Związku Literatów Polskich), Kazimierza Ostrowskiego (Oddział Chojnicki ZK-P), Feliksa Borzyszkowskiego, Kazimierza Klawitry i Krystynę Maciaś (Klub Pomorania), Wandę Przybysławską (Wydawn. Morskie). Specjalne telegramy nadesłali m. in. ks. Bernard Sychta, artysta-plastyk Stanisław Horno-Popławski z żoną, ks. Kazimierz Raepke, Wydział Kultury w Sopocie i MDK w Kartuzach.

Szczególnie wzruszające były słowa wypowiedziane przez Józefa Jutrzenkę-Trzebiatowskiego, który chodził z Anną Łajming do szkoły podstawowej:

Kochana Jubilatko

„Bardzo się cieszę, że otrzymałem zaproszenie na tę niezwykłą uroczystość i, że jestem tu obecny jako kolega z rodzinnych stron. (Chodziłszy razem do szkoły w Przymuszewie, jestem z tego samego rocznika co Jubilatka). Cieszę się, że Anna Łajming pisze o naszych ukochanych stronach rodzinnych, gdzie natura skrzywdziła

nas tymi lekkimi ziemiami ale obdarzyła nas pięknym krajobrazem, pięknymi lasami i jeziorami. Dotychczas bardzo mało pisano o tym zakątku, gdzie schodzą się granice trzech województw, gdańskiego, bydgoskiego i słupskiego. Obecnie książki naszej Anny Trzebiatowskiej-Łajming rozchodzą się po całej Polsce, a w naszych stronach kupujemy je po kilka naraz.

Zyczę Kochanej Annie jeszcze dużo sukcesów, dobrego zdrowia i długiego życia, tak aby jeszcze dużo książek napisała.

Niech nam żyje 100 lat.

Po uroczystości w Ratuszu Staromiejskim, którą prowadził Edmund Puzdrowski, odbyło się spotkanie Anny Łajming z członkami Zrzeszenia utrzymującymi z autorką kontakty od lat. W spotkaniu tym, w lokalu Zrzeszenia, wzięła udział również najbliższa rodzina Jubilatki, m. in. syn Włodzimierz z żoną i z synem. Włodzimierz Łajming jest wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku posiadającym znaczny dorobek twórczy w malarstwie, wnuk pani Anny, bardzo uzdolniony muzycznie jest uczniem Średniej Szkoły Muzycznej i pragnie być dyrygentem. (wj)

VI SPOTKANIA PUBLICYSTYCZNE

VI (Kaszubskie) Spotkania Publicystyczne odbyły się w dniach 18–19 maja w Jastrzębiej Górze. W bieżącym roku Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego do współpracy Spotkań obok gospodarza — naczelnika Władysława zaprosił również Klub Reportażu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku.

Tegoroczne Spotkania poświęcone były reportażowi. Przed wygłoszeniem referatów wysłuchano relacji o stanie władysławowskiej gospodarki i życia kulturalnego, które złożyli naczelnik Gerhard Sikora i sekretarz Zygmunt Serafin. Władze władysławowskie i Zrzeszenie przygotowali spotkanie bardzo starannie, publicyści i reportażysty z wielu redakcji zostali przyjęci gościnnie. Na sali obrad czynna była wystawa „Studium wykorzystania regionalnych form kaszubskich w architekturze współczesnej” Zofii Gzowskiej oraz interesujący obszerny zestaw rzeźb twórcy ludowego Leona Goli.

Kanwą do dyskusji były referaty: „Temat kaszubski w reportażu” — red. Tadeusza Balduana i „Stan obecny i perspektywy rozwojowe gdańskiego reportażu” red. Edmunda Szczesiaka.

Redaktor Szczesiak snuł interesujące rozważania, które w najogólniejszym skrócie zamknąć można w stwierdzeniu, że reportażysty gdańscy są wysoko notowani na giełdzie ogólnopolskiej, niejednokrotnie uzyskiwali opiekę w tygodnikach centralnych, w Gdańsku natomiast, pomijając pewne krótkie

okresy związane z „Literami” i „Tygodnikiem Morskim, nie stworzono właściwych możliwości pracy dla nielicznej w końcu grupy reportażystów. Obecnie reportażysty mają etaty jedynie w „Czasie”. Pozostali ten trudny zawód wykonują na marginesie innych obowiązków dziennikarskich. Oczywiście poziom, szczerota wypowiedzi i w konsekwencji odzew społeczny na reportaż był różny w różnych latach, w zależności od stworzonych ułatwień publikacyjnych, gdyż nie wszystkie bariery przekroczyć można talentem. Gdańscy reportażysty rzadko sięgają do tematu kaszubskiego. Red. Szczesiak uważa, że Kaszuby nie są dobrym tworzywem na reportaż, gdyż region nasz i nasze społeczeństwo jest mało konfliktowe, brak poważniejszych „drazg” i ostrych konfliktów, które są bodźcem dla wielu reportażystów.

Wystąpienie Tadeusza Balduana było znacznie bardziej kontrowersyjne. Swoboda w wypowiedzianiu wielu uogólniających sądów — godna raczej pochwały — zaszła jednak zbyt daleko, w wielu fragmentach referatu red. T. Balduana (wiceprezesa ZG Zrzeszenia K-P) przebiegał nie tyle krytyczny, co lekceważący ton w stosunku do wielu grup społeczeństwa kaszubskiego, jak również do reportażystów rodem z Kaszub. To blichzowanie nie było uzasadnione ani udokumentowane. Redaktor Balduan ma możliwość opublikowania swoich sądów, stąd dla uniknięcia nieporozumień pozostawmy polemikę do czasu opublikowania wygłoszonego referatu. (wk)

JAN TREPCZYK I STANISŁAW GOSTKOWSKI CZŁONKAMI ZLP

W czerwcu br. przyjęci zostali w poczet członków Związku Literatów Polskich Jan Trepczyk i Stanisław Gostkowski.

Nestor kaszubskich poetów Jan Trepczyk znany jest u nas zarówno z kaszubskiej twórczości poetyckiej jak również kompozytorskiej. Był znanym, choć przez długie lata nie wydawał książek, jego właściwym edytorem stało się dopiero Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, które w 1977 r. wydało m. in. „Odecknienie”, tom, w którym autor zamknął swój dotychczasowy dorobek poetycki. Jan Trepczyk jest obecnie trzecim z kolei członkiem Związku Literatów Polskich tworzącym jedynie w kaszubskim, obok Alojzego Nagla i Aleksandra Labudy.

Stanisław Gostkowski należy do bardziej uzdolnionych poetów młodszego pokolenia. Filolog z wykształcenia, wydał dotąd wprowadzając tylko dwa tomiki poetyckie, lecz artystycznie przez krytykę wysoko ocenione, szczególnie debiutancki tomik „Nie chowajcie mnie żyjącego”. W bieżącym roku almanach „Punkt” (nr 5) opublikował poemat „Zostawiłaś mi tylko ten uśmiech”.

Stanisław Gostkowski nie pisze po kaszubsku. (wj)

Drugie Dni Folkloru Kaszubskiego w Chojnicach, które odbyły się od 25 do 27 maja br., potwierdziły, że jest to impreza dobrze pomyślana, sprawnie organizowana i po prostu – potrzebna. Mówiono tak podczas Dni, należy sądzić, że nie tylko z grzeczności. Opinie te wyrażali również członkowie zespołów uczestniczących w przeglądzie pieśni, tańca, muzyki i gawędy kaszubskiej, a o popularności imprezy świadczy bardzo duża (przez dwa dni) frekwencja na widowni amfiteatru oraz we wszystkich salach, gdzie odbywały się spotkania, wystawy itp.

Najważniejszy i najciekawszy był oczywiście wspomniany przegląd, w którym uczestniczyło w tym roku 13 zespołów i kapel. Jest to jak dotychczas jedyny stały przegląd folkloru muzyczno-tanecznego z całych Kaszub, toteż nie dziwnego, iż do udziału w nim poważne i ambitne zespoły przypisują dużą wagę. Niestety, zabrakło w Chojnicach w br. zespołów z Bytowa i Leżna (ubiegłoroczny laureat), którym stały na drodze niespodziewane przeszkody. Poziom artystyczny przegląd był wysoki, toteż mimo sporej liczby nagród jury (pod przewodnictwem mgr Wandy Szkulmowskiej z Bydgoszczy, przy udziale etnografów, muzykologów i choreografów) miało trudności z ich podziałem. Główną nagrodę – Złotego Tura przyznano ex aequo „Kaszubom” z Kartuz (po raz drugi) i „Kościerzynie”; ten ostatni zespół wyjechał szczególnie uszczęśliwiony cennym trofeum. Srebrnego Tura otrzymał Miedzyшкоlny Zespół Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Czerska, dodatkowo uzyskując nagrodę (w wysokości 5 tys. złotych) ufundowaną przez Zrzeszenie Kaszubko-Pomorskie Oddz. Miejski w Chojnicach dla najlepszego zespołu młodzieżowego. Brązowy Tur przypadł zespołowi „Młodzi Borowiacy” z Tucholi. Z uznaniem podkreślano zwłaszcza wysiłek zespołów z Kościerzyny i Czerska, które w ciągu roku opracowały całkowicie nowe programy, przy czym „Kaszuby” z Czerska wymieniły także niemal w stu procentach skład zespołu. Pozostałym nagrodami podzieliły się zespoły ze Sławna, „Zaboracy” z Czyczkó, „Wdzydzanki”, „Koleczkowie”, „Chojnice” i „Chojny”. Na marginesie nasuwa się uwaga, że trzeba będzie w przyszłości podzielić przegląd na dwie grupy konkursowe, gdyż małym wiejskim zespołom trudno rywalizować z dużymi, pracującymi w znacznie lepszych warunkach.

Bardzo udany był również konkurs twórczości ludowej, ogłoszony wcześniej przez Muzeum Regionalne, a rozstrzygnięty podczas Dni. Kilkudziesięciu twórców przedstawiło na konkurs ponad 300 prac; nagrodzono 12 artystów. Otwarto w muzeum wystawę pokonkursową, odbyło się ponadto spotkanie twórców z władzami miasta. W Domu Kultury odsłonięto natomiast zorganizowaną staraniem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego indywidualną wystawę bogatego dorobku ludowego rzeźbiarza i malarza Józefa Chelmskiego z Brus. Gościem



Zrzeszenia był także pisarz Jan Piepka, którego spotkania z czytelnikami (z młodzieżą Szk. Podst. nr 7, z członkami ZK-P oraz z uczestnikami zjazdu kół przyjaciół bibliotek) były niezwykle ciekawe. Podczas przeglądu pieśni, tańca i muzyki na koronie amfiteatru w parku Tysiąclecia odbył się kiermasz sztuki ludowej i kiermasz wydawnictw Zrzeszenia. Wybitny został pamiątkowy medal II Dni Folkloru Ka-

Zespół „Chojnice” nie zdobył głównej nagrody, ale przez publiczność przyjmowany był z aplauzem. Na ławce w pobliżu amfiteatru wykonano pamiątkowe zdjęcie.

(Fot. Janusz Rolbiecki)

szubskiego w Chojnicach. Imprezie towarzyszyła piękna pogoda, co jeszcze bardziej przyczyniło się do jej powodzenia. (ko)

O KASZUBACH KANADYJSKICH W PELPLINIE

13 maja w Pelplinie odbyło się seminarium poświęcone Kaszubom kanadyjskim, którego organizatorem był miejscowy Klub Studentów Kaszubów wspólnie z Klubem „Pomorania” (przed obradami członkowie „Pomorania” pod przewodnictwem Jana Walkusza zwiędali pelplińskie zabytki sakralne).

W pierwszej części seminarium wystąpił Kazimierz Ickiewicz, pomoraniec, absolwent wydziału historii Uniwersytetu Gdańskiego, przedstawiając w zarysie historię osadnictwa kaszubskiego w Kanadzie. Mówca zaakcentował szczególnie problemy dotyczące motywacji osadnictwa, warunków podróży do Kanady, życia codziennego na obczyźnie, a także omówił stan świadomości patriotycznej i religijnej ludności kaszubskiej w XIX w.

Po wystąpieniu referenta uczestnicy seminarium dyskutowali nad różnymi problemami osadnictwa Kaszubów. Po czym na zakończenie odbyła się towarzyska pogawędka członków pelplińskiego Klubu Studentów Kaszubów z członkami Klubu „Pomorania”.

(s.j.)

DRUKARZE I „POMERANIA” W BĘDOMINIE I WE WDZYDZACH

9 maja udaliśmy się, drukarze z Drukarni Prasowej w Gdańsku, nasza redakcja i przedstawicielka Zarządu Oddziału Gdańskiego, na wycieczkę po Kaszubach. Zwiedziliśmy kościół pokłasztorny w Żukowie, Muzeum Hymnu Narodowego w Będminie, gdzie przewodnikiem był dyrektor muzeum, Józef Błaszowski. W Kościerzynie złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem J. Wybickiego. Miłe chwile spędziliśmy w Kaszubskim Parku Etnograficznym we Wdzydzech, gdzie przywitał nas specjalnym koncertem zespół „Wdzydzanki” kierowany przez Władysławę Wiśniewską. Odważni i wytrwali wdrapali się na szczyt Wieżycy. Cała ziemia kościerska przyjęła mistrzów sztuki drukarskiej drukujących „Pomeranie” i większość wydawnictw kaszubskich Oddziału Gdańskiego wyjątkowo serdecznie. Wszystkim, którzy się do tego przyczynili, a szczególnie kol. kol. Janowi Machutowi i Gerardowi Pinkiertowi składamy serdeczne podziękowania. Dziękujemy również kolegom z Zarządu Oddziału Gdańskiego, za wydatną pomoc przy organizacji tej wycieczki, na której mogliśmy pokazać drukarzom fragment Szwajcarii Kaszubskiej.

REDAKCJA

Gdyby pojechać do Pucka i spytać o prywatne zbiory rybackie odpowiedziano by, że to „u Budzisz” albo przy „Chęczie kaszëbsczi”. Co zresztą na to samo wychodzi. Józef Budzisz bowiem w budynku przy ulicy Morskiej swoje „małe muzeum rybackie” ulokował, jak też od 10 lat gastronomią się trudzi.

A w ogóle Budziszowie, to stara rodzina kaszubska wywodząca się z Półwyspu Helskiego, ściślej mówiąc, z Chalup. Z dziada pradziada parają się rybołówstwem. Kochają morze.

W roku bieżącym przypada 20-lecie oficjalnego istnienia zbiorów rybackich Budzisz, jednak pasja starego rybaka jest znacznie starsza. Już bowiem w latach trzydziestych Budzisz, wszystkim co rybackie zafascynowany, zaczyna to i owo z połowowych akcesoriów kolekcjonować. Poza tym buduje modele rybackich kutrów.

Kiedy w sezonie letnim 1959 r. Józef Budzisz dokonał otwarcia jednej izby ze zbiorami, zainteresowanie było duże, chociaż niewiele wtedy było eksponatów. Z zapalem zbiera dalej. Otrzymuje dary od swoich znajomych rybaków, od pływających. Z trudem mieścił eksponaty. Stąd też w 1964 r. przeznaczają jeszcze jedną izbę na swoje „małe muzeum”.

Dzisiaj nawet dwie izby nie wystarczają na przejrzyste eksponowanie zbiorów. Same sieci chociażby potrzebują dużo przestrzeni. Są tu bowiem kunsztownie wiązane nety — do połowu płoci, okoni, siei. Są mance, żaki. Ma też Budzisz tu i ówdzie porożstawiane narzędzia rybackie, a wśród nich dzisiaj nie używane ości — po naszymu zwane bodarami. Jest skrzynia wyposażeniowa ze szkuty — pamiętająca czasy ojca Antoniego. Są modele kutrów, niektóre nawet w butelkach albo w żarówkach „zakłète”. Ciekawe są zbiory



preparowanych głów delfina i foki, które kiedyś — przed wojną — na Bałtyku nie były rzadkością. Ptaki i ryby, preparowane sprawną ręką Budzisz, wiszą stłoczone u sufitu. Jest też kolekcja zdjęć związanych z morzem, u-pamiętniających nawet zaślubiny z morzem w 1920 r.

Jakże tedy 15-tysięczna rzesza zwiedzających rocznie, może zauważyć całe piękno zbiorów? Budziszowe starania o większe lokum na niczym dotychczas spełzły. (s. j.)

O „POMERANII” W „LITERATURZE”

W tygodniku „Literatura” z 24 maja br., autor ukrywający się pod inicjałami K.Cz. pisze o „Pomeranii” m. in.: „Interesujący to miesięcznik wydawany przez Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskie w Gdańsku, rzadki już przykład kultuwowania tradycji regionalnej w sposób poważny, a nie jak to częściej w zwyczaju np. przez mnożenie różnych zespołów hop-siup. „Pomerania” redagowana przez Wojciecha Kiedrowskiego, publikuje utwory literackie pisane gwarą kaszubską, wspomnienia Kaszubów, eseje i przyczynki historyczne, po-

święcone temu regionowi, a także reportaże. Na łamach pisma przeplata się język polski z gwarą kaszubską, podobnie jak dzieje się to na co dzień na Kaszubach (...) popularyzuje wiedzę, ocala od zapomnienia świadectwo uporu i bohaterstwa, tego mniej wdzięcznego, w sprawach nader prozaicznych, szarego”.

W tych kilku wybranych zdaniach autor bardzo trafnie scharakteryzował i ocenił trybunę spraw kaszubskich, jaką jest „Pomerania”.

K. I.

6 czerwca prezydium Zarządu Głównego zorganizowało spotkanie z konserwatorem wojewódzkim i dyrektorem Ośrodka Ochrony Dóbr Kultury w Gdańsku — Mirosławem Zeidlerem. Zrzeszenie reprezentowali S. Pestka, L. Bądkowski, T. Bolduan, I. Trojanowska, Z. Potrac i W. Kiedrowski. Wiceprezes ZG T. Bolduan przedstawił pogląd społeczności zrzeszonej na rozwój placówek muzealnych w woj. gdańskim i na niektóre pilne prace konserwatorskie. Wypowiedź nawiązywała do materiałów uzyskanych na niedawnym plenum Zarządu Głównego, które było poświęcone muzealnictwu. Dyr. Zeidler przedstawił program w zakresie muzealnictwa, informując o pracach podjętych dla określenia niezbędnych zadań aż po rok 1990. Spotkanie trwało kilka godzin, w wymianie poglądów wzięli udział wszyscy obecni. Dyr. Zeidler podkreślił, że głos Zrzeszenia wysłuchuje z uwagą, gdyż przywiązuje dużą wagę do tego, aby plan administracji korelował z dążeniami społecznymi. Strony uznały, że podobne spotkania powinny się odbywać co pewien czas.

(wk)



Exlibris z drzeworytu Andrzeja Arendta. Exlibris czyli znak własny księgarni Domu Książki imienia Jana Rompskiego w Wejherowie. Dla Czytelnika, który nadesłanie dokładny adres tej księgarni czeka w redakcji specjalna nagroda.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA ZRZESZENIA

HAFT KASZUBSKI
SZKOŁA ŻUKOWSKA (II część) 90 zł



Alojzy Nagel
CEDOWNY WZERNIK (30 zł)



Roman Landowski
PEJZAŻE SERDECZNE (25 zł)



Franciszek Sędzicki
BAŚNIE KASZUBSKIE (35 zł)



Jan Trepczyk
MOJA CHĘCZ (35 zł)
Zbiór pieśni kaszubskich